

A/143

Z księgozbioru
* A. BEREZA, *

Nr.



Wydawnictwo
P. A. BERNARD
M
1906

Z księgozbioru .

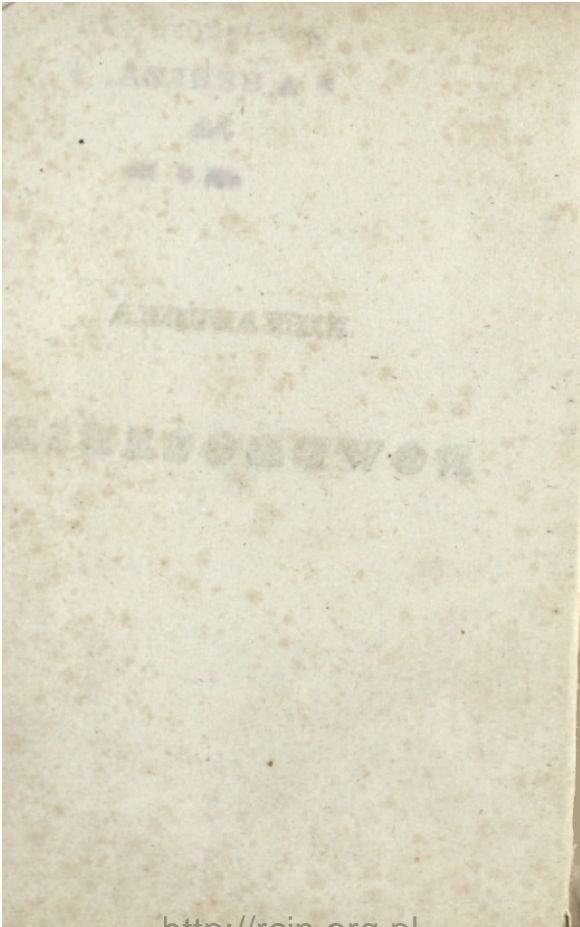
* A. BEREZA. *

Nr.



NIEZABUDKA

NOWOROCZNIK.



Z Psiegobioru
* A. BERFZA. *
№





Eleonora Styrmer

NIEZABUDKA
NOWOROCZNIK,

W Y D A N Y

PRZEZ

JANA BARSZCZEWSKIEGO.

Siok trzeci.

Z księgozbioru

*** A. BEREZA. ***

Nr.

W PETERSBURGU.

DRUKIEM K. KRAJA.

1842.



ПЕЧАТАТЬ ПОЗВОЛЯЕТСЯ

съ тѣмъ, чтобы по отпечатаніи представлено
было въ Цензурный Комитетъ законенное чи-
сло экземпляровъ.

С. Петербургъ 30 Ноябра 1842 года.

Дѣйствительный Статскій Советникъ
П. Гавескій.

11. 25



P. I 645

.... Znasz kwiatek mały w niebieskich sukienkach,
Który rośnie ukryty, samotnie, nad wodą,
Co nie raz może uwiadł zerwany w twych rękach,

.....
.....

Ten kwiatek mały, skromny, jest to kwiat pamięci.

J. I. KRASZEWSKI.

..... Biada życiu, gdy ze snu nie budzi
Ani zadza, ni praca; gdy w kim serce bije
Dla tego że krew płynie; kto bez jutra żyje,
Wlecz się bez nadziei, niknie bez pamiątek;
Od starej to świątyni oderwany szczątek;
Do gmachu nie przystaje, na ziemi zawadza....

JÓZEF KORZENIOWSKI.

... Znam kwiataz maly w bialym kielichu
Kwiaty rosace warty, zamolone, nad woda,
Ca miazec miazec wioda, wioda wioda.

Ten kwiat maly, szczone, jest to kwiat pamiatki.

.....
KWIATY

Widze kwiaty, gdy ze smu nie pada
Jaki kwiat, ni przyn, gdy w kim sercu leze
Dla tego ze kwiaty, ni przyn, ni przyn, ni przyn,
Wtorec sie bez kwiatu, ni przyn, ni przyn, ni przyn,
O! kwiaty to kwiaty, ni przyn, ni przyn, ni przyn,
Do kwiatu nie przyn, ni przyn, ni przyn, ni przyn.

.....
KWIATY

SPIS RZECZY

podług nazwisk autorów.

POEZJE.

	str.
BARSZCZEWSKIEGO JANA:	
<i>Podróż</i>	7
<i>Kwiaty</i>	12
<i>Cierpienie (Sonet)</i>	21
<i>Dla Joanny A. wicz</i>	25
<i>Do Stanisława Jurjewicza</i>	158
<i>Dwie Brzozy (ballada)</i>	164
<i>Smutek</i>	185
<i>Rozpacz (ballada)</i>	204
<i>Kurhany (ballada)</i>	224
<i>Przysięga (ballada)</i>	239
<i>Fantazja z czasów pierwszego naj- ścia Tatarów</i>	276
<i>Do Młodzieży</i>	269
BEZIMIENNYEGO:	
<i>Sonety</i>	172

	str.
CIEHPINSKIEGO J.	
<i>Wieczor Letni</i>	161
KLEWSZCZYNSKIEGO ANTONIEGO:	
<i>Do Adama Kr—skiego</i>	3
<i>W Imionniku Julji J.</i>	19
LACHOWICZA STANIS. AUGUSTA:	
<i>Psalmodja</i>	1
<i>Ruska Melodja</i>	17
<i>Do L°</i>	199
OLSZEWSKIEGO BRONISLAWA:	
<i>Sonet</i>	157
PŁOSZYNSKIEGO LUDWIKA:	
<i>Melodja</i>	6
PODBERESKIEGO LUDWIKA:	
<i>Pastka wyobraźni</i>	189
GOZDAWY REUTTA WINCENTEGO:	
<i>Czterocieresz</i>	22
<i>Ruiny</i>	148
<i>Sonet</i>	203
<i>Dawniej i Dziś</i>	243
ROKICKIEGO JÓZEFA:	
<i>Do A. K. B.</i>	179
SIEDROTSKIEGO KAROLA EMERYKA.	
<i>Wyjatek z fantazji opisowej: Nowy</i>	
<i>Rok 1840</i>	27

	str.
<i>Moje Marzenia</i>	
<i>Rezygnacja</i>	296
SZEPİELEWICZA GAUDENTEGO:	
<i>Moja Nadzieja</i>	10
<i>Nie będzie twoja</i>	23
<i>Trzy Wróżki</i>	197
<i>Do Z. W.</i>	201
SWIATKOWSKIEJ IZABELLI:	
<i>Widzenie</i>	146
<i>Sierota</i>	187
TYSZKIEWICZA WL.	
<i>Kwiat Młodości</i>	194

P R O Z A.

LACHOWICZA STAN. AUG.	
<i>Bogumiła Józefowicz</i>	181
PODBERESKIEJ RÓŻY:	
<i>Nepenthes (fantazja)</i>	
PODBERESKIEGO LUDWIKA:	
<i>Sześć Chat</i>	212
SEZPIELEWICZA GAUDENTEGO:	
<i>List I Do A. P.</i>	
<i>List II Do A. P.</i>	232
SZTYRMER ELEONORY:	
<i>Urywki z Pamiętnika. Oryginalnie</i>	

	str.
<i>wychowanej: Kobiety</i>	35

RYCINY RUDOLFA ŻUKOWSKIEGO:

<i>Kwiaty</i>	15
<i>Modląca się w Powązkach</i>	144
<i>Dwie Brzozy</i>	170
<i>Kurhany</i>	231
Portrety:	
<i>Eleonory Sztyrmer</i>	35
<i>Bogumily Józefowicz</i>	181

PSALMODIJA.

I.

Bóg wywoławszy człowieka z nicości,
Zatlił w nim iskry niebieskiej miłości,
I rzekł by tylko na znak zawdzięczenia
Kochał Go więcej niż wszystkie stworzenia,
A człowiek wtenczas był jeszcze bez zmayı
I święte Stwórcy wypełniał rozkazy.—
Lecz przyszła chwila.—nadszedł dzień upadku,
Człowiek zapomniał o Boskim zadatku,
I dumny duchem chwycił się rozumu....—
I od téj pory, pośród ludzi tłumu
Jak gość nieznanym błądzi miłość świętą,
Słów Stworzyciela już nikt nie pamięta,
A naród ludzki, godzien Bożej karni,
Skalał ją brudnym uczuciem bojaźni.

II.

»Błogosławieni którzy kochać będą
 Albowiem oni Królestwo posiędą.«
 Tak Bóg-Stworzyciel przybiegłszy do endu
 Przez usta Syna przemówił do ludu,—
 I miłość święta rzuciwszy niebiosa
 Zeszła na ziemię jak ożywcza rosa:
 Ale nikt gościa nie przyjął do siebie
 I opuszczona skrył Chrystus na niebie; —
 A człowiek czastki nawet nie pochwycił
 Ni chciał ją poznać—ni duszę nasycił!..

III.

Mędrce bez serca—gorzki płodzie świata!
 Za przeszłym życiem i twa myśl ulata..
 Ale o mędrce! mądrość i siwizny
 Niebieskiej tobie nie wróca ojczyzny!
 Kochaj—i stanie przed tobą osnowa,
 Na której światów spoczywa budowa;
 Miłość ci niebo znów wniesie do łona,
 I z prawd przedwiecznych opadnie zasłona,
 Niebo i ziemię obejmiesz pospołu,
 A miłość święta bez ślęczeń, mozołu,
 Nad tęp rozwinie swe zwycięzkie znamie
 Czego twój dumny rozum nieprzelamie.

St. Petersburg,
8 listop. 1840 r.

ST. LACHOWICZ.

Do Ks. ADAMA KR—SKIEGO.

Nalej, nalej w puhar wina
 Nim się wspomnień zwój rozkręci,
 Wino Łeta dla pamięci
 Przy nim trosk się zapomina —
 Tém przelamię serca bole
 Myślom lotu nie dozwolę.
 Miłość—ksiegi—srogi jad
 Rozogniły me marzenia,
 Wnich badałem przeznaczenia
 W nich szukałem madrych rad.
 Niegdyś—ja dziecię, na kobiercu kwiatów
 Igrałem wesol nieznajac westchnienia,
 Przyjaciel ludzi, współbiesiadnik światów,
 O ile promień widnokregu kryśli
 W szczyplym obwodzie zamknięte marzenia
 Granica uczuć i granica myśli.
 A jednak w wieku dziecinniej swobody
 W dzikie ustronia uczucia mię wiodły
 Więcej mię ludził posepny szum jodły
 Niz wonne liście zielonej topoli,

Bardziej rad patrzeć na wzburzone wody
Niżli na szybę cichego strumienia.

Gdybym uczucia wplatał w szczuple kolo
Mógłbym z tłumem żyć wesolo,
Rad ze świata, rad z mej doli
Stapać torem przeznaczenia.

Młodości chwile—pamiętam jak we snie,
Nie długo trwały—i w dziecinne lata
Rodzinna strzechę pożegnałem wcześniej
Rzucony w odmet burzliwego świata —

Odtąd gościem w ojców domu,
Młodość—moim żaglem była,
Wiatrem—burza namiętności,
Sterem—własnej duszy siła —
Watly korab w chwilach gromu
Śród światowych nawałności.

Młodzieńczym duchem i odwaga zbrojny
W dalekiej ziemi, za Dnieprem, za Donem
Lutnie mych uczuć z czarodziejskim tonem
I duch do dźwięku światów nastroiłem,
Jednak zaledwie jej stróny wzruszyłem
I dźwięk był twardy i akord nie strojny,
Echo straciło siwy leb Kaukazu
Zbiegło po niemej lodowatej skale
Straciło Wolgi i Kaspijskie fale —
Prożno kto glos swoj i uczucia trudzi

Nie znajdzie duszy w twardej piersi głazu
Nie znajdzie uczuć w twardszej piersi ludzi.
Znam wyższe życie i nieziemska mowę
Czarownych uczuć i myśli osnowę, —
I mojej duszy skrzydło, lekko, śmiało
Nie raz do stropów Niebieskich sięgało,
I wyżej, wyżej — za kolowrot świata
Jak tylko może wznieść się myśl skrzydłata,
I wzrok mój nieraz sięgał tak wysoko
Jak może sięgnąć niesmiertelne oko,
Przeniknął tajnie: — i prawdę odkryłem —
Leciałem górnio, patrzyłem szeroko
Gdzież doleciałem i cóż wypatrzyłem? —

Dusza na skrzydłach myśli niesiona
I w idealne objęta ramiona
Pędziła wyżej, sadząc że przelamię
Tajnie przyrody światowej przestrzeni —
Olsnęło oko od blasku promieni
W górnym polocie zwichnęło się ramie
Prożno więc tęsknisz i żalisz Adamie!

A. KLEWSZCZYŃSKI.

St. Petersburg, 1838.

MELODJA.

Przeszły dni—wszystko zginęło, przepadło,
 W duszy konają uczuć dawnych ślady;
 Wszystkom zapomniał—jak senne widziadło —
 Czemuż nie mogę zapomnieć jej zdrady!..
 Pieśń o rodzinie, z młodzieńczym zapalem,
 Rajskie sny serca, — szczęścia obraz blady, —
 Łzy i westchnienia—wszystko zapomniałem,
 Czemuż nie mogę zapomnieć jej zdrady!..
 Ostatnie zale—ostatnie cierpienia,
 Uczuć ostatnich ruiny,—gromady,—
 Wszystkom zagrzebał w grobie zapomnienia,
 Czemuż niemogę zapomnieć jej zdrady!..
 Dziś zapomniałem to co wczoraj było, —
 Dnia dzisiejszego—*jutro* zatrze ślady . . .
 I kiedy wszystko zamrze za mogiłą —
 Czyż nie zapomnę i wtenczas jej zdrady!

L. PŁOSZYŃSKI.

St. Petersburg,
 1840.

PODRÓŻ.

**Jak w podróży czas wesoly!—
Gdy woźnica lejce z dłoni
Puści k' biegu, dzwonek dzwoni,
Konie leca jak sokoly.**

**Ledwo wiorsty chwytam okiem,
Nikną pola, nikną siola,
Skry z pod kopyt i z pod koła,
Za mną leci pył oblokiem.**

**Słońce zaszło, tam już gwiazda,
Na upał dzienny nie dbałem,
I wiorst dwieście przeleciałem,
W nocy lżejsza, lepsza jazda.**

**Tam znrawiów stado leci,
Spada w poln,—we mgle tonie;
Ich noc uśpi tam na lonie,
Jakby matka swoich dzieci.**

Ja nie zasnę, lecz w pamięci,
Chwil mych przeszłych wskrzeszę promyk,
Który jakby błędny płomyk,
Znikł i zdradził moje chęci.

Tam samotne myśli leca,
Patrza w przeszłość duszy okiem,
Przeszłe chwile skryte mrokiem,
Tam jak gwiazdy w nocy świeca.

Wzrok kochanki, życia ranek
Mych przyjaciół, me marzenia,
Wszystkie mile me wspomnienia,
Myśla w jeden splatam wianek.

Tam ma дума tkwi bezsenna,
Jak na listku drzy do świtu,
Padająca lza z błękitu
Nim roztopi światłość dzienna.

Księżyc odkrywa półtwarzy,
Jego z góry światłość blada,
Na krzyże, kamienie spada
Nad mogiła on coś marzy.

O mogiło! w twoim cieniu,
Po skończonym życia biegu,
Podróżny spi na noclegu,
Koniec wszelkiemu marzeniu.

Nagle grzmot przeraził uszy,
Widzę—niebo się zachmurza,
Szumia lasy, razem burza
I pod niebem i w mej duszy.

Skryła ciemność góry, doły,
Coraz silniej błyska z chmury,
Przez las głuchy i ponury,
Konie leca jak sokoly.

J. BARSZCZEWSKI.



MOJA NADZIEJA.

Gdy mię dokoła mgła śmierci otoczy,
Gdy będzie gasnąć mdlejaca źrzenica,
Niech cię twa, luba! stanie mi przed oczy,
Niech widzę uśmiech anielskiego lica.

Niech mi się zdaje że twa droga ręka,
Pot mi ociera z wybladłego czoła,
Znośniejszą dla mnie będzie śmierci męka,
Gdy ujrzę mego przy sobie aniola.

A kiedy z więzów uwolniony ciała
Duch się mój wzniesie do wieczności lona
Ty coś mię tyle za życia kochała,
Towarzysz jemu żona ulubiona.

Przy twych popiołach niech proch moj spoczywa,
 A kiedy chwile ostatnie wybija,
 I traba owa ozwie się straszliwa!
 Mogiły nasze razem się odkryja.

Jak we dni szczęścia połączywszy dłonie,
 Jak we dni szczęścia złączeni sercami,
 Staniem z ufnością przy Ojcowskim tronie—
 On się użali, zmiłuje nad nami.

To, cośmy na tym padole cierpieli,
 Poruszy serce jego do litości,
 A gdyśmy w życiu mało szczęścia mieli,
 Sprawí iż będzim szczęśliwi w wieczności.

GAUDENTY SZEPIELEWICZ.

1837 r.





KWIATY.

—
DLA MODESTY ŁA . . . SKIEJ.

Jak diamenty krople po łące
Rozsiewa rosa w poranne chłody;
Jeszcze z za lasu nie wstało słońce ,
Nie śpiewa pasterz w polu u trzody.

Zosia po kwiatach jak motyl lata,
Zrywa goździki, zrywa bławatki,
Wiąże bukiety, wianeczki spleta
Hymn do Najświętszej śpiewając Matki.

-Królowo nieba w krąg twego czola
Ozdobny wieniec pala gwiazdami,
Ja ci kwitnące te polne ziola
Skladam w ofierze—modl się za nami!

Zlituj się Panno nad wiernym ludem,
W tobie nadzieja gdy ściga trwoga,
O matko wspomóż kościół twój cudem
Modl się za nami przed tronem Boga.

Już brzegiem Dzwiny Zosia powraca,
Swieca się świeże kwiaty z koszyka,
I jej hymn święty, gorliwa praca,
Uprzedza raune trudy rolnika.

Tam gdzie przy drodze góra wyniosła,
I w cieniu sosen kościół na górze,
Na dachu dzika trawa wyrosła,
I mech się jeży wkolo po murze.

Ten kościół pusty—wiele lat splywa,
Jak w nim nieblyszcza świecy promienie,
Dawno się organ tam nieodzywa,
I dzwonek dawno skouało brzmienie.

Kiedy z północy burza zawyje,
Wiatr wpada w okno pustej budowy

A gdy zmrok nocny ziemię pokryje,
Tam slysza krzyki samotnej sowy.

Jeszcze na ścianie rama została,
Z obrazu farby niestarły lata,
Najświętsza Panna dziecię trzymała,
A dziecko w reku ma kulę świata.

Zosia tam idzie—»zdrowaś Marija—
Odmawia klecząc i składa kwiatki,
Wonna girlanda obraz obwija,
Hymn do Najświętszej śpiewając Matki.

•Królowo Nieba w krag twego czoła,
Ozdobny wieniec pala gwiazdami,
Ja ci kwitnace te polne ziola
Składam w ofierze—mold się za nami!

Zlituj się Panno nad wiernym lndem,
W tobie nadzieja gdy ściga trwoga,
O matko, wspomoz kościol twój cudem,
Mold się za nami przed tronem Boga.»

Odkrywa oczy łzami zalane
Widzi młodzieńca posród kościoła,
W reku lilije świeżo zerwane
Te bielsze niżli szata Aniola.

I na lilijach kropelki drzały,
 Jakby przed słońcem jutrzenki lezki;
 I pelen blasku wnet kościół cały
 Gdy tam posłaniec stanął niebieski.

•Lilije•—Anioł rzekł do dziewicy,—
 Niewinne modły, co Boga chwala,
 Łzy uczuć które padły z żrzenicy
 Jasnziej niż gwiazdy w niebie się pala.

Tu jest i twoja ofiara droga,
 I łza co z oka wylała skrucha,—
 Niosę tam złość przed trouem Boga
 Bóg twe modlitwy chętnie wysłucha.

I Matka Boska czuła opieką,
 Nagrodzi modły, łzy twe i cnoty,
 I dla was szczęście popłynie rzeka,
 I na tych polach błysnie wiek złoty. •

Jak gdy na niebie tęcza z obłoków,
 Przed słońcem jasne barwy rozkryje
 Strzeliły skrzydła jasne mu z boków,
 I znikł trzymając w reku lilije.

Modesta!—w krótkiej powieści mojej
 O kwiatach Zosi śpiewam dla ciebie,

**Bo i twych uczuć, dobroci twojej
Kwiat z rak anioła świeci na niebie.**

**Zgodnie z uczuciem ojca i matki,
Myśli twe kwitną barwy pięknymi,
O bodaj takie ozdobne kwiatki,
Kwitnęły zawsze na naszej ziemi!**

J. BARSZCZEWSKI.

**6 sierpnia 1841 r.
w Oświężu.**



RUSKA MELODIJA.

(z Kolcow'a)

Oh! niepowiem nikomu
Dla czego ja wiosna
Kwiatów kraśnych nie zbieram,
Co po polu rosną!..

Ach! daleko ta wiosna,
I powiedły te kwiaty,
Z których niegdyś radośna,
Wiłam wianki ja z nim!..

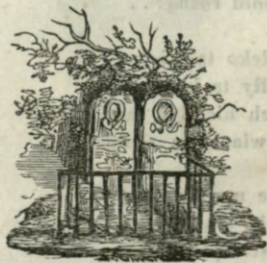
I jnz nie ma tych dni,
Co leciały jak strzała,
Co miłością paliły,
Co paliły ogniem!..

Wszystko przeszło już dawno!
Nie powrócić już tego! . .
Na coż mam ja bez niego
Kraść wianki wić! . .

Oh! niepowiem nikomu
Czemu młode me piersi
Jak ołowiem, tak ciężko
Tesknica zaległa . . .

ST. LACH.

St. Petersburg
10 Marca 1841.



W IMIENNIKU

JULJI J.

Jaśniejszym blaskiem lśnią gwiazdy na **Wschodzie**,
 Piękniejsze Almy w Allaba ogrodzie, —
 Jednak za toba moich myśli strzała,
 Z Azyjskich stepów do Litwy leciała.
 Tam nie raz wsparty na krawędzi głazu
 Luba! ja smutny marzyłem o tobie,
 A myśl przestronna jak obszar oazu
 Co u stop moich swój całun rozwijał,
 Ponura, dzika,—i duch moj w żalobie
 Blask twjej postaci w swych cieniach odbijał,
 I wznosił się w sferę nad-ziemską, teczowa . . .
 A w tem zbudzony hymnem Al-Koranu,
 Rykiem wiebladow, i szumem burzanu,
 Zstał do ciała, by cierpieć na nowo.
 Tylko step głuchy i martwy złom skały

Hieroglif duszy w mém oku widziały,
 Bo siłę uczuć,—wylamana w słowa
 Nie dość maluje zwykła ziemian mowa.
 Teraz znów szalem dzikich chęci gnany
 Idę szaleniec z ojczystej zagrody
 Może za Bałtu i Atlantu wody
 Lub południowe przebrnę oceany, —
 Luba! w twojej duszy niech pamięć zostanie
 I kiedyś . . . wspomnij na nasze rozstanie.

A. K.

Wilno 1838.



SONET.**CIERPIENIE.**

Jeśli kogo dogoni losu zemsta sroga,
I sięga gorycz cierpień do serca głęboko,
Wznosząc z jękiem ku niebu swoje łzawe oko,
I w nocy bez spoczynku błaga litość Boga.

Lecz gdy modły bez skutku, bólu niema miary,
Wzrok wyschnie obłąkany, i jęk oniemieje
Wzimnej piersi; serce się trucizną zaleje,
Przestrasza lud widokiem, jak cień nocnej mary.

Nakoniec, temi słowy w okropnym cierpieniu,
Zadając zmniejszyć co dzień niszczące płomienie,
Mówi—«by cierpieć takie moje przeznaczenie,

Bóg rzadzi światem i ja wierzę przeznaczeniu,
Tam szuka człowiek ulgi w okropnej kolei,
Lecz w niebie nam przyświeca gwiazdka i nadziei.»

J. BARSZCZEWSKI.

QZTEROWIERSZ.

Luba! często zazdroścę gdy dziecię pustoty,
 Trzpiot uśmiech z ustek twoich wysysa pieśczoły.
 Ależ i sam tak piękny że aż w serce wnika; —
 Pozwol mi pocałować tego swawolnika.

WINCENTY GOZDAWA REUTT.



NIE BĘDZIE TWOJA.

Gdy nowa gwiazdkę w niebios oceanie,
Posród gwiazd innych astronom odkryje,
Wie że jej z nieba nigdy nie dostanie,
Lecz się w niej kocha dla niej tylko żyje.

Ku niej się zawsze zwraca jego oko,
Choć się gwiazd innych mnóstwo przy niej
świeci,

Choć ona błyska daleko, wysoko,
Lecz do niej sercem, do niej myślą leci.

Z nią w nocnym mroku rozmawia kryjomie,
Ja tylko śledzi po obszernym niebie,
Próżno byś mówił: »biedny astronomie!
Ta gwiazdka nigdy nie zejdzie do ciebie.«

— Wiem o tem, powie, i prozne nadzieje,
I płonne żądze dalekie odemnie,

Ale ta gwiazdka tak pięknie jaśnieje.
I za nią wzrokiem ścigać tak przyjemnie!

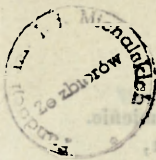
Nie zejdzie do mnie! . . . lecz jej promień złoty
Na szkłe się moimi i okn rysuje,
Ja śledzę gwiazdki po niebie obroty,
Jej kształt, jej światło, jej piękność opisuje.

Przezemnie czasem potomnym znajoma,
Zabłyśnie żywszym w przyszłości promieniem,
Przez nią się wsławi imie astronoma
I przejdzie wieki razem z jej imieniem.

1838 r.

G. SZEPIELEWICZ.



**DLA JOHANNY A.....WICZ.**

**W Algierskich stepach , pod słonecznym skwarem,
Przechodzi pielgrzym niebezpieczne drogi,
Myśli znékane cierpienia ciężarem,
I blisko ryczy lew i lampart srogi,
Widzi na piasku i tygrysa ślady,
I jadowite groża śmiercią gady.**

**I grzmi niebo, burza bliska,
I huragan z całej mocy,
Zrywa piaski w oczy ciska,
W stepie ciemno jakby w nocy,
I deszcz leje i wiatr wyje,
Gdzież sie biedny pielgrzym skryje !**

**I burza znikła i zwierze i plazy.
Wszędzie jak w raju, zefirek powiewa,
I ptaszek rajski z zielonej oazy,
Wylata; siada na palmie i śpiewa.**

I z piórek błyszcza rubinów promienie.
I głos jak gdyby strón niebieskich brzmienie.
 Słucha pielgrzym w zachwyceniu,
 I tak pieśnia myśl zajeta,
 Że o biedach, o cierpieniu,
 O pielgrzymstwie niepamięta,
 Z śpiewem ptaka jego cała
 Myśl do nieba uleciała.

Dziewico! kiedy czytam myśli twoje,
I gdy rodzinnej mowy słucham brzmienie,
I ja nieszczęście zapominam moje,
Rodzą się w myśli przyjemne wspomnienia,
 I dusza moja w zachwyceniu cała,
 Jakby głos bliski anioła słyszała,
 Gdy z pod pięknej twojej ręki,
 Po klawiszach zabrzmiały tony
 Jak rajskiego ptaka dźwięki, —
 Tę w myślach pogrążony,
 W niepamięci świat się kryje,
 Latam w niebie, w niebie żyję.

JAN BARSZCZEWSKI.

WYJATEK Z FANTAZYJ OPISOWEJ

NOWY ROK

1840.

—

Piękne jest niebo gwiazdami uslane,
Piękny jest księżyc w całym światła blasku.
Piękny świat cały gdy Niebo oddane,
W jednym powabnym widzimy obrazku—
Lecz jest piękniejsze życie wyobraźni,
Gdy człowiek żyjąc w pośród ideału,
W pośród zachwyceń uroczej przyjaźni,
W piękniejszą sferę wlatuje pomalą,
I tam znajdując urok dla się nowy,
Nowy świat w nowe przeistacza cienie,
Pelen zachwyceń zaprzysiądz gotowy,
Ze to obecność, ale niemarzenie.

Czemż, ach! czemż urok tego nieba,
Niechce zabawić stroskaną ma dusze?
Czemż mi jeszcze czegoś więcej trzeba.
Nad wyobraźnia, w której żyć ja muszę?
Czemż wywiedzion z krainy marzenia

Jasnieszłą coraz rzeczywistość widzę?
 Czemuż wznawiając stłumione westchnienia
 Siebie potępiam i sobą się brzydzę?
 Lecz nie!—ja wiecznie w przeszłość uwierzyłem,
 I z niej wywiedzion w terazniejszość skrycie,
 Pogardzam wszystkim—i jak wprzód marzyłem,
 Chcę tak przemarzyć, całe moje życie! —

Bo któż zaprzeczy że przeszłości chwile,
 Są dla nas miłsze nad przyszłość ukryta;
 I terazniejszość niezajmie nas tyle,
 Jak błoga przeszłość w wspomnienia obfita!
 Ja przypomnienie nad obecność wolę —
 Gdyż i obecność choćby najpiękniejsza,
 Jak rzeczywistość ma swoje granice,
 Lecz wyobraźnia w całym swoim kole,
 Wraz z przypomnieniem stokroć jest wolniejsza;
 I tak swym blaskiem odbija na lice,
 Ze tęskne myśli niszcząc w kółko siebie,
 Duszę unosi i stawia ją w niebie! —
 Ale przyszłości lekam się odcienia,
 I jej granice przestąpić się boję,
 Dla mnie okropne obecne wspomnienia,
 Z niemi nad piekła obszarami stoję;
 Zda mi się nawet że bliżac te chwile,
 Dotknę się piekła i legnę w mogile —

Ja płynac zwolna po przeszłościach fali,
Przeliczam perły rozsiane po morzu;
Ważę ich wielkość i piękność na szali,
I szczęśny płynę po miłém przestworzu.
A jeśli kiedy w błędnej mojej drodze,
Na ostry kamień upadnę myślami;
Choć serce wówczas rozrani się srodze;
Lecz nowa perła znowu mię omami;
I nieda nigdy uronić lży bolu,
Wodzac mnie ciągle po kwiecistym polu.

Tam mi jest dobrze! — daleki od świata,
Tambym ma duszę przykuł i zostawił;
I myśl, i serce, i wszystkie me lata
W pięknym marzeniu przepędził i strawił —
A kończac nawet doczesne to życie,
Wspomnień przeszłości żalowałbym skrycie! —

Znam ja wspomnienia! — znam je dostatecznie,
I ciebiem pytał czy pomnisz te czasy,
Gdym mniemał szczęście odziedziczyć wiecznie,
Pięknym marzeniom dodajac okrasę —
Nawet i smutne te dnie i godziny,
Które uniesion ze śmiercią równalem,
Jedna twa grzeczność i uśmiech jedyny,
Wszystko zniszczyło — i ja — zapomniałem

I byłem znowu szczęśliwy na ziemi,
 Jak w raju żyłem myślami mojemu,
 Póki otwartość nigdy nieżebrana,
 Zegnać kazła ze snami cudnemi!
 Com ja przewinił zyjac między niemi
 Mysia mych marzeń?—zebym z mego raju,
 Żeby przyjemność mnie jednemu znana,
 Do piekielnego wtraciła mnie kraju? —
 Jam nigdy, nigdy niechciał zdjąć zasłony,
 Wiodącej prosto w piekielne otchłanie;
 Ja myślą moją byłem odurzony,
 I najszczęśliwszy w serca mego stanie.
 Tyś nieproszona zasłone odpiela,
 I całe piekło zgarnelaś w ma duszę;
 Tyś mą spokojność, tyś me niebo wzięła,
 A ja ci jednak to przebaczyć muszę?
 Bo znam kobiety!— u nich co jest w myśli,
 Co tylko cięży ua sercu i głowie;
 Co tylko błędna jakaś myśl określi,
 Wszystko to, wszystko oddadza w swęj mowie.
 I niechca spytać, czy wiedzieć kto żada,
 Swojego szczęścia, lub swojej niedoli;
 Jeśli upatrzą kogo serce boli,
 Lub kto z uczuciem na kogo oglada
 Wnet mu wymówią majace bydź dzieje,
 Lub piękna przyszłość, lub zwiędle nadzieje!

Ale niekażdy przyszłość wiedzieć żada,
Bo niekażdemn ona się uśmiecha;
Nie jeden na nią ze wstretiem ogląda,
Nie jeden do niej mimowolnie wzdycha;
Ale powolny swojemu losowi,
Zdjęcie zasłony zostawia czasowi! —

Ja i czasowi niechciałem się zwierzyć,
Bo i w nim nawet nadziei nie było;
Ja chciałem tylko część życia tak przeżyć,
Jakby na ziemi w niebie się przeżyło —
Lecz widać było inne przeznaczenie;
Nie dla mnie ziemia stworzona jest rajem,
Nie dla mnie niebem cudowne marzenie;
Dla mnie marzenie piekielnym jest krajem.
Jam nosił gorycz w duszy mej ukryta,
Odkiedy świat ten poznałem bydź ziemia;
I dusza moja w żal była uwita,
W której rokosze wieczystym snem drzemia.

Lecz pomnisz chwilę, gdy Orfeja strojem
Łezkę czułości w twych oczach wylałem;
Jesliś umiała czytać a sercu mojem,
Ja wówczas wszystko wszystko zapomniałem —
Tem umorzyłyś zadana mi ranę;
Wtencas na nowo ja życie zacząłem,
Dawne uczucia znów były przelane,

Bo z każda nota część życia przyjąłem,
 I raz pojałem w miłym zachwyceniu,
 Ze wśród nieba, wśród anielskich głosów,
 Byłem aniołem w cudownym marzeniu,
 Wśród aniołów i wśród niebiosów.

Jak tylko pierwsze zabrzmiały mi tony,
 I z ucha w serce przelały się gradem;
 Jam się zapomniał cały zachwycony,
 Jakby Mesmera upojony jadem.
 Wtenczas ma dusza wznosząc się wysoko,
 Myślami swemi sprzedała całe życie;
 Wszystko umilkło, zamknęło się oko,
 Zostało tylko jedno serca bicie—
 I tak gwałtowne w chwilach uniesienia,
 Jak myśli moich bujające krocie;
 I tak ogniste jak moje marzenia,
 W pięknym, uroczym, w gwałtownym przelocie.

Patrz!— już ma dusza zachwycen promieniem,
 Za harmonijnym uleciała dźwiękiem;
 Ginie w odmęcie z każdym uderzeniem,
 I kona z każdym przytłumionym jękiem;
 I znów ze spadkiem uniesłego tonu,
 Wraca się ziemi cząsteczki uszczyknąć!
 I zda się czekać muzycznego zgonu

Żeby z nim razem nlecić i zniknąć! —
 I tamby spełzła gdyby niedrogiemi,
 Była przykuta więzami do ziemi,
 Które ją łącząc z ziemskimi losami,
 Paść jej kazaly tuż przed jej stopami

Ach! krótkom latał! — pomnę jednak przecie
 Gdym się raz uniósł po muzycznym dźwięku;
 Widziałem bóstwo w idealnym świecie,
 Boleść krésłacą w załamany reku —
 I zdaję mi się, że głosem Anioła
 Pierwszeństwo miała nad muzyczne pienia;
 A łza niebieską i tęsknością czola,
 Przeniosła moje najmiłsze marzenia! —
 Ona śpiewała z największą czulością,
 Żal zeszytych chwilek szczęsnego uroku;
 Myśla latała za błogą przeszłością,
 Żadnej nadziei niemając w swém oku.
 Łzy jej płynęły! — i mnie łza spłynęła,
 Bo w niej widziałem losów mych koleje;
 Zamarła przyszłość i starte nadzieje! —
 Wnet wszystko ścichło — i ona — zniknęła —
 A gdy potrójne akkordowe brzmienie,
 Ostatni głos swój wzbilo pod sklepienie;
 A z tamtąd znowu jako ciężkie brzemie,
 Raptownie z góry upadło na ziemię:

Zdało się wówczas że dziwem przejęci,
 Umilkli nieba zebranego—święci! —
 J jam się ocknał!

E. KAROL SIEDROTSKI.



DO MOJEGO OJCA

UBIWKI Z PAMIĘTNIKA

ORYGINALNIE

WYCHOWANEJ

KOBIETY.

Y

ZEBRANE I WYDANE

przez

ELEONORE SZTYRMER.

DO MOJEJ OLESI.

O, mile dziecko!
Nimeś na świecie
Oczki dkryła,
Wiesz li gdzieś była?
Byłaś ty w raj, u
W niebieskim gaju,
Między anioły,
Co z tobą spoly
Jak jednej matki
Rodzone dziatki,
Nieskazitelne
I nieśmiertelne,
Graly u zdroju
Szczęścia—pokoju!
A gdy dla ciebie
Zegar na niebie
Wybił godzinę—
Wraz cię Anieli

**Na raczki wzięli
I na pół śpiąca
Mile marzaca,
Złotemi pióry
Przynieśli z góry,
Jako sadzono
Do mnie na łono!**

**Więc mile dziecko
Pomnieć ci trzeba,
Ześ ty na świecie
Wycznanka nieba!
Że dla pokuty
Duch, w ciało wkuty
Z myśla o niebie
Żyje na ziemi,
I dręczy siebie
Dumy swojemi!—**

CZEŚĆ PIERWSZA.

ŻYCIE BEZ MIŁOŚCI.

Biada, kto młody na świat patrzy staro.

WITOLORAUDA.

*plus l'homme veut vivre selon l'esprit,
plus la vie présente lui devient amère,
parcequ'il sent mieux et qu'il voit plus
clairement, les défauts de la corruption
humaine*

FRÈRE JEAN GERSEN.

*Wer erfreute sich des Lebens
Der in seine Tiefen blickt!*

SCHILLER.

*Still less could maid so meek have nursed
Desire of knowledge—that vain thirst,
With which the sex hath all been cursed
From luckless Eve*

. . . . to trust, is happier than to know.

TH. MOORE.

*Rudnica 30 września 184**.*

Dziś, kiedy zaczynam pisać ten pamiętnik, skończyło mi się 24 lat!

Inne kobiety w tym wieku, po większej części przeżyły już szczęśliwą epokę pierwszej miłości, powychodziły za mąż, zapomniały tego czemu ich zajmowano na pensji, mają swój dom, doczekały się dzieci i marzą o ich przyszłości. . . ja, dziś dopiero skończyłam edukacja!

Inne kobiety, pija oddawna roskosz lub gorycz z kielicha świata, kreca się w jego odmęcie, między życzeniem i obawa, roskosza i smutkiem, śmiechem i nuda—słowem żyja. Ja, dotąd - marzyłam tylko o tem i uczyłam się jak żyć należy. Przepędziwszy całą młodość samotna, w głębokiej wiejskiej zaciszy, słuchałam co mi ojciec mówił o świecie i ludziach; podobna do człowieka, który przed brama nieznanego domu zabiera wiadomość o tych co w nim mieszkają. Z jego opowiadań znam świat, prawie tak dobrze jak geografja Chińskiego Państwa—pragnę przestąpić przez próg który mnie od niego oddziela, ale kiedy pomyśle że to ma w krótkce nastąpić, serce moje napelnia się trwoga, jak gdyby mi wypadalo iść o półnoocy na mogile matki! . . .

Inne kobiety ida zwolna, krok za krokiem na spotkanie społeczności, oczy ich stopniowo przyzwyczajaja się do wszystkiego, a umysł takaz sama droga wychodzi z dziecinnej prostoty. Przed mo-

jém okiem nagle odsłoni się kurtyna teatru świata, wiele rzeczy może oślepi mój wzrok, ale umysłu mego nie nie zadziwi, bo wiem zawczasu co spotkam! Mój Boże! gdyby drnga kobieta w tym wieku wzięła pióro do ręki, o jakąż długą historija mogła by wpisać do swego pamiętnika! A ja cóż tu pomieszcze? życie moje dotąd, było tak ciche, tak jednostajne, tak systematycznie rozwinięte podług raz nakreślonego planu, że dość jest wiedzieć pierwszy i ostatni dzień tego perijodu żeby powziąć o nim pojęcie.

Pierwszy dzień i jego skutki.

Ten dzień najniebezpieczniejszy z mego życia bo w nim straciłam matkę. Najęta ochmistrzyni, kobieta najlepszego serca, czuła i troskliwa, ale bierna jak echo woli mego Ojca, zastąpiła jej miejsce; zastąpiła ją w takim stopniu w jakim tylko może obca osoba: lecz nie zupełnie; bo któż w świecie potrafi być matka dziecięcia oprócz tej która mu dała niebo? Ona kochała mnie niewypowiedzianie, troszczyła się o moje zdrowie, odzienie, wesolość; pragnęła szczerze mego szczęścia — a jednak jak tylko rozwinał się mój rozsadek, pojęłam natychmiast że mi brakowało matki. Sama moja dobra ochmistrzyni, tłumaczyła mi często

ważność tej straty, nazywała mnie *sierotka*, i kiedy wymawiała to słowo, lzy mimowolnie zbierały się jej na oczach. Z nią chodziłam wieczorami na mogiłę matki, polewałam na niej kwiaty, modliłam się za jej duszę, i rozmawiałam z nią, jak gdyby mogła mi odpowiedzieć z nieba! Dziś, kiedy przypominam sobie te rozmowy z ochmistrzynią na samotnym wiejskim smętarzu, widzę że zająca kobieta miała słuszość; gdyby opiekuńczy promień macierzyńskiej miłości, oświecał i ogrzewał był moje serce, miałabym zapewne inny charakter. Czuję że we mnie jest coś nienaturalnego—jestem podobna do kwiatka który wyrosł w sztucznych parnikach, ogrzewany ciepłym podług termometru, polewany odmierzoną wodą, i przywiązany ciągle do słupka. Nigdy taki kwiat niebędzie mieć tej świetnej barwy i swiczości, które wolne powietrze, słońce, rosa i powiew zefiru nadają drugim bez żadnej sztuki! —

Ojciec mój! szanowny starcze, daruj że słabą ręką kreślę tu twój portret. Xawery C*** ostatni potomek szlacheckiego rodu, ukończywszy w młodości edukację w kraju, wędrował potem kilka lat za granicą, dla dopełnienia doświadczeniem tego, czego nieznalazł w książkach. Posiadając niepospolite oświecenie, obdarzony rzadką przenikliwością, i nieporywczym w sadzeniu, obserwował

ludzi okiem filozofa i z czasem nabył rzadkiej wprawy w ich poznaniu. Wróciwszy do Warszawy, młody, bogaty, utalentowany, pokochał namietnie jedną młodą osobę i ofiarował jej swą rękę. Przeciw oczekiwaniu wszystkich, panna odmówiła mu, i wkrótce potem wyszła za młodzieńca bez imienia, bez majątku a co gorsza bez żadnych przymiotów umysłu i serca które by mogły usprawiedliwić jej wybór. Była to zbyt ślepa miłość, i gdyby w duszy mego Ojca znajdowało się tyle egoizmu ile go zwyczajnie widać w każdym wzgardzonym zalotniku, to mógłby być pospolicie przyjętym sposobem, to jest szyderstwem i obmowa zemścić się nad swoją nlubioną—Ojciec mój postąpił przeciwnie; przytłumił bolesne uczucia w sercu, został przyjacielem tej która go odrzuciła, i zawsze uniewinniał jej postępek. Starania jego, znaleźć przyjaciela, zostały również zawiedzione; tam gdzie szukał otwartości, dobroci i przywiązania spotkał fałsz, ukrytą złość i interes. Jednym słowem człowiek co zdawało się powinien był znaleźć wstęp do każdego serca, dla tego że mógł z nim podzielić tyle szlachetnych uczuć, niemógł się niczego dobić od świata, oziębł dla niego stopniowo i został samotny! Okropne to musiały być chwile kiedy to szlachetne serce,

pożegnawszy swoje ideały, porzucało na zawsze marzenia i natomiast poddawało się zupełnie pod władzę zimnego rozumu! Kosztowało go to zapewne wiele, ale raz zdecydowawszy się, unikał potem stale wszelkich związków które podług jego zdania niemogły być trwałe. Odtąd utrzymywał zawsze, że lepiej jest *obserwować* miłość i przyjaźń, jak ich *doświadczać*, lepiej czynić dobrze drugim z miłości bliźniego jak z innych przemijających pobudek, lepiej kochać wszystkich jak kilku—słowem społeczność przemieniła się dla niego w *książkę*, która lubił czytać, nad którą się zastanawiał, niekiedy śmiał się, niekiedy płakał; i która go tyle zajmowała że przestał myśleć o sobie.

Ojciec mój niemiał żadnego zamiara żenić się, i zapewne byłby samotnie przeżył swój wiek, gdyby daleki krewny umierając, nienaznaczył go opiekunem córki sieroty, która zostawiał po sobie. Ta sierota była moja matka. Pan Xawery chce sumiennie wypełnić wola nieboszczyka, i niewiedząc co zrobić z 18letnią panną;—niemając rodzinnego domu i nie życząc sobie oddać ją obcym ludziom, po długim wahaniu się wyjawil jej nareszcie swoją niespokojność i spytał czy jej się podoba kto z młodzieży?—»Zaden«—odpowiedziała moja matka.—Pan Xawery pomyslawszy nieco, zapytał znów czy

mogła by wyjść za człowieka w wieku, który by ofiarował jej swą rękę bez miłości, lecz z zamiarem być jej przyjacielem i opiekunem? — Matka moja oceniła tę szlachetną otwartość, podała mu dłoń i na tem się skończył cały ich romans. Ojciec dotąd utrzymuje że człowiek z dobrym sercem, uczciwy i rozsądny, może być bez miłości, najlepszym mężem, i więcej uszczęśliwić kobietę jak ten który namiętnie był zakochany przed zawarciem małżeństwa; niepotrafię tego, rozstrzygnąć ale wiem że matka moja była szczęśliwą żoną.

Straciwszy ja, Ojciec mój postanowił natychmiast wyjechać na wieś, złożyć tam drogie szczątki i poświęcić resztę życia na moje wychowanie. Przy blasku żalobnych pochodni które gorzały około nieboszczki, nakreślił sobie plan i stale go się potem trzymał — oto są główne zasady na których wszystko się opierało:

Ojciec mój zapatrując się na świat długo i bacznie, przekonał się że większa część kobiet nieznajdują szczęścia w małżeństwie z dwóch przyczyn: *naprzód* dla tego że wchodzi w towarzystwo w wieku zbyt młodym; a *powtóre*, z braku należytego rozwinięcia władz nmysłowych. Co do pierwszego utrzymuje on, że do 25 roku namiętności tak silnie burzą się w młodym kobiecym

lonie, i tyle zaślepiają rozsadek, że szczęśliwy wybór męża jest więcej trafem, albo łaska Boża jak skutkiem przekonania wybierającej! — w tem wieku każda błyskotka wydaje się kobiecie złotem. Same nawet fizyczne siły są jeszcze zbyt słabe dla macierzyńskiego zawodu i gotują jej przedwczesną mogiłę. Zwyczajnie młoda kobieta wybiera młodego mężczyznę; oboje jeszcze dzieci, zdaje im się że się najlepiej dobrali, niemyślarz wcale o tem że charaktery ich nie są jeszcze ustalone, i że stawszy się ludźmi dojrzałymi mogą się nieprzydać jedno dla drugiego. Od ołtarza biegną wesolo na obszerną płaszczyznę życia, trzymając się mocno za ręce. Z początku jedna tylko droga, i ta usłana kwiatami, idą więc razem; ale potem co krok to od gościńca odchodzi nowa ścieżka wprawo lub wlewo, na każdej jest coś zajmującego — on chce iść po jednej, ona po drugiej, on ciągnie w swoją; jedno drugiego nie słucha, puszczają dłoń z dłoni i rozbiegają się na zawsze! Sami często niemogą pojąć jakim sposobem blahe powody, bagatele i dzieciństwo, mogły zerwać związek serc które, zdawały się być stworzone dla wzajemnego nieszczęśliwienia. Mężczyzna zwyczajnie mniej na tym traci — jemu zostaje służba, honory, sława, nauki! — kobieta traci wszystko.

Co się zaś tyczy rozwinięcia władz umysłowych kobiety, to ojciec mój sądzi że wychowanie naszych panien jest zbyt powierzchowne. Ukończwszy edukacja panna zwyczajnie posiada dość dobrze francuzczyznę; cokolwiek innych języków, cokolwiek historii, cokolwiek geografji, cokolwiek muzyki i rysunków, i odrobinke arytmetyki — słowem posiada tyle ile potrzeba ażeby rozmawiać o pogodzie, strojach i balu, i czytać powieści. Myśli jej i sądenia o rzeczach są zupełnie dziecinne. Z tad też wypada potem, że kiedy przejdzie pierwsza miłość i miodowy miesiąc małżeństwa mezczyzna ze średnim nawet oświeceniem, widzi w swej małżonce istotę prostą, naiwną, niepojmującą niczego; kobietę z którą niemoże się podzielić ani swemi myślami, ani nauka i z którą trzeba rozmawiać albo o czepkach albo o cenie kartosli na rynku. Przy najlepszym nawet sercu spostrzega że mu sił nie starczy toczyć przed sobą całe życie tę bryłę gliny; uważa z zalem że dzieci mogą od niej odebrać tylko takie wychowanie jak kurczęta od kury, i mimowolnie traci dla niej szacunek. — Niezważajac na tysieczne przyklady małżeństw nieszczęśliwych z powodu nicoświeccenia żon, i wbrew przeciw pojeciom o naturze duszy, przesad utrzymuje dotąd w spolecznaści że nauki dla kobiet

niedostępne i niepotrzebne. Bóg wie zkąd to poszło? jest to może jeszcze zabytek tego wieku, kiedy kobiety, uważano za niewolnice i odmawiano im wszelkich praw człowieństwa; ale dziś, czas by się już przekonać o tém że umysł nie chodzi ani we fraku ani w sukience. Myśl, ta essencija nieśmiertelnej duszy, jest udziałem wszystkich ludzi, bez względu na płeć, i każdy powinien ją rozwijać tyle ile to rozwinięcie może być użytecznym dla niego i dla społeczności. «Sądzę» — mówi mój Ojciec — »że kobieta dobrze ukształcona, zamiast zwyczajnego szczebiotania pustych słów, powinna mówić jasno, żwzięle, żywszym i kwiecistszym stylem jak mężczyzna; sędzić o wszystkim zdrowo, mieć gruntowne pojęcie o swoich obowiązkach, o swoim przeznaczeniu, i o towarzystwie w którym żyje; powinna nareszcie posiadać gruntownie, ten oddział ludzkich wiadomości który niebędąc wyłączną potrzebą jakiegokolwiek stanu, składa za tak powiem niezbędne oświecenie każdego człowieka.

Taka edukacja odebrałam od Ojca—

Dziś.

Dziś po spowiedzi Ojciec mnie błogosławił ze łzami i rzekł:—twoje wychowanie skończone;

teraz polecam cię Bogu i twemu własnemu rozsądkowi—dotąd byłaś córka, od dzisiejszego dnia bądź moja przyjaciółka.*

Jeśli kiedy kobieta miała ważny powód zastanowić się nad sobą, to zapewne ja w tej chwili—

Mimowolnie pytam sama siebie czy straciłam co przez moje długie dzieciństwo? i odpowiadam sobie, że nie, a przynajmniej niewiele. Choć mój wiek nie jest już pierwszą młodością kobiety, jednakże życie na wsi, rozsądne rozporządzenie czasu dla potrzeb ciała i umysłu, mocna konstytucja i czerstwe zdrowie—wszystko to skrywa cześć moich lat i czyni mnie na widok daleko młodszą jak jestem w istocie. Zwierciadło mówi mi że jeżeli nie jestem piękna, to bez wątpienia zasługuję na nazwisko przystojnej i mogę się podobać. Ojciec bez żadnego podchlebstwa powiada, że mam zdrowy rozsadek, żywa i świetna wyobraźnia elektryzująca potoczną rozmowę i wreszcie gruntowne oświecenie bez pedantyzmu i zarozumiałości. Przymioty te podług jego zdania mogą mi zjednać przyjaźń każdego rozsądnego człowieka, dla tego że nie mocniej ludzi niełączy jak równe oświecenie, pozwalające im mieniać się własnymi myślami. Nakoniec Religija, moralność i dobre serce mogą się światu podobać lub nie, ale posiadam je.

Tyle z mej istoty mogę udzielić towarzystwom odkrycie—to co mi zostaje jest wyłącznie moja własność. O moim charakterze ludzie będą tylko robić wnioski i pod powłoką światowości może nikt go nie pozna i nieoceni! Mówiła mi często Ochmistrzyńni że charakter mój jest na połowę męzki, i ja sama widzę że on niezupełnie kobiecy; ale nie mogło być inaczej. Przepędziwszy najlepsze moje lata na wsi, niemając prawie innego towarzystwa nad Ojca, który był moim przyjacielem, mistrzem i doradcą, nopoilałam się jego maksymami, część subtelnej natury kobiecej ze tak powiem ulotniła się ze mnie, i takim sposobem odrożniłam się od innych kobiet. One w tym wieku są po większej części lekkomyślne, ja zastanawiam się nad wszystkim co mnie otacza i rozważam każdy swój krok. One lekliwe,—ja czuję w sobie moc narazić się na niebezpieczeństwo i wycierpieć bez szemrania boleść nie tylko słyczną lecz i moralną. One obojętne patrzą na życie i losy społeczności, ja chcę obserwować bacznie; każde szlachetne uczucie każdy wysoki czyn, każde poświęcenie się dla ludzkości znajduje echo w mem sercu i napawa mnie niewypowiedzianą rozkoszą, a przeciwnie każdy cień fałszu, interessu lub podłości na długo truje mi spokojność. One zwyczajnie wesole i w każdej

chwili wiedza czego im potrzeba — ja najczęściej smutna bez żadnej przyczyny. Dziwna rzecz! w głuszy wiejskiej, daleko od świata, serce moje znajduje się w ciągłej niezgodzie z głową. Umysł mój wyszukuje we wszystkim ciemnej strony, i zatrzuwa mi każdą niewinna roskosz. Jeśli piękna rozę wezmę do rąk jakiś złowieszczy głos szepcze mi że to tylko *trup rozy*, że w niej niemasz już życia, i rzucam kwiat niechcąc patrzeć jak zwiedle listki posypią się na ziemię. Jeśli daję ubogiemu jałmużnę, przychodzi mi natychmiast na myśl że on jej na złe użyje i może będzie sztydzić z mojej dobroci; darzę go co prędzej, i odwracam się od niego żeby nie stracić dobrej chęci. Jeśli kto z ludzi domowych okazuje mi swoją przychylność wraz mi się zdaje że musi mieć do mnie jaką proźbę. Wśród największej wesołości, wśród śmiechu i swawoli dziewczęcej, zatrzymuje się często nagle i czuję niezwyciężoną potrzebę samotności a niekiedy płaczu. Niemasz nic zwyczajniejszego w moim życiu jak nagle przechody od śmiechu do łez i na odwrót. Mam zawsze coś na myśli co mnie nabawia niespokojności lub smutku — i takim sposobem cała młodość moja upłynęła w cierpieniu...

Gdyby kto w tej chwili mógł zajrzeć w duszę mego Ojca i w moja o! jakąż by znalazł różnicę

miedzy naszymi myślami! — Szanowny starzec poświęciwszy 24 lat na wychowanie i ukształcenie jedynej córki, chlubić się w duszy z pomyślnego skutku swych usiłowań kwapi się wprowadzić mnie w świat, niewątpiąc bynajmniej o tém, że mnie tam czekają oklaski, uwielbienie, szacunek i miłość—jednem słowem szczęście. Za kilka dni daje on bal na który sprosił lepsze towarzystwo z całej okolicy; ma to być pierwszy mój tryumf a wkrótce potem wyjeżdżamy do Warszawy. Dobry mój Ojciec, jest dziś wjecej szczęśliwy jak autor co pracowałszy całe życie nad ważnem dziełem, widzi go wreszcie wydrukowanem i przedstawia na sąd świata. Mój stan zupełnie inny. Mnie się zdaje że mam wypłynąć na niezmierny, burzliwy ocean—dają mi mocny okręt, mnóstwo żagli, bussole i karty, — i życza mi szczęśliwej podróży! . . .

3 października.

Bale, dzięki Bogu! skończyły się. —

Mówię: bale, dla tego że ich razem było trzy; jeden w pokojach, dla ludzi szlacheckiego rodu, drugi dla ich służących, w oficynach a trzeci dla koni w

stajniach. Ojciec mój utrzymuje że w prowincji *jednego* balu dać niemożna. Gdzie się najlepiej bawili gdzie najkorzystniej użyli czasu? — tego nie wiem.

Zjechało się tu mnóstwo gości. Każdy więcej lub mniej był ciekawy poznać pannę, ukrytą tak długo od świata, inaczej jak zwyczajnie wychowana, o której urodzie i uczoności rozchodzily się najdziwaczniejsze słuchy. Wszystko co nosi na sobie piętno tajemnicy zajmuje ludzi — wiedziałam o tem dawno, i dla tego nie zdziwiło mnie to wcale że w salonie oczy wszystkich były na mnie zwrócone. Inna kobieta, wy obrazila by sobie może, że jest Królowa tego wieczora, ja śmiałam się tylko w duszy, myślać sobie że każde zamorskie zwierzątko zwróciło by na siebie jeszcze więcej uwagi. Z resztą przy szczęśliwej naiwności ludzi w prowincji, można się domyślać a niekiedy nawet słyszeć jakie mają o nas zdanie. Towarzystwo tu-tejsze niewiele sobie robi przymusu jak w słowach tak i w giestech. Kobieta która zajmuje salonową publiczność nie uniknie tego aby o niej niemówiono z tyłu lub z boku, w pół głosa, po polsku lub po francuzku i z kilku słów które dójda do jej ucha może zgadnąć całą rozmowę. Takim sposobem i ja słyszałam jak szeptano w okolo mnie: — «charmante!» — pas mal! — ah! — oh! — quels yeux! — śliczna!»

Balowe zefiry, przyniosły mi też na swych skrzydłach, urywki rozmów w drugim gatunku. — Jeden z najmniej żenujących się kawalerów rzekł do swego towarzysza: »Ta cudowna Meluzyna o której słyszeliśmy tyle, ma mine arcy — pedant-ska!« — «Nie do twarzy jej uczoność» odpowiedział drugi. — «Co tam za uczoność?» rzekł pierwszy — «chciałbym wiedzieć co może wleść w kobieca głowę oprócz francuzczyzny i romansów» — »Niezartuj — ujał się za mnie drugi — powiadają że ona się uczyła nawet Astronomji« — «Ba!» — szepnął pierwszy, moja siostra uczyła się jej także na pensji, a tak dobrze umie gwiazdy z nieba zdejmować jak ja albo ty.»

»Chciałbym prosić te panienkę do tańca« — rzekł ktoś »Nie fatyguj się na próżno, odpowiedziano mu, ona płąsa tylko z Egipskimi piramidami, na starożytny manier.« Żał mi było tych panów, co z płaskim dowcipem tak mizernie błakali się po manowcach nieprzyzwoitości — Tym czasem opanowała mną jedna staruszka i zaczęła examinować z ważnej nauki domowego gospodarstwa. Zdziwienie jej było niapospolite kiedy spostrzegła że wiem dokładnie nietylko wiele potrzeba masła do kotletów i wiele jaj do budyniu ale nawet jak się uprawia ziemia dla zboża i ogrodowin, jak się szczepia

drzewa, jak się utrzymuje ptastwo domowe, owczarnia, gorzelnia i t. d. »Ależ powiedz mi WPanna na miłość Boga—rzekła staruszka prawie płacząc od radości, z kad się tego wszystkiego nauczyłaś? moje córki niemają o tém żadnego pojęcia. — «Z doświadczenia»—odpowiedziałam—od niejakiego czasu Ojciec mój ma tylko główny dozór nad całym majątkiem a ja zajmuję się wszystkimi szczegółami gospodarstwa jak w domu tak też w dobrach, i oprócz tego wychowuje kilkoro biednych dzieci rozmaitego wieku, pomagam wieśniakom w słabościach które się mogą obejść bez doktora, udzielam im z każdym przypadku rady; słowem rzadze majątkiem jak gdybym była jego Pania.

Jezusie Nazarenski! zawołała staruszka patrząc na mnie z zadziwieniem — a kiedyż WPanna siedzisz nad książkami? wszak wiem dobrze że jesteś edukowana jak professor.

Znajdzie się czas na wszystko, odpowiedziałem z uśmiechem; tego towaru kobieta zawsze ma za nadto i dla tego najczęściej wyrzuca go za okno—

Długo jeszcze rozmawiałymy z pocziwają staruszka o gospodarstwie: rzecz pewna że ta rozmowa niewiele mnie zajmowała, jednakże teraz kiedy ja porównywan z lekkomyślną, dziecinną szczebiotliwością paucien które pozuałam na tym wieczorze, z zimną

i ucinkowa konwersacyą młodych kobiet, nareszcie z nadętym, surowym tonem matek które zapewne widziały we mnie niebezpieczną rywalke swych córeczek — powiem otwarcie że dobra moja staruszka podoba mi się więcej jak inne kobiety.

Tym czasem znów jakiś Areopag zaczął niedaleko odemnie swoją sessyą »piekna twarz!« rzekł jakiś mężczyzna pieczczonym głoskiem — «nie szpetna.» odpowiedział drugi cichym basem — «Najwięcej mi się podoba jej smętne czoło» — odezwał się znów *głosek* — a mnie *noga* — zaremarkował *bas*. Mimo wolnie przyszły mi ua myśl słowa Labruyera »Il faut juger des femmes à peu près comme on mesure le poisson . . . etc. etc.»

W krótkce potem zabrzmiała muzyka. Niemogłam się opędzić od młodzieży, każdy chciał zemna tańczyć, nawet podobuo i ten co mi przypisywał szczególniejsze przywiązanie do Egipskich piramid. Te chwile były najszcześniejsze z całego wieczora; niemyślałam o nicém, niesłyszałam nic oprócz muzyki, niezajmowało mnie nic więcej oprócz tańca niewylaczając nawet gadaniny moich partnerów, bo wysłuchawszy pierwszego spostrzegłam że wszyscy inni, jak gdyby sobie dali słowo, powtarzali to samo. Rozmowy ich podobne są do ograniczonej liczby aryetek pozytywki na które

graja dla kanark w, i jedno z uajwiększych upokorzeń naszej płci jest zapewna to, że nam trzeba nietylko cierpliwie słuchać takiej gadaniny ale jeszcze odpowiadać na nią z uprzejmością.

Znaleźli się jednak tacy co mieli lepsze o mnie wyobrażenie, i dla tego starali się zająć mnie uczoną rozmowa. Sangué di Christo! Kiedy *człowiek* wyjdzie z gimnazyjum albo nawet z uniwersytetu, to na balu oświecenie dopóły go męczy i dręczy dopóki komu drugiemu nieodleje do głowy część swego oleju. Przychodzili więc jeden za drugim, i każdy z nich wytrzaszał przedemną wszystkie swoje wiadomości, a potem ostrożnie zaglądał mi do głowy czy też tam jest dość mózgu żebym przynajmniej mogła pojąć jego madrość. Przykro mi było słuchać ich gadaniny, ale razem litowałam się szczerze nad nimi, widząc jak się platali w nitkach własnego rozumowania, jak toneli w malej kropli swojej erudycyi, chwytali słowa bez namysłu i kleili z nich perjody podobne to odzienia arlekina, zrobionego z kawałków, różnej wielkości, rozmaitego koloru i gatunku! Młode głowy! zarozumiałe głowy! chodzące encyklopedyje! podobne do małych żydowskich sklepików w których można znaleźć mnóstwo towarów, lecz każdego po odrobince i to w najniższym gatunku. Wszystko

tam leży przemieszane: herbata kolo mydła i kasza gryczana przy tabace. — Przy wieczerzy starzy i młodzi pili za moje zdrowie niestety! z uszczerbkiem swego własnego; nasza polska pamięta jeszcze Sasów. Dziwny świat! w jeden wieczór doświadczyłam wielkiej przyjemności i wielkich nudów — słyszałam głos uwielbienia i szyderstwo — gdyby na balu nie tańczono wyrzekłabym się go na zawsze.

Warszawa 19 października.

Z częstych rozmów z Ojcem, i z dzieł filozofów miałam tak pochlebne wyobrażenie o stolicach, że wjeżdżając do Warszawy uczułam w sercu mimowolna trwogę; zdało mi się że Indzie powybiegają z domów na ulicę i będą szydzić ze mnie a może nawet ciskać kamieniami. Dzięki Bogu! nie się z tego nie zdarzyło, bo przyjechaliśmy w nocy.

Witaj Warszawo, rodzinno sieroty! w gwarze tłumu który cie napelnia rozlegał się kiedyś i mój płacz niemowlecy; dziś wracam na to miejsce gdzie przed 24 laty stała moja kolebka, bez lez wprowadzie ale też i bez radości. Z okna tego domu w którym się rodziłam patrzę na cie

syreno, i myślę więcej o twych siłach jak o tem co mi możesz wysypać z twego rogu obfitości.

O miasto, gdyby chemik zdołał rzucić cie w retortę i rozebrać na pierwiastki znalazłby: marmury i błoto, huczna wrzawę i cisze grobowa, przepych i nędzę, bale i pogrzeby, ogniste namiętności i zimne serca!...

Z każdym dniem oko spotyka tu nowe obrazy; rój nowych myśli budzi się w umyśle i serce ledwie pośpiewa przyszmować wrażenia. Prawdziwa powódź światowego życia na parafiankę taka jak ja! Dobry ton walczy we mnie z wiejską prostotą, światowość z filozofia, lekkomyślność z rozważą, a dziecinna ciekawość stała się głównym bodźcem obecnego życia. Nowe miesza się ze starem, burzy się, i sprawia jakąś dziwną fermentacya w całej mojej istocie. W tym chaosie zmieszanych obrazów, myśli i uczuć, niemożę przyjąć do siebie; jestem jakby odurzona—zdaje mi się że mnie nagle obudzono na środku ulicy, że mnie bo długim samotnictwem w pustelniczej celi, wprowadzono wprost do teatru...

Nie jest to ani szczęście ani smutek; nieczuje potrzeby śmiechu ani płaczu—ale stan ten podoba mi się.

*Du néctar idéal, sitôt qu'elle a goûté
La nature repugne à la réalité!*

LAMARTINE.

Czy oni zmówili się z sobą żeby mnie nudzić swoją konwersacją, czy ona istotnie tak mocno ich zajmuje? — młodzi, starzy, łuzary, adwokaty, kobiety, wszyscy rozprawiają i dysputują o Egipskim paszalik, o żelaznych drogach i o cukrze z buraków Co im za ochota stroić się, tracić czas i męczyć konie, dla tego żeby zebrawszy się w kółko powtarzać gazeciarskie sadzenia o sile pary, politycznej wartości narodów i handlarstwie całej Europy! . . .

Mówcie sobie co chcecie o dzisiejszej cywilizacji, nigdy ja się niezgodzę z wami, żebyśmy na tém wiele wygrali; mnie się zdaje że ognisko życia znajduje się nie w głowie lecz w sercu, a za tem nie ten więcej żyje kto wiele rozprawia, ale ten czyje serce wzrusza się częściej uczuciem, silnem — wysokiem — szlachetnem.

Woglności narod ludzki robi olbrzymie postępy w umysłowym względzie, massa oświeceuia

powiększa się z każdą chwilą, i doszła dziś do takiego ogromnego rozwinięcia, że upłynione wieki słusznie mogą być nazwane ciemnotą; ale wielkie uczucia zdaje się iść nazad a nie naprzód! kiedyś w pierwszych czasach chrześcijaństwa, cierniowa korona męczeństwa otoczona aureolą niebieskiego światła była dla wiernych ideałem szczęścia na ziemi; w świętych swoich dumach widzieli ją nieustannie przedokiem i wyciągali do niej drżąc dłońmi; życie ich było nieprzerwanym wątkiem poświęceń, cnoty i umartwień, a społeczność chrześcijańska jedna familją — Dziś, czyny tej wielkiej epoki stają się dla nas coraz mniej pojętne, skurczone nasze serca niemoga ich ani w mieścić w siebie, ani się ogrzać ich w wspomnieniu. Obecne pokolenie spokojnie wstępując do kościoła Chrystusowego, po cichym gościńcu na którym przez tyle wieków wrzały krwawe boje, idzie obojętnie po drodze i drwi z tych co ją kiedyś szturmem zdobyli!

Kiedyś jak mówi dziejopis krucjaty »kapłan; w świątyniach pańskich, na placach opowiadali wojnę krzyżową; dziwny zapal obejmował serce słuchaczy, zbierali się tłumami, naszywali sobie krzyż na ramieniu, wypalali żelazem na rękach, na czole, przedawali wszystko co mieli za bezcen i

uzbrajali si na bój krwawy. W prostocie duszy, wierząc że to wola Boża (Diex le volt!) nie pytali się ani gdzieżby Palestyna, ani o siłę niewiernych, kupili się stami tysięcy, i szli na walkę w zapewnieniu że spełnia się nad nimi cuda, i że z nieba będą im dane i siły, i zdatność i środki dla dokonania świętego zamiaru. Takim sposobem 500,000 legło w różnych stronach niedoszedłszy nawet do świętych miejsc! Koście ich pobielaly na cudzej ziemi, wiatr rozwiał ich prochy a jednak to bynajmniej nie zraziło drugich, i nowe pół milijona poszło ochoczo na śmierć za wiarę; i tak szły jeden za drugim, liczne zastępy zbrojnych pielgrzymów marząc o niebie, i rzuciwszy wszystko co ich przywiązywało do ziemi !!!

Gdzie te czasy? gdzie ci ludzie? wspomnienie czasu, zostało w xiegach, które czytamy jak dziwne arabskie powieści, a na mogiłach tych ludzi tańczą *Lwy i Tygrysy* (*) i rozprawiają o Egipskim paszalik, o żelaznych drogach i o cukrze z buraków !...

(*) Lion, Tigre, — znaczy dziś to samo co dawniej «petit-maitre,» modny kawaler.

Mysleć o strojach, jeść cukierki, dobijać się płaskich komplementów, trzpiotać się, zazdrościć, intrygować, a szczególnie zajmować się plotkami — oto życie większej części tutejszych kobiet. Dość poznać jedną z nich, żeby wiedzieć co myśla, czuła, i czém się zajmują wszystkie inne!

Niemasz nic zgubniejszego dla młodej kobiety, jak kiedy ja okrzyczą w świecicie za uczona. Każdy co się zbliża do niej wyjmuje co prędzej z futerału machinke swego rozumu i zaczyna w niej poruszać wszystkie kółka i sprężyny ażeby więcej robiła hałasu, a serce chowa do kieszeni, sądząc że ono w tym razie zupełnie niepotrzebne. Zład wypada, że życie uczonej kobiety jest zupełnie umysłowe i formuje że tak powiem jedną, długą, trudną dysputę w czasie której, ona stoi na miejscu a przeciwnicy przemieniają się. Niepodobna sobie wystawic jak przykrém jest podobne położenie w towarzystwie! — O! zapomnijcie, zaklinam was na moje oświecenie, uważajcie mnie lepiej za głupia ale dajcie mi się ogrzać u tego ogniska które natura roznieciła dla całej ludzkości! Co mi po waszych naukach? po co mi wasze rozумы? je chce się pokrewnic jedynie z waszém sercem!

20 stycznia.

Dwa miesiące niebrałam do rąk mego pamiętnika!—Jak się to stało? — czy spalam tak długo? czy byłam zbyt szczęśliwa żeby się zastanowić na chwilę? — Ani to, ani drugie — zapłaciłam tylko pierwszą dań stolicy. Niewieścia natura przemogła wychowanie, i stałam się kobieta jak iune. Jak tylko nadeszła pora zimowych zabaw zapomniałam całą swoją filozofie, przestałam obserwować ludzi, porzuciłam wszystkie rozumowania i oddałam się zupełnie światowości. Życie moje dotąd ciche stało się pasmem zabaw i pustoty; fantastycznym snem pełnym czarujących mamidel—odmętem, w który raz wpadłszy kreciłam się już potem mimowolnie jakby ciągniona niewiadomą siłą, szukając ciągle nowych roztargnień i przyjemności. Namiętnie, lakomo piłam z kielicha świata, nie dla tego żeby ugasić pragnienie, lecz że nektar był słodki i upajał. Gdyby mnie kto był zapytał czego szukam? odpowiedziałabym mu nieskonecznym śmiechem, tak by mi się to pytanie wydało zabawném. Odurzona, jakby parami opinim oślepiona jak by tysiacem słońc, wesola jak dziecko, a jednak miotana tajemniczą niespokojnością, ściagałam jakaś mare która zdawała się być to blisko to zuów daleko odemnie.

Ojciec mi wytłumaczył co znaczy ta burzliwa niespokojność kobiecego serca, zaczęłam baczniej poglądać w około siebie, i dziwna rzecz! od tej chwili czarowna zasłona spadła z mych oczu. Jak tylko rozważa wróciła do głowy natychmiast polowa rozkoszy ulotniła się z serca.

Szkoda że to było nic więcej jak gra w ciuciubabkę.

Nud nomi—przykro mi po tym balu; chciałabym wygadać przed kim całą litaniją żalów, ale uważam to za taki płaski koncept że nawet w pamiętniku niemogę się odważyć wypisać swoje urazy do świata. Czuje jakąś antipatją do tej mizantropicznej deklamacji która dziś weszła w osobliwszą modę. I każdy student uskarża się teraz na rodzaj ludzki ma do niego tysiąc pretensyj; każda pensionerka grucha żałosnie jak gołębica i ciska przez szkolne okno cukrowane żale na niewdzięczny świat Powieści i poezje, naszych młodych pisarzy przedstawiają nam towarzystwo tak okropnem, że po przeczytaniu ich mimowolnie przychodzi mi na myśl że autor niezechce dłużej żyć z ludźmi, i pewnie się zastrzeli. Kto dziś zadowolony społecz-

nością? Starzy utrzymują że świat się zepsuł a młodzi że go trzeba przerobić.

*Une espérance ainsi d'un beau rêve suivie,
Est la réalité des plaisirs de la vie.*

DELPHINE GAY.

Są ludzie z którymi bliska znajomość robi się bardzo prędko, i że tak rzekę z pierwszego wyrazu. Rozmowa ich podoba nam się, pociąga nas i zdaje się wypływać z tak obfitego źródła że skwapliwie staramy się zaskarbić sobie ich względy. Lecz zaledwie drugi raz zobaczywszy ich, spostrzegamy że źródło wyschło już do połowy i im daley tem mniej w niem wody. Ztad następuje perjiod oscillacij, i w krótce potem znajomość która się zaczęła tak żywo, z taką nadzieją na przyszłość, rozprzega się nagle, niszczyje marnie i zapomina się bez żalu. I niemoże być inaczej, bo ci ludzie, wytrasają od razu co tylko mają w głowie i w sercu, i potem mogą tylko robić re-petycje, które każdego znudzą. —

Les hommes sont cause que les femmes ne s'aiment point.

LABRUYÈRE.

Ogólnie utrzymują że między kobieta i mężczyzna a szczególnie między kobietami, niemożę być prawdziwej przyjaźni; jeśli tak jest istotnie, to wielka szkoda, bo by to uczucie mogło nam osłodzić wiele trosk i cierpień w życiu. Ale z drugiej strony gdyby tak nie było, to mężowie, którym teraz wyłącznie należą serca żon, straciłoby na tem wiele, a niekiedy i wszystko, i związek małżeński byłby jedném ogniwem słabszy. Natura widać miała zbawienny cel w tym żeby w sercu kobiety brakowało jednej klepki!

A jednak może to nieprawda? — mnie się zdaje że ja znalazłam tu kilka przyjaciółek. One zawsze tak dobre dla mnie, tak się mną troskliwie zajmują, tak się lękają o mnie! Jeżeli kiedy twarz moja mniej rumiana jak zwyczajnie, ubolewają natychmiast nad moją *okropną bledością* i uskarżają się przed wszystkimi że mało szanuję swoje zdrowie. Jeśli jestem zamysłona, zaraz im przychodzi do głowy że *mnie kochanek opuścił*, niewierza kiady im mówię że nie miał mnie kto opuszczać bo w nikim się niekocham, i delikatnie

ofiarnia mi swoje pośrednictwo. Tysiąc drobno-
stek dowodzi ich przychylności — *des riens d'im-
portance* których nikt nie potrafi ocenić oprócz
kobiety, których filozof nawet niepojmie. Naprzy-
kład: jeśli mi się zdarzy włożyć jaki strój co
przed miesiącem wyszedł z mody, albo zagram na
fortepianie jaka nienowa kompozycją zaraz mnie
ostrzega z wdzięcznym uśmiechem że to *stare jak
świat*; ostrzega mnie prawdziwie z dobroci serca,
dla tego że będąc starsze odemnie dalekie są od
wszelkiej rywalizacji; chodzą sobie w nstarzających,
albo w nowych ale bez gustu zrobionych strojach,
i muzyka się wcale niezajmują. Wiem że one
mają więcej doświadczenia i dla tego niedziwuję
się że często ubiór świeżo przyniesiony od mo-
dystki i którym ja się zachwycam, one znajdują
niestosownym do mej twarzy albo figury i t. d.

Jeśli to wszystko niedowodzi przyjaźni, to
chyba jej nie ma między kobietami.

Pan Hippolit może mieć około 28 lat, lecz
tyle rozprawia o zepsuciu świata, o oziebłości lū-
dzi, ich fałszu, niewdzięczności i rachubie jak
gdyby przeżył matuzalowe lata w ciągłej wojnie

ze społecznością. Pan Hippolit ubiera się podług ostatniej mody, tańczy wyśmienicie, wie z gazet co się dzieje na najodleglejszych punktach kuli ziemskiej, a z dzienników plotkarskich sekretua historja wszystkich osób lepszego towarzystwa; czyta francuzkie powieści i cytuje z nich całe tirady, jest grzeczny dla tych co go chwala a obmawia tych co z nim mówią bez podchlebstwa — *au bout du compte* dobry chłopiec! niewątpi o tem że posiada wszystko czego tylko może żądać kobieta dla swego szczęścia i rzucił łaskawém okiem — na mnie! Niestety! dla czegoż na mnie?...

—

*Pour la fête du cœur qui jamais ne commence
Un laboureur parfois se ruine en semence
Le tems fuit emportant l'espérance parjure
Et l'on n'a conservé du bal que la parure.*

DELPHINE GAY.

O próżności zabaw światowych! szczebiotać cały wieczór, śmiać się, strzelać dowcipem, trzpiotać się, łudzić drugich i samą siebie, dobić się tak mozolną pracą nędznego tryumfu miłości własnej — a potem siaść samotnie w swoim pokoju,

ogarnąć myślą nplyniony wieczór, roześmiać się nad tą pustotą, uczuć czezość w sercu i ze lza w oku polozyć się spać.

Niekiedy przychodzi mi na myśl że przy moim charakterze, chwile napełnione największą nawet goryczą mogą mi być potem mile w wspomnieniu, a przeciwnie życie obecne choćby niczego w nim niebrakowało zawsze mi się wyda tylko urywkim jakiejś idealnej całości, może nawet nudnym i płaskim. Niemaż nic kapryśniejszego nad serce — jest to dziecko które napiera się różnych cacek i lamie te które mu się dostają. Są tylko trzy cacka któremi zawsze lubi się bawić: wspomnienie, nadzieja i marzenie (na jawie lub we śnie). — Gotowa bym pomysleć że tylko te trzy rodzaje szczęścia można znaleźć na ziemi! — Chciałabym żeby to była nieprawda — żeby to był koncept rozmarzonej kobiecej głowy — tak, sobie fantazja!

Kiedy kto na ulicy upadnie śmieją się z niego — kiedy kto majatek straci śmieją się, kiedy się małżeństwo rozjedzie śmieją się; — trzeba się śmiać zawsze i wszędzie, a kto chce płakać musi

się dobrze zamknąć w swoim pokoju, zatknąć dziurkę od klucza a i spuścić story, bo i z tego śmiać się beda.

Jeden, trzymając się za boki od śmiechu opowiada mi jak wypędził ze swego domu natrętnego kredytora, drugi jak obił żyda, ów jak durzył kłamstwami starą ciotkę żeby wyłudzić od niej pieniędzy, inny jak fałszywymi oznakami przywiązania doprowadził niedoświadczoną pannę do namiętnej miłości — i każdemu z nich się zdaje że świat powinien uwielbiać jego talenta!

O ja, dem Herrn ist alles Kinderspiel!

GÖTHE.

Słusznie mój ojciec powiada że zarozumiałość jest najpospolitszą wadą naszego wieku. Każdy dziś pragnie uchodzić za uczonego a nikt nie chce pracować nad sobą; lecz dla pogodzenia tych dwóch przeciwności jest tylko jeden sposób — krzyczeć głośno drugim nad uchem: «słuchajcie co ja mówię i wiercie mi, bo ja wiem wszystko.» A jeśli to niepomocze to sprzeczać się do upadłego. Ci szermierze dysputy naśladowują fanfa-

ronów z pusta kieszenia, co żeby wydać siebie za wielkich Panów, tracąca drugich lokciami, depcza po nogach, i noszą nos podniesiony do góry. Niemają dla nich żadnego, przekonania; cytują im księgi, odwołują się do zdrowego rozsądku lub doświadczenia nie to niepomocze; oni jak szpaki powtarzają swój perłowy tysiąc razy i nareszcie zwycięża każdego mocą głosu i norem. Gdyby wielki Newton stanął przed nimi, oświadczyłby nieboraka, i odprawili by go na szkolną ławkę uczyć się na nowo arytmetyki! —

Nieznosi krzykacze! Kiedy który z nich napadnie na cicha istotę — naprzykład na kobietę, która z natury, z przywyczajenia, i z grzeczności ustępuje mężczyźnie — wraz ją zaczyna odpychać od wszystkiego ze co by się mogła schwycić; śmiejąc się i drwinkując niedaje jej zrobić ani kroku naprzód i nareszcie zamknie w takim ciasnym kółku odpowiedzi że mimowalnie zda się biednej, jakoby wróciły lata jej dzieciństwa. Słucha najdziwaczniejszych baśni, cierpliwie, z uśmiechem, ażeby nieubliżyć Jegomości. Wierzy że w Pekinie ślicznie tańczą mazurka na balach, że jakiś astronom widział przez teleskop trzody baranów na niebie, że w Londynie robią doskonale salsesony za pomocą galwanizmu i t. d. Nie jest

że to umysłowa chłosta? nie jest że to największe upokorzenie jakie może spotkać myśląca istotę?

—

*Mein lieber Freund, ich rath' euch drum
Zuerst Collegium Logicum
Da wird der Geist euch wohl dressirt
In spanische Stiefeln eingeschnürt
Dass er nicht so — — — —
Irrlichtelire hin und her.*

GÖTTE.

Święty Jacku! jak tu wiele poetów!...

Prawie w każdym salonie znajdzie się poeta, xiegarnie zavalone poezjami, chłopcy na ulicach sprzedają poemata taniej jak stare pończochy na tandecie, w przedpokojach ziewają nad ballada lub sonetem!

Smieczne to jest zaiste uprzedzenie, że dość być natchnionym ażeby zająć miejsce na Parnasie. Czytajcie biografie wielkich poetów dawnych i nowych czasów, a zobaczycie że każdy z nich oprócz tego czucia o którym tyle rozprawiacie, posiadał niepospolite oświecenie; wszyscy oni prawie że tak rzeke w pocie czoła *wypracowali* swoje

nieśmiestelne utwory, chociaż dziś śladów tej pracy niewidać, równie jak niewidać, śladów ruszto-
wań które służyły dla zbudowania wspaniałego
gmachu; wszyscy oni wreszcie znali świat i ludzi
nietylko z książek ale z doświadczenia i własnych
obserwacji. Tacy tylko ludzie mogą korzystać z
natchnienia, i wieszczym głosem przemawiać do
narodu. Bo cóż się ceni w poezji? wszak nie
dźwięk słów dobranych w pewnym porzadku i
ułożonych w rymy, lecz *myśl*, tak jak w sztuce
malarskiej cenia się nie farby lecz idea artysty
ożywiająca obraz. Tylko myśl zdrowa, głęboka,
szczytna, ogrzana świętym płomieniem poetyckiego
zapalu może wyjść na świat nieśmiertelna jak Mi-
nerwa z głowy Jowisza; serce młode, nieznające
ludzi i zapalona pnie głowa nigdy nieukształcą
poety. Przeciwnie z tego szalu wypada wiele zle-
go dla poezji, dla języka i nawet dla kraju. Mło-
dzi ludzie ledwie wstawszy ze szkolney ławki
(a często siedząc jeszcze na niej) przy pierwszém
lepszém wzburzeniu krwi, wyobrażają sobie że to
natchnienie, że to zapal poetycki, że to znak nad-
zwyczajnego czucia; rzucają nauki, puszczają
umysł odlogiem, zaniedbują te galezie oświecenia,
które dały by im chleb a krajowi dobrych urzęd-
ników i uporczywie drapia się na Parnass. Muza

ich nieznając należycie języka, kaleczy go w każdym wierszu, pegaz nędzny, niekarmiony nawet zdrowym rozsądkiem, pełźnie mizernie i co chwila spada z świętej góry w błoto nieprzystojności, w kałużę nudy, lub w ciemną jamę nadętego głupstwa. Ten rój wierszokletów upośledza tylko i kazi pojęcie o poezji i poetach, — spytajcie dziś kogo co to poeta? — odpowie wam, że to człowiek który pisze wiersze.» — To wyobrażenie obiega całą społeczność; nikt niepomyśli o tem że pisać wiersze jest nic więcej jak majsterstwo, i bez drugich zalet znaczy toż samo co malować ściany żółta lub czerwona farba

—

Ces chantres sont de race divine.

CHATEAUBRIAND.

— — — — *planant solitaire*
Entre les voix d'en haut et l'écho de la terre.

JOSEPH DELORME.

Każdy człowiek jest mały świat (mikrokosmos) ale między temi drobnemi światami najmniej pojętny jest bez wątpienia poeta. Istota zagadko-

wa, rzucona samotnie między niebem i ziemią, dziwna w idealnym — dziwaczna w praktycznym życiu! Głowa jego zdaje się tylko dla symetrii trzymać się na ramionach a cała dusza skupiona jest w sercu które i czuje i myśli i widzi i słyszy — które że tak powiem jest *człowiekiem uwiesionym w człowieku*. Te dwie osoby nigdy się niegdzają z sobą i każda z nich idzie oddzielną drogą w życiu. *Człowiek - futerał* je i pije jeśli ma co, strzela bąki po świecie dopóki konieczność niezmusi go do systematycznej pracy, chodzi niepatrzac przed sobą, i bywa tak prosty że się dzieci z niego śmieją. *Człowiek serce* nie je, nie pije, nie śpi, pracuje nieustannie, widzi w naturze dźwięki które drudzy dostrzegają tylko wtedy, kiedy im palcem na nie ukaże, widzi w człowieku jeszcze więcej dziwów jak w naturze, wybiera wszystko co mu się podoba i buduje sobie świat czarowny, w którym napawa się rozkoszą, nie troszcząc się bynajmniej o to że niekiedy w tym samym czasie *człowiek futerał*, od głodu lub zimna zębami dzwoni na poddaszu! Ten świat zawiera w sobie *ideały* poety, lecz on tyle przywieźnje się do nich że narazie zdają mu się być *rzeczywistością*; biedny prostak! Szuka ich na ziemi, szuka z zapalem, z pewnością że są blisko od niego, tęskni i wyciąga

do nich drżące dłonie. Wtedy to słodząc sobie samotność ziemskiej pielgrzymki, albo nuci piosnkę, albo ze strón budzi cudowne dźwięki, albo pędzlem przelewa swe dumy na płótno, albo dźwiętem ożywia marmury; czasem nagle zatrzymuje się na drodze, wołając jak Archimede: «*eureka*» (znalazłem!) ale wkrótce poznaje że się omylił i znów idzie dalej, póki się od niego nie odczepi *człowiek futeł*. Niekiedy zostają po nim piosnki, lub drugie pamiatki... niekiedy nie zostawia po sobie oprócz nazwiska dziwaka! — Ale wracam znów do salonowych wieszczów. Jeden z nich czytał mi swoje wiersze i pytał o zdanie — odpowiedziałam mu otwarcie że ich nierozumiem. Poeta przyzwyczajony zbierać laury na parkietach wytrzeszczył na mnie oczy, roztrzepał czuprynę która i bez tego była w nieładzie i rzekł: że poezją trzeba pojmovać sercem a nie głową. Powiedziałam mu na to że Szyllera udaje mi się jednak rozumieć i czuć jednakowo. «Być niemożę! — krzyknął poeta, — niemożę być! powtórzyli drudzy — Pani krzywdzisz Szyllera — sądzić o poezji rozumem, jest to oziebłość — obojętność — pedantyzm i t. d. — masz tobie! pomyślałem w duszy, teraz z łaski poety okrzyczya miue za kobietę zimną jak ryba, za kobietę bez serca, za

egoistkę . . . pedantkę . . . Bóg wie czego na mnie niewymyśla! —

Razem z wiekiem, nczncia słabiej, pojęcie o nich zaciera się w umyśle i natomiast, rodzą się tuzinkowe ziemskie namiętności. W młodem sercu mieści się i miłość i sława i poezja i wiele szlachetnych uczuć — a potem w tych samych komórkach gniezdzi się ambicja, skępstwo, intryga, i gospodarz polubiwszy nowych gości drwiukuje z tych co wyjechali.

Oh! n'insultez jamais une femme . . . !

VICTOR HUGO.

Zastalam dziś n Hrabiny B*** kilka osób i jak się mówi, przyjacielską rozmowę. Major K*** bez litości szarpał i czernił reputacją jednej nieobecnej damy, układając swoją mowę w bardzo gładkie i dowcipne perjody, nie wyjawiając niczego wyraźnie ale zostawiając słuchaczom najobszerniejsze pole do domysłów. Co to za szcze-

gólniejszy język ta francuzczyzna! posiadając go lada jako, można obmawiać kogo się podoba — a szczególnie kobiety! i to stylem bogatym, dzwicznym, lekkim; można sypać jak z woreczka kalemby, epigrammy i sarkazmy, można bez niegrzeczności przedstawić drugiego w najgorszym świetle! Jest to język prawdziwie światowy, skrywający niedostatki umysłu, i przedstawiający człowieka więcej oświeconym jak jest w istocie, tak jak modny ubior skrywa część lat i szpetności kobiety. — Przypadek niedozwolił Majorowi dojść do końca, bo niespodziewanie oznajmiono wizytę tej samej damy o której mówił. Riedna kobieta wbiegła do salonu wesolo, i mile przywitała wszystkich nie podejrzewając tego, jak ją tu przed chwilą traktowano. Kobiety przyjęły ją jak przyjaciółkę, mężczyźni obsypali ją tysiącem światowych, grzeczności, a Major sypał ich najwięcej. Spojrzałam na niego i na nią i nie mogłam stłumić w sobie osobliwszego jakiegoś uczucia — on wysoki, otyły, z wasami, z ostrogami, z ogromnym palaszem — ona mała, szczupła, w lekkiej kobiecej sukni — i ten olbrzym mógł tak zajadle pastwić się nad mucha! . . .

Robicie tyle zachodów żeby poznać dokładnie wiele lat ma koń, czy mocny? czy chyży? czy brykliwy? a sędzie o ludziach z pierwszego

rzutu oka, z pierwszego słowa, a czasem niezna-
 jąc go wcale, z plotek które o nim chodzą. Zbro-
 dniarza schwytanego na uczynku oddają jednak
 pod sąd i pozwalają mu się bronić, a wy sami
 obwiniecie i sędzicie, bez processu, bez rozwagi,
 bez litości! Nieumiecie się wyrazić inaczej jak
 krzyżąc stanowczo «ten oszust! ten podły! ta ko-
 kietka! ta głupia!» Unosicie się gniewem, w pa-
 dacie w jakiś szal złośliwości, i wrzaskliwy wasz
 Trybunał ani pomyśli o tem jak trudno zgłębić
 człowieka, i poznać wszystkie sprężyny które kie-
 rowały jego postępowaniem! . . .

A skutki tych porywczych sądzeń nietylko że
 są bolesne dla skrzywdzonych, ale często nieda-
 dza się niczem poprawić; bo ludzie są dziećmi,
 chociaż wychodzą ze stanu dzieciństwa, chwytają
 bez namysłu zdania zapaleńców, krzykaczy, tref-
 nisiów i wcisnąwszy je w jaką komórkę swego
 mózgu, rachują odtąd za swoją własność i nieda-
 ją jej sobie łatwo wyciągnąć z głowy.

Dzięki Bogu! że się na tem skończyło, bo
 czego by też ludzie niepowiedzieli gdyby ten bie-

dny Hippolit odjął sobie życie przez moją nieczulość!

Tysiąc razy zbierałem się powiedzieć mu otwarcie że w Warszawie znajdzie mnóstwo kobiet godniejszych odemnie i więcej zdolnych pojmować go, jak ja; ale słowa marły na moich ustach, odkładałam ciągle na później, aż nareszcie *un beau matin* Pan Hippolit przyjeżdża bez ceremonij domagać się mojej ręki. Ojciec z uśmiechem odprawił go do mnie, a ja — odmówiłam mu. Biedny kochanek, wziął drzacą ręką za kapelusz i bąknął kilka słów z których można było sądzić że chce sobie odebrać życie. Strwożona pobiegłam do ojca, prosząc go aby jakimkolwiek sposobem zatrzymał desperata na brzegu przepaści. «Bądź spokojna, rzekł starzec, niemaż nie pospolitszego w świecie nad to że młody człowiek przyrzeka kobiecie nmrzeć, że się uskarża na świat, na zdrowie lub cierpienia duszy. Jest to najprostszy sposób, którym można zrobić sobie wstęp do kobiecego serca, albowiem u was litość i miłość sa to rodzone siostry i bardzo często kobieta przyjmuje jedno za drugie.» — Najnędzniejszy sposób! zawołałam oburzona — jest to rodzaj żebractwa unizającego godność człowieka, i podstęp którego nic niemoże usprawiedliwić!

Niezważając na zdanie doświadczonego starca, byłam kilka dni w wielkiej niespokojności, dopóki nareszcie nie zobaczyłam Hippolita zdrowego i rumianego jak zwyczajnie. Kamień spadł z mego serca. Powiedziano mi z boku, że Hippolit istotnie chciał się zastrzelić ale potem namyślił się i tylko się — upił z przyjaciół.

Świat tutejszy ma szczególniejszą naturę — czy go spotykasz w godowej szacie, czy w żalobie, czy go szukasz, czy od niego stronisz — on zawsze wita cię z uśmiechem, a jak się odwrócisz w drugą stronę, gryzie cię za piętę.

Wszyscy się tu trzymają maxymy tego dyplomata, który powiedział: „że mowa dana jest człowiekowi nie na to, ażeby wyjawiał swoje myśli, lecz żeby je skrywał lepiej.” Jest to prawdziwa szkoła wzajemnego oszukiwania się. I wszystko to robi się tak zręcznie, z takim namysłem, z taką rachubą, jak gdyby człowiek dla tego tylko żył na świecie

cie żeby ludzić drugich i śmiać się z nich w duszy.

W ich przyjacielskiej rozmowie niemasz żdźbła szczerości, ich komplementa zimniejsze od łożdów które roznoszą lokaje, a rady ich trzeba nicować na drugą stronę żeby uiewpaść w lapkę. Łamią sobie głowy, spekulują, pocą czola, jakby łatwiej wykopać jamkę na cudzej drodze. Polują na dowcip i niezoność — polują na pieniądze i honory — polują na obiady i serce biednych kobiet . . . polują na wszystko!

Ten pan siada przy mnie, wyjmuje z kieszeni perjody i częstuje mnie tym towarem; ta pani biegnie do mnie z drugiego końca sali i zaczyna mi wytrząsać mnóstwo iugredjencji ze swego ridikiulu. O dobrzy ludzie! miejcież litość nademną; umiarkujcież swoja szczodroblivość, bo nareszcie nie uniosę ciężaru waszych darów!

Dajcie mi pokoj — ja się nieprzydam dla was ani wy dla mnie. Nie w mojej mocy skrepować siebie waszą polityką, i grać rolę na tym teatrze. Ja jestem wesola lub smutna nie podług rachuby, lecz jak Bóg da, jak się sercu uda! Są chwile w których bez powodu napada na mnie smutek, czuje potrzebę płaczu, i gdybyście na mnie nie patrzali, płakałabym jak dziecko; a drugi raz czuję się tak

wesoła, że jak mówi Hoffman gotowabym wtłoczyć sobie na głowę dwa kapelusze i wybiedz na ulice. Z takim charakterem nie dziwnego że mi duszno, ciasno i nudno na waszych świętych wieczorach i rautach.

Głowy tych ludzi zda się powsiadały na serea jak ulani na konie, trzymają je cuglami i ostroga w posłuszeństwie i harenja w salonach. Jedni prosto ćwiczą się tylko w sztuce jeźdzenia jakby w reytszuli, drudzy pedza na spienionym rumaku po płaszczyźnie świata, niemając mety, zbiegając ciagle z drogi na drogę — karmia konie lada jakim zielskiem byle się tylko nie zatrzymywać — latają dopóty dopóki się nieznudza, i zniszczywszy szlachetne zwierze, zatrzymują się z niedźna szkapą na popas u wrót małżeństwa! Kto karku nie złamie i nie znudzi się, lub nieznajdzie wygodnego popasu, idzie wreszcie pieszo i za cugle ciągnie za sobą rosinanta. Słowem nasze salony, są podobne do Hippodromu.

Wahrlich, ein Mädchen, das ein Herz hat, ist schon halb dumm, und wie geköpft.

JEAN PAUL RICHTER.

W moim umyśle roją się plany dla rozmaitych zatrudnień, projekta i myśli migają jak błyskawice, oślepiają swym światłem i sprawują tak mocne na mnie wrażenie, że w tej chwili czuję się być zdolna do wszystkiego. Ale potem jak zaczęłam myśleć, rozbiierać rzecz i analizować środki, tracę wolę, stygnę i cały mój pałac z kart obala się. Pomysł nie mnie nie kosztuje, przedsięwzięcie robię z zapalem, ale jak wspomnę że dla przyprowadzenia go do skutku potrzeba czasu, cierpliwości i systematycznego zajęcia się . . . adieu! wszystko się kończy na niczym. O iluż dzieł nie nakreśliłam sobie w głowie planu, a jednak nie dotąd nie napisałam! — ileż moralnych postanowień zrobiłam, a jednak dotąd niepozbyłam żadnej wady! — Tak życie moje przechodzi!

Niekiedy lada drobnostka — dzieciństwo — dziwactwo, zajmuje mnie po całej godzinie, jakby przedmiot największej wagi. Łamię sobie głowę myśląc o tych banialukach, rozpatruję je z różnych stron, robię tysiąc przypuszczeń, wniosków, i ginę w chaosie kombinacji — potem nagle spostrzegam swoje

głupstwo i śmieję się sama z siebie. Takim sposobem straciłam dziś prawie cały ranek, myśląc o tem *co by też to było*, gdyby jakim cndem zwierzęta pobierały się we fraki i sukienki i wmieszały się między ludzi. Wyobraziłam sobie cały salon takiego towarzystwa, widziałam jak wielbłąd tańczył z sarneczka, skocznego mazura, a kozieł, muł i osioł stojąc na tylnych łapach w kacie grali na różnych instrumentach; zwinny kot przyjmował uprzejmie gości u wejścia do sali, kret uczył zajaca filozofji, i chciał z niego zrobić stoika; wróbel wykładał geognozja, wilk moralność i polityczna ekonomja; a nietoperz deklamował najnowszy swój romantyczny poemat, którego kaczki słuchały z zachwyce niem . . . per Bacco! czego ja niewidziałam i niesłyszałam w tém *serapjontyczném* marzeniu! . . .

Olla podrida próżności.

Wy macie ciepłe mieszkanie, odzienie i obuwie — karety, parasole i galosze — służących, kucharzy i doktorów, a jednak chwiejecie się od niemocy jak trzcina kołysana wiatrem! Biedui wie-

śniacy nie z tego niemają, a wszakże są zdrowi i czerstwi i dożywają do późnej starości!

Kiedy wzrok wasz osłabnie, możecie mieć sztuczne oczy ze szkła, kiedy wam braknie zębów, dentysta wprawi drugie, kiedy twarz wasza blada możecie ją pomalować, same nawet niedoleżności ciała możecie skryć za pomocą stroju i waty . . . wieśniacy niemają tego, ale też i niepotrzebują!

Z pusta głowa umiecie grać rolę uczonych — z pusta kieszenia, bogatych — z pustem sercem, zakochanych lub przyjaciół — jest to wielka sztuka! ale na cóż ona wam się przyda, kiedy ją prawie wszyscy posiadacie, i każdy przyjmuje i płaci też samą monetą?

Krzatacie się skwapliwie, zdaje wam się że szybko biegniecie do celu, a gdybyście się obejrzeli, spostrzeżlibyście że stoicie na miejscu, krecać się tylko w kołko jak Fakiry!

SZATANEK.

Was willst du böser Geist von mir?

FAUST.

Vous avez les diables blens — maladie qui s'appelle en anglais blne devils.

STELLO.

Jest coś we mnie, czy kolo mnie co mi przeszkadza być szczęśliwa. Niekiedy serce moje napelnia się rozkoszném uczuciem, kocham wszystkich, uśmiecham się światu, wszystko mi się podoba i chciałabym zostać w tym stanie, ale nagle, sama niewiem zkad, nalatują czarne myśli na mój umysł, krążą po nim jak zgraja kruków i wyjadają mi z mozgu najpiękniejsze moje marzenia. W podobnych chwilach zdaje mi się że jakiś zły duch — że jakiś *szatanek* stoi przy mnie i szepcze mi do ucha zdania od których potokiem chłód strzela mi w serce. Zdarzało się to ze mną i dawniej, na wsi, ale wtedy byłam dzieckiem, nie znałam świata, i

wszystko się kończyło na mimowolnym płaczu, którego przyczyny nie pojmowałam ani ja, ani drudzy. Dziś, zupełnie co innego. Świat rozkłada przedemną swoje mamidła, wyciągam dłoń żeby schwycić to co los do mnie zbliża, i cofam ją z rozpaczą, bo głos mego tajemniczego ducha szepta mi że to wszystko fałszywe! — że te kwiaty co mnie neca zrobione z jedwabiu! Kiedy się zachwycam — on szydzi, kiedy cenię — on uniża, kiedy ufam — on niewierzy; kiedy się do łez rozczulam on znajduje zawsze coś śmiesznego lub płaskiego i w każdym razie odrzuca mnie w stronę przeciwną tej gdzie szukałam nadziei lub szczęścia. Zimny, ironiczny, podejrzliwy, nieubłagany, pastwi się nad moim sercem jak nad bezbroną ofiarą i truje w niemi każda rozkosz w samym zarodku.

Z tym szatankiem wypadnie mi walczyć całe życie; stoi przy mnie jakby na szyldwachu — i kiedy chcę go odprawić odpowiada, że już zapóźno!

O ileż słodkich marzeń i nadziei, musiałam z jego woli rzucić marnie na drodze życia! ileż nocny bezsennych spędziłam płacząc i słuchając z rozpaczą sarkastycznych jego rozumowań! — a co najgorsza, napłakawszy się, nagniewawszy się na nie-

go, widze najczęściej że próżno się z nim sprze-
czać — bo prawie zawsze ma racją! . . .

W mowie ludzkiej znajduje się wiele wyrazów których znaczenie jest zupełnie *względne* — do rze-
du tych należy słowo «szczęście» — Wyjawszy mo-
że kapłana i filozofa, każdy z nas ma o nim inne
pojęcie, bo każdy zakłada sobie inny cel w życiu,
ma swoje osobiste chęci, gusta, i potrzeby jak fi-
zyczne tak i moralne. Co dla jednego jest ostate-
cznym kresem marzeń, w zdaniu drugiego może być
niedola. Z tąd wypada że o losie innych mamy naj-
częściej błędne wyobrażenia, niesłusznie zazdrości-
my jednym i bez przyczyny litujemy się nad dru-
gimi. Z tąd też wypada, że nieraz potępiamy in-
nych, obojętnie i niesprawiedliwie, za to że nie sa
zadowolnieni swoim losem. Słyszymy codziennie
mówiących w towarzystwie: «ta panienska sama nie-
wie czego chce, zdarzaja się jej najpiękniejsze partije,
a ona je odrzuca» albo: «ta pani ma najlepszego me-
ża i ciagle smutna.» O zimni rozprawiacze wam się
zdaje, że serce kobiety nie powinno bić w jej lo-
nie, ani pedszym, ani powolniejszym taktem, nad

ten, jaki wypada z rachunków waszego egoizmu! Nikomu z was nieprzyjdzie do głowy, że można cenić człowieka, oddawać mu zupełną sprawiedliwość, a jednak go niekochać, albo nawet mieć wstret do niego. Mezczyzna może być przystojny, miły w towarzystwie, oświecony, dobry przyjaciel, rządny gospodarz, szlachetny obywatel i przy tych wszystkich zaletach niepodobać się kobiecie, albo zająć ją mocno, a jednak potem być złym mężem. Najświecniejsze przymioty niewzbudzą w naszym sercu miłości, jeśli natura, jedułem technieniem nie rozżarzy w nim ogniska tego uczucia, tak jak Mojżesz na pustyni uderzeniem różeczki wydobył zdroj z skały.

*Encore si vous m'eussiez laissé... l'ignorance
J'aurais vécu paisible..*

Mais vous avez nourri les feux de mon génie.

GILBERT.

Nazywacie mnie kokietką, kobietą bez serca, żyjącą tylko umysłem i wyobraźnią — a to wszy-

stko dla tego, że dotad niekocham nikogo. Dobrzy ludzie! moją to wina, że każdy z was przynosi mi swój liczman i chce go wydać za dukata? — Lalki, marjonetki, dziwne zamorskie zwierzątka tańcza w okolo mnie sarabande, szczebioczą i robią grymasy, zdejmują kapelusiki i klaniają się unieżenie. «Weź mnie droga pani» — mówi jeden, «ja już miesiac skacze przed toba, jestem dobry jak gołabek, bedziesz ze mnie kontenta» — «Kochaj mnie, mówi drugi, ja plasam już rok cały, nogi mnie bola i mam prawo odpocząć.» «Oddaj mi swoja reke, mówi trzeci, ja będe tańczyć przed toba cale życie.»

Ojcie! ojcie! poco jeszcze w dzieciństwie sprowadziłeś mnie z bitego gościnea kobiecego życia — poco tak starannie pielegnowałeś moja głowę, i nauczyłeś mnie obserwować ludzi? poco rozłożyłeś miłość na pierwiastki i daleś mi tak wysokie o niej wyobrażenie, że teraz szukam jej podlug twojej recepty i z rospaczą widzę że jej nie ma! Weź sobie oświecenie, weź tę zgubna receptę — co mi po nich jeżeli mam jak sierota błakać się po świecie. Moje rowiennice biegna wesolo po drodze życia, słońce im mile świeci, kwiaty ich bawia, słowik im śpiewa i ledwie zrobią kilka kroków, spotykają towarzysza dla dalszej podróży . . . i jabym przeszła po tej samej kolei, spotkałbym może ciernie ale mię-

dzy nimi byłyby też i kwiatki roszkoszy. Ojcie! po co mnie nauczyłeś chwycić się za zbyt wysokie nadzieje — narzekam na ciebie jak Gilbert na swoich rodziców!

—

*Es schleichen wilde Schrecken
So ängstlich leise her
Und tiefe Nächte decken
Die Seele zentnerschwer.*

NOVALLIS.

Próżno bym chciała opisać to uczucie które mnie niekiedy ogarnia; — Sama niewiem czego mi brakuje, Mam wszystkie wygody życia, mam książki, fortepjan, malarska gotowalnia, mam mnóstwo znajomych, i mogę korzystać ze wszystkich zabaw stolicy, a jednak napada na mnie taka tęsknota, że mnie to wszystko nie cieszy. Nie jestem chora, a wszystko mnie boli, źle mi w domu, a w gościach jeszcze gorzej. Zdaje mi się że muzyka mnie uspokoi, ale zaledwie zbudzę kilka wdzięków bola mnie uszy od tej brzakaniny i żądam znów ciszy. Tydzień już się zbieram przeczytać książkę, która w in-

nym czasie skończyłabym w kilka godzin. Jakaś myśl błędna, nieokreślona, padła na mnie całym brzemieniem i trzyma moją istotę w bolesnym letargu.

Demestica facta.

Ojciec mój był mocno chory i ledwie przyszedł do zdrowia. Na łożu boleści, zacny starzec myślał więcej o mnie jak o sobie, i kiedy gorączka pozbawiła go przytomności, rozprzęgłe myśli cierpiącego kupiły się najczęściej na tym punkcie, że w przypadku jego śmierci, ja zostanę samotną sierotą bez żadnej podpory, wśród pustyni świata. Nie kiedy wołał jakby z rozpaczą: «a jeśli ja się omyliłem! a jeśli moje myśli o wychowaniu fałszywe? — Boże wtedy ukradłem jej całą młodość, pozbawiłem ją najpiękniejszej perły w wianku lat życia! — zdarłem zasłonę omamień z jej oczu, i rzuciłem nagle w świat, w którym teraz nie ją ani dziwi, ani zajmuje, ani przyciąga!» — W innych chwilach przeciwnie uspokajał siebie, mówiąc: «nie — niemożem się omylić chroniąc ją do dojrzalszych lat od burzy serca, i rozwijając należycie te zdolności któ-

remi obdarzyła ją natura! — niech się śmieją ludzie światowi, niechaj szydzą filozofowie, ja słuchałem głosu rozumu i doświadczenia.»

Badź spokojny starcze! wezmę latarnię Diogenesa, i będę szukać człowieka, jak tego pragniesz! . . .

Twój podeszły wiek i moje lata, przeznaczenie kobiet, i potrzeba męskiej opieki w społeczności, wreszcie szyderstwo które świat wali na barki starej panny, wszystko to są pobudki którym umysł mój bynajmniej się nieopiera. Widzę dobrze że jestem już w drugiej epoce kobiecego wieku, że twarz moja zaczyna stopniowo przybierać wyraz dojrzałości, że może wkrótce młodzież odstąpi ode mnie. Z drugiej strony, wyobraźnia przedstawia mi najpoważniejsze obrazy szczęśliwego domowego życia, serce czuje okropną cześć w świecie i wymownym głosem domaga się odmiany w mym losie. . . . Były chwile, w których zaczynałam sprzyjać temu lub owemu; i gdyby nieodstępny mój szatanek, opuścił mnie choć na czas jakiś — ale dość tej spowiedzi! przyrzekłam sobie zastanowić się nad tym przedmiotem.

PIERWSZA KONSULTACYA.

Poezja i proza.

Miłość jest poezja serca — rzekłam sobie, i dla tego tak rzadka na ziemi, jak pieśni poetów.

Miłość jest sen — szepnał mi szatanek; kochać się, jest rzecz równie pospolita jak spać, można rozmaicie kochać i mieć rozmaite sny, można spać podług recepty i kochać podług rachuby.

Prawda! — zawolalam — miłość jest sen, ale sen czarowny, boski... ja ci opowiem taki sen:

Szatanek zmarszczył się, jak literat na widok książki, której tytuł mu się niepodoba.

SEN DZIEWICY.

L'amour! c'est le rêve d'un ange:

BERANGER

I zwiedzili drogi mleczne;

Wszystkie słońca i rzęzyce,

Wszystkie sfery podłoneczne.

JULJAN KORSAK.

Zdało się jej że był jesienny wieczor, wiatr szumiał w ogrodzie, łamał ostatnie kwiaty, kołysał

drzewa i zmiatał zółkle liście w alejach. Spojrzała na niebo:—blady xieżyc to wychylał się z chmur, to w nich tonał, gwiazdy błyszczwały mdłym światłem, snuły się zwolna przed jej oczyma jak pochodnie dalekiego pogrzebu, i gasły jedna po drugiej. Nareszcie zrobiło się ciemno — «Ciemność i smutek! — zawołała z westchnieniem—oprócz tego niemaż nic więcej na świecie.» Ale zaledwie domówiła tych słów, wszystko się przemieniło. Drzewa zazieleniały się świeżą majową barwą, lagodny wietrzyk igrał z listkami, tysiaçe cudownych kwiatów rozkwitło w kłabach, i słowiki nuciły zachwycające piosenki i cały błękit niebios usłany był złotemi gwiazdkami, pośród których majestatycznie, plynął xieżyc żadna chmurka niezakryty. Z jego twarzy strzelił snop srebrnych promieni, a na tych promieniach tańczyły jakieś małe istoty, czarującej postaci, dziwnie piękne, z oczkami jaśniejszemi od brylantów i wdzięcznie się jej uśmiechały, i szepotały jej niebieskie przywitanie; wabiły i pociągały do siebie. Jakieś nowe życie zionęło w jej duszę potokiem roskoszy, zadrzała od szczęścia, i złożyła ręce na piersiach, jakby obawiając się żeby lono jej nieprzeczepuilo się zbytciem uczuć i nie pękło. Czula się lekka jak piórko, jak cień, jak myśl— niewidoma siła unosiła ja nad ziemską płaszczyznę,

i sama niespostrzęła jak orlim lotem wzbila się w górne obszary. Zapomniawszy o ziemi i o ludziach, leciała wyżej i wyżej, chyżej i chyżej, między słońca, między światy krążące po odwiecznych drogach, w oceanie jasności; słyszała harmonja sfer niebieskich, i dalekie echo jeszcze wspanialszych głosów! — O! zawołała dziewica, to za wiele szczęścia dla jednego serca, dla czegoż tu niema nikogo, coby go zemną podzielił?... «Czyliż niewidzisz mnie? — rzekł jej ktoś głosem miłszym nad wszystko co dotąd słyszała — wszak ja ci nieodstępnie towarzyszę.» — i postrzegła przy swoim boku młodzieńca, pięknego jak anioł, który z uśmiechem podał jej rękę. Jego obecność przejęła ją niewypowiedzianym uczuciem, które ognistą lawą płynęło w serce, i poznała z zadziwieniem, że to co przed chwilą zdawało jej się zbyt cennem było tylko paczkiem rozwijającego się kwiatu. Dłoń w dłoni, oko w oku, zestrzeliwszy uczucia, myśli i całe życie w jedno ognisko, lecieli wyżej i wyżej, śmielej i śmielej, nad słońca, nad światy do eterycznej mgły, za którą zaczyna się nieziemskie życie! Oto sen dziewicy.

»Jakiż jego koniec?« — spytał obojętnie szatanek.

Niemasz tu końca signor demonio! zawołałam

oburzona — wyżej i wyżej! chyżej i chyżej! — nad słońca... nad światy...

«Stój — przerwał zimny mój towarzysz; bliższy tu koniec jak ci się zdaje. Poczekaj ja ci go opowiem; ale po twoim niebieskim nektarze, będzie ci to mniej do smaku jak *infusum cardui benedicti*.

DALSZY CIĄG SNU.

Und liefert das Leben von unsern idealen Hoffnungen und Vorsätzen etwas anders als eine prosaische, unmetrische, ungereimte Uebersetzung?

JEAN PAUL RICHTER.

Kiedy tak szczęśliwie lecieli nad słońca, nad światy... nagle zdało im się jak gdyby coś ich targnęło zdołu; spojrzeli i spostrzegli że do nóg ich była przywiązana nitka, na którą dotąd nie zwracali uwagi, a drugim swoim końcem w dalekiej przestrzeni dochodziła do jakiejś kulki małej i czarnej jak ziarnko pieprzu. «Ta nitka nas niezatrzyma, rzekli oboje ufając w swą siłę; albo pęknie, albo tę pieprzynę pociągnie za sobą, co nam na nią zważać!» i

znów lecieli dalej. Nitka przedłużała się nieodpowiednio wzlotowi, i nareszcie nateżyła się jak struna, lecz ani rwała się, ani pieprzyny nie ciągnęła w górę. Niemogli lecieć wyżej, bo każde usiłowanie sprawiło im boleść; opanowała ich niemoc i niechęć, kołysali się jeszcze czas jakiś na jednej wysokości, a potem zaczęli spadać i ujrzeni z zadziwieniem, że ta pieprzyna która tak gardzili—była ziemia! Ten lot nad krańcami przyrodzenia,—ten lot bujny, wspaniały, szczytny, był^o nic więcej jak wojaż wróbla, którego żak puszcza na sznurku!.... wypuścili dłoń z dłoni, zaczęli sprzeczać się kto był króciej przywiązany, i kto drugiemu przeszkodził lecieć dalej, zaczęli się posadzać o zdradę — i niepatrzac gdzie spadają, spadli niestróżnie, przed okiem świata, który ich wyszydził za tę napowietrzną podróż.

Przestań jeśli masz litość! — zawołałam; czego nie oczerni twoja sarkastyczna filozofja! młodość, poezja i sama miłość wędna, jak tylko dojdzie do nich chłodne twoje technienie....

„*Omne trinum perfectum!*” rzekł ironicznie zimny filozof—trzy rodzone siostry! ciągną ludzi tak mocno za nos, że im się nikt oprzeć nie zdoła, i dla tego wszyscy je lubia.

DRUGA KONSULTACYA.

KONCEPTA.

*Il y a toujours les trois quarts d'absurde
dans tout ce que nous disons.*

JOSEPH DELORME.

Nienawidzę twoją filozofją – rzekłam szatan-
kowi; mów mi o miłości, językiem świata. Na co
mi się przydadzą twoje sarkazmy, twoje rozumowa-
nia, i twoje dziwaczne sąszenia? ja chcę wiedzieć
zdanie ludzi między którymi żyję. — O! z tych zdań
zapewne nie wiele skorzystasz, odpowiedział sza-
tanek; ludzie lubią wszystko tłumaczyć, a najbar-
dziej to czego niewiedza lub nierozumieją; w nau-
kach przyrodzonych robią *definicje* które nie nie
dąfinjują, a kiedy idzie o objaśnienie natury duszy
lub serca, to lamia sobie głowę dopóty, dopóki
nie wymyśla jakiego *konceptu*, i potem wydają go
drugim za dobrą monetę. O kobietach i o miłości
mnóstwo podobnych konceptów chodzi w salonach,
i ludzie światowi, zachwycają się nimi, jak dzieci
pięknościami zaklętych xieżniczek o których im mó-
wia piastunki. Tak naurzykład powiedział ktoś:
»Żeby się podobać mężczyźnie trzeba tylko odkryć

oś na której kręci się jego istota, i zrecznie pomagać, albo przynajmniej nieprzeszkadzać mu kręcić się; z uczonym postępować poważnie, z trzpiotem się trzpiotać, gastronomą karmić, cheiwemu sypać złoto i t. d., ale żeby się podobać kobiecie, trzeba jak Proteusz przybierać na siebie tysiąc postaci; być wesolym i smętnym, lekkomyślnym i filozofem, otwartym i kłamcą, zalotnym i obojętnym, niewolnikiem i samowładnym.» — jak ci się podoba to zdanie?

«Plaski koncept! — ale może tak jest w istocie?»

Przynajmniej dotąd, tego niemaż w Polsce. Cała ta tirada pachnie wiekiem Ludwika XV, i gdyby była prawda, to każdy komedjani, mógłby z serc kobiecych ułożyć sobie nową Egipską piramidę.

—Ale cóż jest miłość w zdaniu ludzi światowych?

Najrozsądniejsi objaśniając ją, mówią że to «kwiat wiosenny na drzewie przyjaźni.»

Piękne wyrażenie, lecz tego mało dla serca! — rzekłam z westchnieniem —

«A za wiele dla umysłu patrzącego na świat przez okulary doświadczenia—dodał obojętnie szatanek. Sa jeszcze *paszkwile* na miłość, ale o tych zamilcze.

TRZECIA KONSULTACYA.

HISTORJA.

*Und da sucht das Aug, so oft vergebens
Rings umher und findet alles zu;*

GÖTHE.

*Moi, je n'ai point encore entre eux trouvé d'ami
Parce qu'un coeur trop plein n'aime rien à demi.*

LAMARTINE.

Bedzie to zapewne ostatni bal w tym roku, myślałam sobie wyjeżdżając z domu. Szatanku! nie waż się wchodzić ze mną do sali, dziś chce się bawić tak wesoło jak inne kobiety — i zostawiłam go na dworze chociaż deszcz lał jak z wiadra.

Wyśmienity fortel, odpędzić takim sposobem nudziarza! Kiedy weszłam do salonu, wszystko mi się podobało, czułam w sobie chęć do zabawy, i istotnie bawiłem się wesoło. Opowiadano mi nowości warszawskie — i to mnie zajmowało; młodzież syłała mi grzeczności światowe — i przyjmowałam je z przyjemnością, brano mnie do tańca — tańczyłam z rokoszą; oświadczano mi się z uczuciem —

i wierzyłam tym oświadczeniom. .. wszystko to dla tego że niebyło przy mnie szatanka!

Po jakimś czasie, strudzona tańcem siadłam przy oknie i oparłszy się na konsoli, słuchałam światowej gadaniny jednego mężczyzny — w tym zdało mi się słyszeć szmer jakiś za szybą; spojrzalam — niestety! był to nieborak szatanek, który żałośnie błagał mnie żeby mu pozwolić wpełznąć do swojej komórki w mózgu. Zamyśliłam się czy się zgodzić na to lub nie, a tym czasem mój kawaler widząc że gładkie jego perjody gina na próżno w powietrzu, opuścił mnie po cichu. Szatanek mówił znów: »pozволь mi wrócić, ten bal już cie więcej niebędzie zajmować, tańczyć więcej nieczecbeesz, cóż więc będziesz robić bezemnie? — chyba spać?«

— Prawda, pomyślałam — ta pustota już mnie znudziła, spać tu niemożna, ani się zająć jaką robotą... chodź szatanku! chodź i jeśli możesz, powiedz mi kto tu o mnie myśli z mezczyzn.

— Mogę nie tylko ich wyliczyć, rzekł povero diavoletto, ale nawet opisać ich charaktery.

— Trudna to jest rzecz — zawołałam z niedowiarstwem.

— Trudna bez wątpienia, odstrzelili filozof, ale dostępna. Wszak nie mało lat obserwuje ludzi, zbliżających się do ciebie — Z początku często sadyłem

falszywie, lecz później doświadczenie, rady i zdania tych co także czuwali nad toba, nareszcie xiegi których tyle przeczytałem dla twego dobra, wszystko to udoskonalilo mnie do pewnego stopnia, i jeśli teraz sad mój nie jest zupełną prawdą, to przynajmniej znacznie sie do niej zbliża.

—Ale dla czegoż ty w każdym człowieku widzisz tylko jego niedoleżności?

—W każdym? o, nie! wielu z twoich znajomych, szanuję i cenię prawdziwie, i mówiłem ci nieraz, że dzisiejsze towarzystwo przy całym swoim moralnym upadku liczy jeszcze zbyt wiele szlachetnych i oświeconych ludzi, ażeby go można było potępić. Niepochlebne sadzenie o kilku członkach, niestosuje się wcale do społeczności. Wszak nawet o trzodzie owiec niepodobna dać ogólnego zdania, jakżebym więc mógł czeruić wszystkich ludzi bez wyjątku?

—Znów sie wdajesz w rozumowania!

—Nic to — już zaczynam. Widzisz tego ulana, z twarza ogorzala od słońca, z ogromnemi wasami i bakembardami, co stoi w marsowej pozycji przed Julja K.*** i lakonicznie odpowiada na jej szczebiotliwą rozmowę? to rotmistrz Stepak, człowiek mało oświecony, mało utarty w towarzy-

stwie, ale z gruntu uczciwy, szlachetny, dobry obywatel i nadewszystko doskonały oficer. Serce jego dobre i czule w każdym razie, kiedy tylko nie idzie o służbę, lecz słowo: «służba» w jego pojęciu ma bardzo obszerne znaczenie. On widzi całą społeczność pod postacią ułańskiego wojska i dzieli ją na *starszych, równych i młodszych*. Znajomiac się z kimkolwiek pomieszcza go w jednym z tych oddziałów, i stosownie do tego obchodzi się z nim. Każda kobieta w salonie znaczy dla niego toż samo co pułkownik przed frontem. Kochanka ma stopień przynajmniej generała; a żona, jeśli ja kiedy *wysłuzi* będzie się musiała kontentować rangą wachmistrza. Stać się jego małżonką, jest to w jego zdaniu toż samo co mieć honor służyć w jego szwadronie. On będzie dla swej żony, dobry, przychylny, troskliwy, ale za to proszę pilnować służby i broń Boże! niewychodzić z karbów subordynacyi. Pan Stępak już się był prawie zdecydował oddać swoją bohaterską prawicę Julji K**, ale zmiarkował że ta panienska nieprzyznaje żadnej różnicy w stopniu między mężem i żoną. Zaczny rotmistrz, brzydząc się taką herezją rejteruje się od niejakiemu czasowi z należyta ostrożnością i zwraca oczy na ciebie, w nadziei że spotka w tobie więcej dojrzałe sadzenie o stanie małżeńskim.

—Cenię zasługi rotmistrza, ale nie mam chęci służyć w jego szwadronie.

—A więc pójdziemy dalej rzekł Szatanek. Oto tam w końcu salonu rozmawia młody mężczyzna ze stara hrabiną S.^{***} to Stanisław M.^{***}. Pan Stanisław ma 30 lat; żeby skryć swoje nieoświecenie drwinkuje z uczoności i uczonych, czyta rano gazety i wieczorem szeroko rozprawia o polityce i nowych wynalazkach; żeby pokazać się filozofem, deklamuje ciągle o moralności i naturze przyszłego życia; żeby skryć pniłość serca, uczy się na pamięć czułych djalogów z powieści pani de Genlis i recytuje swoje lekcje przed młodemi kobietami. Życzylby sobie moeno napelnić kieszeń posagiem przyszłej żony i w tym celu zbliżył się do hrabiny, która lubi swatać, i przyrzekła mu znaleźć przyzwoitą partją. Pan Stanisław uważa cię za sentymentalną kobietę, i sądzi że jedna ręka wezmie twoją rękę, a druga twój posag.

—Ależ to niegodziwie! — zawolalam, taką falszywą moneta chcieć kupić życie i szczęście kobiety!

—Oklepana historja — rzekł obojętnie sarkastyk. Stara jak świat. Dziwna rzecz tylko, że są kobiety, które dopóty niemają pokoju, dopóki ich nie-

kupi jaki zimny negocjant, za kilka liter swego nazwiska i tytułu.

—Młodość! niedoświadczenie! rzekłam z żalem.

—Namiętność! — odpowiedział szydersko szatanek; ona jest skała o którą roztracają się rozumy wszystkich kobiet; i młodych i starych, i oświeconych i prostych, ale ten przedmiot za nadto wyczerpany żeby się nad nim zastanawiać. Czy widzisz tego mezczyznę co z desperacką miną stoi przy oknie? lat 27, twarz blada, rysy ostre, nos orli, brwi nachmurzone, włosy w nieładzie!

—To Alexander D***.

—Pan Alexander lubi silne wrażenia, pije मदरę i rum, jeździ na koniu w czwał jak upiory w balladach, stawia na kartę wszystkie pieniądze które ma przy sobie, poluje tylko na niedźwiedzie, tańczy tylko galopade i szuka kobiety coby go kochała namiętnie — ślepo — bez granic; coby sobie pozwoliła nos oderznąć na skinienie jego reki. ... niedawno pan Alexander widząc cie pierwszy raz, zdziwił się tylko, że wzrok twój zrobił na nim mocne wrażenie; dziś uderzony znowu twoim magnetycznym spojrzeniem, niewycierpiał dłużej, zbliżył się do ciebie i zaczął rozprawiać robiąc najdziwniejsze gesta: o idealach, ognistych uczuciach,

szalonej namiętności, obojętności kobiet i t. d. i wszystko to dla tego, żeby w tej lawie frazesów stopić twoje serce.

— To musi być warjat? spytałam.

— Wcale nie; rzekł Szatanek, to młody człowiek, który bez należycie rozwiniętego rozsądku, rzucił się w odmęt romantycznej literatury. On nieczyta — lecz łapczywie polyka całe poemata i powieści. Coż dziwnego że ten pokarm sprawia silne fermentację w głowie nieprzygotowanej do jego przyjęcia przyzwyczajonym oświeceniem. Jest to toż samo co karmić niemowlę beefstekiem. Zabawna rzecz! że wiele kobiet, mają szczególniejszą predylekcją do ludzi tego rodzaju.

— Z obawy ażeby mi nie kazał odciąć nos, zapomnijmy o panu Alexandrze — pomówmy o kim innym.

— Naprzykład o panu Buriko-Koko, podchwycił Szatanek; otoż on stoi sobie przy drugim oknie i zlekka bębni palcami po marmurowej konsoli; ma około 32 lat, twarz regularną, ale bez żadnego wyrażenia, oczy metne, brwi cienkie, dzielące wazkie czoło prawie na dwie połowy, i głowę płaską z tyłu jak deska. Pan Buriko-Koko niema własnego charakteru i dla tego codziennie pożycza u drugich myśli i uczucia. Niechaj kto chwali otwar-

tość, Buriko-Koko natychmiast zanotuje to sobie, i wraz wypowiada się przed wszystkimi znajomymi, choćby mieli suchot dostać z nudów. Niechaj potem kto inny powie że potrzeba skrywać swoje myśli — Buriko-Koko, obleci znów wszystkich znajomych, odwoła to co im mówił i będzie kłamał jak najety. W jego głowie, sercu i kieszeni jednakowy nieład; on nigdy nie wie z pewnością co myśli, co czuje i wiele ma pieniędzy. Żeby zgodnie żyć z takim mężem, żona powinna się zgadzać ze zdaniem *wszystkich* znajomych, od czego rozsądna kobieta niechybnie musi zwarjować. Buriko-Koko kocha się we wszystkich kobietach które się innym podobają i rozmawiając niedawno z jednym z twoich wielbicieli, pała teraz dla ciebie miłością.

— To wymyślony charakter rzekłem — takich ludzi niemasz na świecie.

— Jest ich mnóstwo odpowiedział Szatanek — trudniej jest mieć własny charakter jak własna wieś.

— Biedny człowiek!

— Głupi! — gdyby tylko miał cokolwiek więcej taktu, mógłby nie siać, nie orać a zbierać. Jest wielu co lepiej na tem wychodzą jak pracownicy rolnicy. Ale oto siedzi znajomy ci młodzieniec w fo-

teń, skrzyżował ręce na piersiach, i podniósł wzrok na sufit jak gdyby po nim liczył gwiazdy. . . . czy opisywać go?

— Ach! to mój kuzyn Hilary! — mów że prędzej — dla czegoż nie zaczynasz?

— Szatanek ociągał się, ziewał, zagadywał o czem innym, słowem, przystępował do rzeczy niechętnie, jak gdyby czuł do tego przedmiotu osobliwszą odrazę. Nareszcie, zaczął mówić cienkim głosem naśladując po polsku paryzki akcent, co formowało dość zabawną kakofonja: Pan Hilary ma 26 lat, biała twarzyczkę, która myje codziennie wiozorskim mydłem, rączki pulchne, delikatne od próżnowania i kosmetyków, długie starannie utrzymane paznogie, misterne faworyty i wysoka czupryna. Przymróża zwyczajnie jedno oko, marszczy czoło i wysuwa dolną wargę naprzód. Posiada 40 par kamzelek, 60 lalstuchów, 50 lasek, 100 fajek, kapelusze waterproof i inne bagatele. Czyta czasem nowe powieści, niekiedy rzuca okiem na gazetę, jeździ codziennie konno, gra w wielką grę, nienosi innych pieniędzy oprócz bankowych biletów, przyjeżdża do teatru przed końcem sztuki i lubi kawalerską biesiadę w hotelu. Kocha się codziennie w innej kobiecie, prędzej w meżatkach jak we wdowach, a w tych chętniej jak w pannach. Rozprawia o po-

litycznej ekonomij., o cudzoziemczyźnie, niewierzy w stałą miłość i śmieje się z małżeństwa. Niedawno założył się z kolegą, że w miesiąc zawróci ci głowę, i spekuluje teraz nad tém, jakby dopiąć swego celu.

— Nieznośny fanfaron!

— Porzucam go, i zwracam twoją uwagę na tego urzędnika co tak poważnie gra sobie tam w wiska. Jest to człowiek dość młody, dość oświecony, dość bogaty, dość ambitny, dość czuły — bardzo porządny, bardzo wyrachowany i nadzwyczajnie ostrożny. On zawsze wie dokładnie jakie posiada środki, i z nich wnioskuje o swych siłach; do sił stosuje życzenia, do życzeń zamiary, do zamiarów postępowanie. Trzymając się nieodstępnie tego prawidła, pojmując zawsze jak najlepiej swoje położenie w towarzystwie, co jest rzecz bardzo rzadka. Ten pan nie lubi silnych wrażeń, unika ostateczności, idzie po wypatrzonej drodze i rachuje kroki, ażeby w razie potrzeby mógł wrócić na ostatnie stanowisko i wybrać sobie inny trakt. Niema długów i nikomu niepożycza pieniędzy, dla wszystkich uprzejmy, ale nikogo nieuawia przyjacielem. Od trzech lat już wybiera sobie żonę, a jeszcze przed żadną kobietą nie wspominał o miłości. . . .

—Stój! zawołałam — to są fantazje — to wymysł — to urojony charakter!

—Rzadki w świecie — odpowiedział Szatanek, ale wzięty z natury.

—Przynajmniej to nie polski charakter — może holenderski? — może niemiecki?

—Tylko nie staro-polski —

—Dalej — Signor Demonio!

—Niewiele mi zostaje. Ten pan wykalkulował sobie że mu wypada starać się o twa rękę, i począł ostrożnie przystępować do tej sprawy, lecz po jakim czasie spostrzegł, że jego naczelnik pan I*** idzie z cicha, z tyłu za nim po tej samej drodze, i ustąpił mu się natychmiast, dla tego, że podług jego zdania dobra żonę można znaleźć zawsze, a przychylnego naczelnika rzadko, Pan I*** jest teraz otwarcie jego protektorem.

—Mój Boże! oba oni starali się o moja rękę jak kupcy o towar na publicznym targu — jeden negocjant bierze drugiego na stronę, i prosi go żeby mu nieprzeszkadzał targować się! . . .

—Nieinaczej, bo ani jeden ani drugi niemyślał się kochać, a chciał tylko nabyć: urzędnik dla tego że twój wiek, oświecenie, charakter i majątek odpowiadały jego rachubom; naczelnik dla tego że mając pięcioro dzieci po pierwszej żonie, ży-

czy sobie mieć dość oświeconą żonę, żeby mogła kierować ich wychowaniem.

—Dla czegoż niewieźmie guwernantki? — spytałam.

—Dla tego, że żona może być i ochmistrzynią dzieci, i gospodynią domu i pięknym meblem w salonie, i powierniczką jego samolubstwa i cierpliwa ofiara jego kaprysów. Zresztą, zamiast płacić guwernantce lepiej ożeniwszy się udwoić swój majątek.

—I dla takich niedznych — blahich powodów pan I*** chce się żenić? — zawołałam zdziwiona.

—Cóż tu osobliwszego? — rzekł obojętnie sarkastyk — ludzie żenia się jeszcze dziwaczniej. Jeden jegomość zbierał się kilka lat jechać za interesami do Petersburga, lecz będąc skąpym i podejrzliwym, niemógł znaleźć nikogo komu by poruczyć w tym czasie dozór za całą swoją ruchomością. Nareszcie wpadł na szczęśliwą myśl, że najpewniejszy dozorca jest własna i *rodzona* żona. Ożenił się więc ze starą panną, która słynęła z oszczędności i dobrego gospodarstwa; dał jej instrukcja i jeden exemplarz inwentarza, a z drugim exemplarzem w kilka godzin po szluby wyjechał do Petersburga. Inny, miał majątek w środku którego leżała szczupła posiadłość jednej sieroty. Nie-

chcąc mieć w swych dobrach taką niepodległą wyspę, starał się ją nabyć kupnem, i dawał nawet więcej jak była warta, lecz opiekunowie niesprzedali. Niedopiawszy zamiaru, zawiązał process z sierotą, prawował się 10 lat i przegrał sprawę. Nareszcie w podeszłym wieku, przemienił jeszcze raz plan, udał baranka, podczesał czuprynę do góry, puścił się w zaloty do biednej dziewczyny, która ledwie skończyła wychowanie, ożenił się z nią, i zniszczył niepodległość owej wyspy, która mu niedawała pokoju. Inny ożenił się w 50tym roku dla tego, żeby mieć osobę co by go pielegnowała w podgrze...

- Dość tych ustępów — dalej szatanuku! dalej, spiesz się. . . .

—Niema się czego śpieszyć, nikt więcej nie myśli o tobie.

—Nikt więcej! zawołałam z goryczą — wiec między nimi niemasz ani jednego. . . .

—Zarozumiała kobieto! przerwał szatanek — któż ci to powiedział? jest może wielu takich, których serce czule i szlachetne, głowy pełne rozsądku i oświecenia, charaktery otwarte — lagodne w pożyciu, pobłażające słabościom twej płci i umiające cenić jej cnoty. . . jest ich może wielu, tylko inemysłą o tobie!

DALSZY CIĄG HISTORJI.

*On ne se souvient pas, perdu dans le naufrage
De quel astre inclément s'est échappé l'orage.
Qu'importe? Le malheur s'est étendu partout
Le passé n'est qu'une ombre, et l'attente un dégoût.*

MC DESBORDES-VALMORE.

Ostatnie słowa szatanka, pozbawiły mnie prawie przytomności, czułam jak krew gwałtownie rzuciła się do mózgu, przed oczyma zrobiło mi się ciemno, w uszach zaczęło szumieć i dzwonić, naprzód z lekka iak dwa srebrne dzwoneczki, potem coraz mocniej, coraz straszniej, jak gdyby wszystkie dzwony z całej Warszawy zbiegły się do mnie i rozkolysały się na gwałt. Ledwie nieomdlałam od tej muzyki; nateżyłam wzrok przed sobą, chcąc dostrzedz tańczących i przekonać się że siedzę w salonie, a nie na belkach jakiej dzwonnicy, lecz z początku nic niewidziałam, a potem zaczęły się pokazywać jakieś gwiazdki, przy których światło zdało mi się widzieć że po sali tańcza dziwaczne jakieś istoty w kurtkach i sukienkach różnego koloru, trzymają się za łapki najpocieszniejszym sposobem, robia zabawne grymasy, i wszystko to bez muzyki,

bo ten okropny grzmot dzwonów formował jeden nierozdzielny ton bez żadnego taktu!

Przyszedszy do siebie, lekalam się czy kto nie spostrzegł mej chwilowej słabości — ale nie, wszyscy tam byli zbyt mocno zajęci Zabawa rozkoleśala się jak morze w pogodny dzień u rozkosznych brzegów Grecji. Dźwięk muzyki, światło lamp, blask ubiorów, zapach kosmetyków, szmer słów, westchnień, śmiechów jednocezyły się na utworzenie tej balowej atmosfery, której tak pragnę kobiece serca! Zgubna rozkosz! znalazłam jedno młode serce, które weszło na bal dziecięciem, wzrosło tam, rozwinęło się, odetchnęło kilka razy szczęściem i potem nagle zamrożone zamknęło się na zawsze dla świata, wprzód nim goście zaczęli się rozjeżdżać.

Nudzila mnie ta pustota — zawołałam znów na nie odstepnego towarzysza, o! jeśli masz litość powiedz mi co pocieszającego. — Szatanek rzekł ironicznie: «wszystkie twoje cierpienie pochodzi z tad że walczysz ze mna, i wrywasz się z pod mojej władzy, jak dziecko które płacze na okrucieństwo piastunki—Wszak bezemnie może być wpadła z deszczu pod rynnę — słuchaj oto powiem ci bajkę:

«Pewien człowiek wyszedł z miasta na spotkanie przyjaciela, a że noc była ciemna wziął z sobą lampę. Ale zaledwie wyszedłszy na gościniec

zaczął się gniewać sam na siebie i rzekł — nieznosna rzecz wędrować z lampą! trzeba iść ostrożnie wolnym krokiem, i często oglądać na nią żeby się niewylał olej, lub żeby niezgasała od wiatru. Takim sposobem nie prędko spotkam swego przyjaciela. Mówiąc to chciał rzucić lampę i biedz w ciemności, ale mu przyszło na myśl, że bez światła może przejść mimo przyjaciela i niepoznać go, albo wziąć wroga za reke... szedł więc dalej z lampą i narzekał na mitregę. A drugi człowiek wyszedł także z lampą, ale że mu przeszkadzała biedz prędko rzucił ją mówiąc sobie: «wielu tu ludzi idzie po tej drodze, lecz jeśli zapytam każdego o imię znajde przyjaciela i bez lampy. A żeby mnie nikt nieoszukał bede każdego jeszcze brać za reke i nieomyśle sie, bo nikt niema rak tak delikatnych jak mój przyjaciel. I uczynił tak jak mówił, lecz stało się inaczej jak myślał, bo napadł na człowieka który sie nazwał imieniem przyjaciela i reke miał delikatne, a wcale nie był ten którego szukał. Na domiar nieszczęścia reke ich się zrosły i niemogli się rozlaczyć.

— Roznmiem cie, signor demonio! rzekłem z westchnieniem, — dla tego też ja trzymam dotąd tę lampę, chociaż mi reke drżą od chłodu grudniowej nocy!

—Twoja deklamacja, rzekł demon naprowadza mnie na myśl rozklassyfikować kobiety. Oto naprzykład w tym towarzystwie, jest może kilka kobiet, które zupełnie są zadowolnione swoim losem, i kilka takich które słusznie mogą skarżyć się na los, wszystkie zaś inne albo utyskują po cichu, że jeszcze niedoszły do ołtarza, albo żałują że się nie można wrócić.

—O najzimniejszy z filozofów! wiec i ty nawet znasz kobiety, które los niesłusznie skrzywdził. . . .

—Niewiele, ale znam. Są to kobiety, z sercem coby mogło mężczyźnie zbudować raj na ziemi, gdyby go tylko chciał pojąć. Kobiety które węzeł małżeństwa połączył z ludźmi co ich albo nigdy niekochali, albo kochają dziwacznie, albo po krótkim perjodzie miłości przestali kochać. Zresztą opowiem ci historja tych co trzymają los ich w swoim ręku, a pojdziesz mnie lepiej. — I zaczął, jak następuje:

* *

* *

Ten wysoki, pleczysty i otyły mężczyzna; w którego włosach przebija się siwizna — to pan Jan Dąb. Wychowany na wsi, odebrał edukacja od bakałarza i xiedza plebana; w młodym wieku zaczął

służyć w trybunale i droga praktyczną doszedł do znaczenia i majątku. Jan Dab zawsze był rubaszny w obejściu, uprzedzony, uparty, amator do dysputy i kieliszka, popędliwy i sknera; nie więc dziwnego że zaloty jego były bardzo źle przyjmowane od kobiet. Dożywszy bezżennym do 45 lat, zawiedziony we wszystkich spekulacjach na posag, protekcyje i związki, których pragnął więcej jak małżonki, Jan Dab postanowił nareszcie skończyć tę niedzotę i ożenić się bez rachuby, ale za to i bez kłopotów; to jest wziąć pierwszą lepszą pannę byle młoda i przystojna. U nas w Polsce tyle biednych dziewcząt, i tak mocno wkorzeniony przesąd że szlachciance wstyd, uczeiwie zarobić sobie na kawałek chleba, że każdy mężczyzna kiedy tylko zechce może sobie znaleźć żonę i chwalić się jeszcze swoją wspaniałomyślnością. Jan Dab miał wstret do biednych panien i mówił często: « te kopicuszkki dobre dopóty, dopóki ich niewyciągniesz z błota. » Ale niezważając na to ożenił się z Karoliną W*** sierotą, która ledwie że ukończyła wychowanie na pensji. Krewni wytłumaczyli biednej dziewczynie, że Jan Dab najgodniejszy człowiek i robi jej wielki honor; że straciwszy tę świetną partiją nieznajdzie nigdy podobnej i może umrzeć z głodu; że miłość tak dobrze wchodzi do serca przed

szlubem jak i po szlubie i t. d. Jan Dab w pierwszych czasach swego małżeństwa znacznie się przemienił; słodki i cichy charakter Karoliny zmiekczył jego surowe serce, widziano go nieraz uśmiechającym się do żony, łagodnym w obejściu, usługowym, nawet dość czułym; nówił wszystkim znajomym: «powiedzcie, ktoby to się spodziewał żebym tak mocno pokochał te szlachcianke» — i dobrzy ludzie, powtarzali oklepane przysłowie: — że miłość robi cuda. Ale niebyła to miłość, przeszła więc wkrótce i świat nie zobaczył cudu. Jan Dab powoli wrócił do swego charakteru, przypomina żonie codziennie że *maż daje chleb*, a zatem trzeba go szanować, obchodzi się z nią jak z klucznicą, i żeby niewidzieć swego nieoświecenia, natrzasa się nad jej wychowaniem. Skąpstwo doprowadza go do szalenstwa przy każdym wydatku; biedna Karolina w nieobecności jego, lub noca zajmuje się robotami, i własna praca zaspakaja większą część swoich potrzeb ¶ Jan Dab wie o tem od służących; nieceni bynajmniej tego poświęcenia, lecz obojętnie korzysta z niego, i najszcześniejszy wtedy, kiedy mu się uda pieniędzmi żony zaspokoić jaki wydatek. Harpagon Moljera mógłby brać od niego lekcje. Pewna raz Jan Dab pojechał z żoną na wieś do jej wuja; bawili kilka dni i już wybierali

się wracać, w tém Karolina zasłabła. Wuj widząc że pan Jan ani myśli posyłać po doktora, zrobił to od siebie i na swój koszt. Potrzeba było posłać po lekarstwo, i ten wydatek wuj zalatwił, bo czuły mąż jak tylko dowiedział się o przyjeździe eskulapa, położył się spać, żeby nikt niepostukał do jego kieszeni. Nareszcie doktor zażądał madery, w której cierpiaca miała przyjmować krople; pocziwy wuj już był zawołał na służącego, chcąc go posłać do miasta bo tego wina nie miał w domu. — W tém Jan Dąb skwapliwie zbliżył się do niego, wziął go za rękę i z jakimś szczególnym wyrazem na twarzy, spytał: «Posyłasz po maderę panie Wincenty?»

Rozumie się, posyłam — odpowiedziano mu.

Ach kiedyż tak daleko do miasta! — rzekł Jan Dąb, jakby mocno zafrasowany, a moja żona coś bardzo słaba; lękam się żeby ta mitrega nie miała złych skutków? przytém tu trzeba doskonałej madery, a słuzacemu mogą dać fałszowane wino, od którego moja biedna Karolina dostanie zapalenia kiszek! pomyśl tylko panie Wincenty czy można się spuścić na służącego?

— Cóż robić panie Janie, rzekł wuj — czy chcesz żebym ja sam jechał po wino?

- Bynajmniej! — bynajmniej! zawołał Jan Dab, ale czy nie możesz dostać gdzie bliżej?

- Byłoby to bardzo dobrze — rzekł wuj, lecz to rzecz niepodobna; gdzież tu znajdziesz maderę? — żeby węgryń, to co innego?

- Znaleść można, szepnął Jan Dab, tylko będzie cokolwiek drożej kosztować jak w mieście.

- Mniejsza oto panie Janie, podchwycił wuj z radością — mów prędzej, gdzie? bo dalibóg niepojmuję. . . .

- Ja mam w karcie butelkę doskonałej madery, rzekł Jan Dab w pół głosa — i jeśli chcesz, to ci ją odstąpię za tę samą cenę za którą kupiłem w sklepie. Wyborne wino! mój laskawco — ledwie zaczęta butelka.

Pan Wincenty, otworzył oczy i gębę z zadziwienia, kiwnął głową i kupił wino, bo mu żal było siostrzenicy. — Opowiedz ludziom to zdarzenie, nikt ci zapewne nieuwierzy, a jednak ono jest *prawdziwe*.

- Nieszczęśliwa kobieta! zawołałam — cóż ona?

- Cierpi, płacze i modli się — odpowiedział szatanek — *Ultima ratio mulierum!*

* * *

Pan Alfons przystojny, rozsądny, odebrał wyśmienitą edukacją i żyjąc od młodości w najlep-

szem towarzystwie, posiada wszystkie przymioty światowego człowieka. Charakter jego przedstawia mieszaninę wielu pierwiastków, z których najwięcej skryte: egoizm i brak odwagi, wywierają najsilniejszy wpływ na jego życie. Alfons tchórz! — lecz cała jego exystencja skierowana jest takim sposobem, ażeby nikt niedostrzegł w nim tej słabości. W naszym wieku, osobliwie w lepszym towarzystwie, nietrudno tego dopiąć, i w samej rzeczy, wszyscy — niewylaczając nawet żony — rachują go człowiekiem, który się gotów strzelać za najmniejsze ubliżenie. Alfons do 30go roku latał jak motyl od jednej kobiety do drugiej, był dość szczęśliwy w swoich miłostkach, i zauważał w tym czasie, że jedna z najnedźniejszych kategorii dla światowego człowieka jest narazić się na pośmiewisko towarzystwa — szczególnie zaś przez lekkomyślność żony! Uczul jakiś, nadzwyczajny wstręt od jelenich rogów; opanowało go dziwaczne przecucie, że takie rogi mogą się rozgalezić i na jego głowie, i zaczął się zastanawiać nad środkami uniknięcia podobnego losu. Inny sadziłby że dla tego dość ożenić się z kobietą, która by go kochała, ale Alfons niewierzył w stałą miłość i niewidział w niej dostatecznej rękojmi. Niechciał też szpiegować żonę, albo być zazdrośnym, bo przez

to można się narazić nietylko na pośmiewisko świata, ale nawet wplatać się w takie okoliczności w których mąż musi bronić reputacji swej żony, do czego Alfons nieczuł w sobie dość odwagi. Po długim namyśle, zatrzymał się na tem zdaniu, że *strach* jest najlepszym zakładem domowej spokojności, i stosując tę myśl do swego położenia w świecie, postanowił szukać kobiety *lekkiej* z natury, ażeby się bala męża; *oświeconej*, żeby pojmowała jego epigrammy; *czulej*, żeby ją mocno dotykały; *rozsadnej i cierplivej*, żeby się nikomu nieskarżyła. Oprócz tego sądził, że *delikatne zdrowie i słabość nerwów* znacznie mogą podwyższyć wyżej wymienione przymioty, do których gdyby się dołączyła, choć niewielka doza *przywiązania*; to ogrodziwszy się temi szancami ustrzeże się wszelkiego niebezpieczeństwa. Przypadek zdarzył, że znalazł osobę zupełnie odpowiadającą jego rachunkom; młoda panna, która oślepiona jego powierzchownością i świetnym, światowym ukształceniem umysłu pokochała się w nim namietnie. Wesele ich narobiło wiele szumu w całej Warszawie, młode kobiety zazdrościły szczęśliwej Zofji, matki życzyły sobie takich rzeziów, i uprzedzenie o szczęściu tej pary utrzymuje się dotąd w towarzystwie; tak dobrze Alfons gra rolę przykładowego małżonka! tak mo-

cno Zofja go się lęka! — Biedna kobieta! w salonie ona wesola śmieje się, chwali męża, bywa nadzwyczajnie uprzejma dla podeszłych lub skrzywdzonych od natury mężczyzn, a przeciwnie sucha i obojętna dla młodzieży — słowem gra rolę, która jej przepisano. Alfons przy obcych jest najuuiższym sługą swej małżonki, a w domowym pożyciu układny, etykietalny i światowy, żadne nieprzyzwoite słowo niewyjdzie z jego ust, ale jeśli Zofja zrobi najmniejszą omyłkę w roli na nią nałożonej, karci ją natychmiast francuzkami przycinkami w których oziebłość, gniew i wzgarda wyglądają z pod powłoki dowcipu i kwiatków salonnego języka. Niemaż nic okropniejszego nad układne manjery wysuszonych w świetle egoistów, którzy z uśmiechem na ustach, pięknym stylem i pieczonym głosem umieją żonę zmieszać z bloatem! Jest to najokropniejsze cierpienie, podobne do tego jak gdyby komu nieustannie kolotano młotkiem po głowie, albo w bijano mu w ciało jedna szpilkę po drugiej.

Biedna Zofja! rzekłem z westchnieniem

Biedniejsza od Karoliny, dodał szatanek, bo tę Jan Dab przynajmniej niezmusza grać rolę szczęśliwej małżonki.

Powiadają, że kiedyś n jednego człowieka, głowa zeskokczyła z karku, ukloniła się jak mogła i rzekła. *Badź wać panu zdrów, ja idę na wojaz!*! od drugiego dezserterowały nogi, od trzeciego umknął brzuch i t. d. Przypadkiem cały komplet takich fragmentów zszedł się w Warszawie na Koziej ulicy, jeden przyczepił się do drugiego, połączyli się, pozraztali się i utworzyli zacnego Rocha Pilkę, który wybiegłszy z uliczki, okazał zaprezentował się narodowi na Krakowskim Przedmieściu. W jego powierzchowności niemasz żadnej symetrii; ogromna głowa i długie ręce na krótkiej szyi i cienkich nóżkach, kolosalny nos i długie uszy w sąsiedztwie małych oczu i niskiego czoła — cóż dziwnego; wszak to wszystko zbieranina od Sasa i od lasa! Spojrzawszy w lustro, rozgniewał się Roch Pilka na naturę, i postanowił innemi przymiotami wynagrodzić sobie to, czego mu odmówiła. Na jego szczęście jakiś francuz dawał wtedy w Warszawie lekcje salonowej manjery, i Roch Pilka w krótkim czasie wydoskonalił się w tej sztuce. Wszyscy się dziwili jego układności, grzeczności, słodyczy i uprzejmości w obęjściu; wszyscy go lubili, i tytułowali *dobrym człowiekiem*, a szczególnie pleć piękna u której zarobił na wielką łaskę. Ale też niemało go to kosztowało! Figaro był

mniej zwinny jak Roch Pilka: — on biegł, kręcił się, podawał, przyjmował, podnosił, stawiał, brał na się obowiązki, lokaja, kurjera, faktora, wypełniał wszystkie poruczenia, domyślał się nawet dość trafnie i przeplatał wszystkie swoje usługi niewyczerpanem zapasem komplementów. Protegowany od kobiet, Roch Pilka zyskał urząd i znaczenie w społeczności, zakochał się w Teofili L***, i różnemi podstępami dopiął nareszcie tego, że mu oddała rękę. Teraz Roch Pilka kocha swoją żonę nadzwyczajnie, siedzi przy niej po kilka godzin z rzędu, patrzy jej w oczy i milczy, bo Teofilę oddawna już znudzily jego dusery. W towarzystwie wychwala z zapalem jej cnoty, talenta i piękność; ubolewa nad słabem zdrowiem i opisuje w najmniejszych szczegółach codzienne jej dolegliwości; pokazuje listy które kiedyś do niego pisała, pyta drugie kobiety w jej obecności wiele mają lat i cieszy się że jego żona młodsza lub młodszą się być wydaje. wylicza jej klejnoty, garderobe i bieliznę, tańczy z nią od początku balu do końca; krzyczy z końca sali żeby nie brała lodów, biegnie do niej, odpedza lokaja z tacą i robi jej głośno najczulsze wyrzuty przypominając słowa doktora, od których biedna Teofila gotowa by zakopać się w ziemię z wstydu . . .

—Jednakże ona jest pewna że ja małżochka! — rzekłam z westchnieniem — chociaż prawda że ja kocha po *swojemu*.

—Niemoże o tém wąpić — złośliwie odpowiedział szatanek, ho zbytek tej miłości do tego stopnia już ja znudził, że nieboraczka wpadła w suchoty.

* * *

Ale oto jest człowiek, mówił dalej mój demon — co posiada wszystko czego tylko może laskać serce kobiety, niema w swej duszy ani źdźbła fałszu, brzydzi się rachuba, patrzy na miłość jak na doczesne niebo, i umie niewypowiedzianą roskosz napelnić każde lono, które sie z nim z pokrewnia, a jednak czy uwierzysz? ten milionowy bogacz we wzgledzie uczuć, jest złym mężem, i żonie swojej za nieograniczona miłość, ledwie kiedy niekiedy cisnie grosz miedziany jak jałmużnę! — Widzisz tego mezczyzne ze smetnym okiem, z bładą twarzą i wysokiem czołem, które myśl zorała przedwczśnie? — oto małż Pauliny, poeta nasz Adolf G***.

—Signor demonio! zawołałam oburzona — to kłamstwo, obmowa, podły paskwil — to być niemoże! — żona poety, nieszczęśliwa! — to prosto niedorzeczność.

— Tak, rzekł szatanek obojętnie — istotnie jest to niedorzeczność w zdaniu młodych kobiet. Póki świat stoi żadna jeszcze niewierzyła, żeby to mogło być prawda, dla tego że kobieta, kiedy się budzi w jej sercu pierwszy sen o miłości jest także poeta! Ona sznka wieszca jak dawno znajomego przyjaciela, ażeby pomieniać się z nim dumami o szczęściu, poi się jego słowy, jak mucha słodka trucizna, rzUCA się w ognistą atmosferę, która go otacza i ginie w niej jak wieczorne owady w płomieniu świecy. Rozwaga dla niej niedostępna, przykłady drugich zdają się jej wyłącznemi wypadkami, jego tylko widzi, dla niego tylko żyje, szczęśliwa kochanka, niemyśli o tém, że może być godną litości żoną; i kiedy nareszcie spotka ją ten los, staje biedna na drodze życia, i płacze jak Ewa pod bramą nieba!

— Więc i Paulina nieszczęśliwa? . . .

— Co chcesz; niemogło być inaczej! Adolf widział w niej kiedyś nie kobietę, lecz jedną z czarownych istot swego poetycznego świata, sadził że znalazł nareszcie ideal którego szukał z tęsknotą, którego oczekiwał z pewnością i na którego przyjęcie skupiła się taka masa namiętnych ucznów w jego łonie! przez całą epokę ich miłostek nie go niemogło wyprowadzić z omamienia, bo je-

go kochanka z ostatecznym naprężeniem sił młodego serca towarzyszyła mu wiernie we wszystkich wzlotach jego gienjuszn, póki nareszcie zmęczona, przesycona roskoszą nie stanęła przy ołtarzu, spodziewając się znaleźć odpoczynek w domowym małżeńskim życiu. Ale omyliła się; poeta zwyczajnym trybem chciał bujać między niebem i ziemią, a dla niej było to już trudno; zdobyła się jeszcze na kilka słabych wzlotów i upadła bez mocy na ziemię. Została jej tylko *dobra wola*, lecz tego mało dla poety, i skończyło się jej szczęście. Adolf spostrzegł z bolesnym zadziwieniem, że towarzysza jego jest nie więcej jak kobieta; *człowiek-serce* z westchnieniem wrócił do świata marzeń, on zawsze młody, miły, buja po całej Warszawie, i szuka swego ideału; *człowiek-futerat* został przy niej, starzeje się, zrzedzi, niezajmuje się niczem, marnotrawi majątek i mówi o swojej żonie: *«niczego sobie kobieta!»* Ile jest miły i uprzejmy w obcym z innymi kobietami, tyle suchy i porywczy z żoną. Niedawno siedział sobie w gabinecie i ołówkiem rysował dziwolągi na kopercie od listu; Paulina z cicha otworzyła drzwi, weszła na palcach i zapytała czy mocno zajęty? — «Cóż tam takiego moja jmość?» zawołał niecierpliwie. — Chłopi przyjechali ze zbożem, ekonom pyta się po ja-

kiej cenie go sprzedać? — «Bodaj przepadł! fuknął Adolf; to zboże, to kartosle — to konie — to stroje! zawsze się znajdzie jakaś ważna sprawa, która mi gwałtem wpychacie do głowy; róbcie sobie jak chcecie, i co chcecie kupujcie i sprzedawajcie, tylko dajcie mi pokój!...» Biedna Paulina odeszła z westchnieniem i ze łza w oku; nierząd ciągle powiększa się w domu, długi rosna, i ludzie ci chociaż bogaci, często grosza niemają w kieszeni. Matka płacze nad dziećmi więcej jeszcze jak żona nad sobą. Słowem Paulina mieszka z trupem, w którym niezostało żadnych śladów dawnego życia... ona wdowa!

CZWARTA KONSULTACYA.

FILOZOFJA.

*Andern Leuten widersprechen wir
nicht halb so oft als uns selber...*

SIEBENKAS.

*Das Kommt mir albern und abge-
schmackt vor, was damals so reich, so
gross die Brust mir schwellte.*

PETER SCHLEMIHL.

— Signor demonio! rzekłam, ja tych rzeczy zupełnie nie rozumiem, ale ty co jesteś tak biegły

na experimenta, powiedz mi czy niemożna by zajrzeć w serce która się do nas zbliża, obejrzyć go dobrze, zmierzyć, lub zważyć, wiele w nim znajduje się uczucia, i wyrachować na jak długi czas ono mu wystarczy na wydatki dla żony?

—Niepowiem żeby to było niepodobne, odpowiedział ironicznie szatanek,—prawda że ślepemu trudno mierzyć, głuchemu trudno podsłuchać pulsacje, pijanemu trudno je rachować, jednakże *wola* może przewyciężyć wszystkie przeszkody, ale pytam się jaki z tad użytek? takim sposobem poznałabyś tylko obecny stan serca, z którego niewiecej można sadzić o przyszłym jego trybie, jak z obecnego zdrowia o liczbie lat zostających człowiekowi do przeżycia. Jeden i drugi rachunek może się ziścić, ale może też i omylić; jedno i drugie odkrycie zgubne dla człowieka; bo wiedzieć godzinę swej śmierci, znaczy to samo co struć sobie ostatek życia—wiedzieć, ile jest uczucia, tam, gdziebyśmy żądali niezmierzonej ilości, ruguje szczęście z naszego łona. — Nie bez celu mgła tajemnicy otacza życie i miłość, dzięki tej mgle suchotnik w wigilją swej śmierci układa sobie jeszcze czarowne plany na przyszłość, a serce zdradzone, błogosławi zdrajcę!

—Maladetto! daj mi pokój z twoja filozofja! —czu-

je jakaś niezwykłą odrazę od wszystkich twoich rozumowań, jakkolwiek je podśladzasz udaną litością; — jak tylko zaczniesz spekulować, robi mi tak zimno jak gdybyś włożył na mnie koszule z lodu.

— A więc posłuchaj znów historii, rzekł obojętnie szatanek i zaczął opowiadać co następuje:

«Telimena, która znasz dobrze, wyszła z woli starej ciotki za małżonka człowieka do którego nieczuła najmniejszego przywiązania. Domowe życie ich było bardzo niezgodne; jegomość był dziwak i straszny egoista, jejmość młoda i sentymentalna; prosta rzecz że takiej parze trudno płynąć nierobiąc wiele plusku. Wszystko to jednak wkrótce ucichło, bo jegomość niespodziewanie utonął na Powązkach. Wystawiono mu wspaniałe grobowiec i co daleko dziwniej, zaczęto go więcej kochać jak wtedy kiedy był żywy. Ukończywszy żałobę, Telimena powoli weszła znów w świat, ale otoczyła się taką gęstwiną cyprysów, że młodzież żadnym sposobem niemogła się do niej zbliżyć. Z liczby jej wielbicieli, młody Leon F*** aczkolwiek mniej od drugich dystygowany najgwałtowniejsza pałał dla niej miłością, i niemogąc dłużej przenieść tych cierpień, postanowił nakoniec rozstrzygnąć zagadkę swego losu. Pojechał więc pewnego dnia do Te-

limeny i wybąkał coś, co miało minę formalnego oświadczenia, — ale widać że dzień był feralny, bo Telimena z całą biegłością światowej kobiety wysmiała, wyszydziła jego szal, obeszła się z nim jak królowa, sucho i obojętnie jak z zakochanym studentem; słowem jawnie chciała go od siebie odstreczyć. Inny może by machnął ręką i wychodząc nasadził waterproof aż na nos, ale Leonowi nie stało na to odwagi; przeciwnie, nieborak żegnając ją z rozpaczą, spytał jeszcze u drzwi, czém może zagładzić postępek, który jej się tyle niepodobał. — «Tym odpowiedziała Telimena, jeśli pan przynajmniej pół roku będziesz unikać wszelkiego spotkania ze mną.» — A po tym czasie? — «Chętnie go zobaczę,» rzekła Telimena i odwróciła się z pośpiechem w drugą stronę. Leon pobiegł szczęśliwy, jak gdyby mu kto wsunął do kieszeni słonec i wszystkie jego pacholeta.

Telimeua odwróciła się w drugą stronę nie bez przyczyny, bo na widok rozpaczony Leona, poczuła nagle jak lzy cwałem biegły z jej serca do oczu, śpieszyły tuż tuż za myślą, i za jakie pół sekundy zawisły by już na powiekach. Telimena kochała Leona, kochała go skrycie, namietnie, bez granic; widziała w tej miłości nadzieję jedynego szczęścia w życiu, i dla tego chciała jej doświad-

czyć. Są charaktery które znalazłszy na drodze szczęście, całują go z jednej strony, a z drugiej strony wydłubują jameczkę i wpuszczają robaka żeby go toczył. Jeśli im nie niczostaje oprócz zdrowia, to biorą patologija i dopóty ją czytają, dopóki nie odkryją w sobie tuzinek chorób. Do rzędu tych osób należała Telimena.

Po szczęściu miesiącach Leon stawiał się punktualnie; wychudły, z bladą twarzą która chwilowa radość pomalowała chorowitym rumieńcem. Telimena miała oddawna przeczucie tej wizyty, jednakże na widok żywego dowodu stałości swego kochanka, tyle rozkosznych uczuć wionęło w jej duszę, że ażeby skryć wzruszenie, biedna kobieta rzuciła się nagle do niepomiarkowanej ironji. Niewładnac sobą, niehamując humorystycznej szczebiotliwości, zarzuciła Leona sarkazmami o pasterskiej jego miłości utrzymywała żartobliwie, że on z niej szydzi, że nie masz nic zabawniejszego w naszym racjonalnym wieku jak wybiegły platoniczny szal; wreszcie że to wszystko komedja, w której ona nieżyczy sobie przyjmować roli i wybacza mu ją jedynie pod warunkiem, że znów przynajmniej trzy miesiące zostawi ją w pokoju. Leon przenosił wszystko cierpliwie i wyszedł uszczęśliwiony tym, że termin był krótszy jak pierwsza raz. Telimena,

padła bez sił na kanapę i płakała jak dziecko z radości i żalu nad cierpieniem tego, którego kochała bez miary. Nareszcie skończył się czas wygnania, Leon stawiał się punktualnie, i tą razą nie tylko go lepiej, ale nadto uienznaczono mu żadnych warunków na przyszłość. Widywał Telimene w towarzystwach i niekiedy w jej domu; ale ulubiona jego trzymała go przy obcych w takiej odległości od siebie, a w samotnej rozmowie, pokazywała tyle lekkomyślności, sceptycyzmu, kaprysów i uporu, że trzeba mu było mieć olbrzymią miłość w sercu, żeby to wszystko wytrzymać. Leon przeniósł te nowe egipskie plagi, i nareszcie Telimena lekając się skutków zbyt przedłużonej próby, porzuciła udany swój charakter i oddawszy rękę swemu oblionemu, zrobiła go najszcześliwszym z ludzi.

—Przecie choć raz dobrze się kończy twoja powieść Signor demouio! żal mi było Telimeny, tak mizernie trula sobie najslodsze chwile w życiu, ale za to też jak ona musi być teraz szczęśliwa!....

—Bez wątpienia! bez wątpienia! złośliwie odrzekł szatanek — nigdy jeszcze nieudalo się kobiecemu rozumowi tak dobrze zajrzeć w mgłę przyszłości. Telimena ma sobie męża który dogadza jej we wszystkim, spełnia i uprzedza jej życzenia,

nigdy się z uia nie sprzecza, zajmuje się gospodarstwem, zakupuje najlepsze trufile w całej Warszawie, wydaje sam rozkazy kucharzowi i przy obiedzie bywa w złotym humorze. A jeśli po dobrym bankiecie kawa i aromatyczny dymek cygara, doprowadza go do brylantowego humoru, to niemasz nad niego miłszego człowieka. Wtedy zwyczajnie najlepiej przypomina sobie dawne miłości z żoną, i tak dowcipnie umie parodjować różne z nich ustępy, że wszyscy pękają ze śmiechu. Wówczas szczególnie szumna ożywia jego rozmowa; kalembury, komiczne obrazy, koncepta, teatralne pozytury, różne grymasy, wszystko to znajdzie się u niego, gości trzymają się za boki, tylko Telimena się nie śmieje. Jeśli to zauważy Leon to biegnie do uiej i pogładziwszy ją po twarzy mówi: «Żonko! żonko! wszak te głupstwa już się dawno skończyły, dla czego nam się nie pośmiać nad szalem, który kiedyś powykręcał nam głowy na bakier?»

— Biedna Telimena! zawołałam, im więcej on wesoly, tém więcej jej serce boli.

— Zarozumiała kobieta! — fuknął szatanek; uroiła sobie najoklepańszym fortelem odchylić zasłone przyszłości. — Śmieszna kobieta! doświadczywszy że kochanek cierpliwy, wniosła ztad, że mąż be·

dzie czuły! prawdziwie kobiece rozumowanie, podług którego wypadalo by sądzić, że wielbłąd jest najczulsza istota w świecie.

— Widać że Leon niekochał jej i w czasie próby?

— Nierozstrzygam tego — ale czegoż tak ubolewasz nad Telimena? tysiące kobiet na jej miejscu byłyby zupełnie zadowolnione swoim losem, i niepojmują nawet czego by można więcej żądać od takiego męża jak Leon.

— Bo niepojmują miłości.

— A kto z nas potrafi powiedzieć co to jest miłość? tetragramm kabalistów łatwiej się da wytłumaczyć. Każdy człowiek ma o niej inne pojęcie, każdy kocha po swojemu, każdemu się zdaje, że on tylko jeden umie kochać, a cudze miłości uważa za śmieszne i płaskie, jeśli jeszcze nie gorzej. Z wiekiem i okolicznościami każdy zmienia swoje pojęcia — słowem, miłość jest tajemnicze cacko zmiennej postaci, za którym każdy się upęda, chwytą go z zapalem, bawi się czas jakiś, a potem zaczyna go rozpatrywać, naciagać, naginać, przerabiać, poprawiać... jedni nie niemoga przemienić i narzekają, drudzy wzięwszy się nieostrożnie lub zbyt porywczo za robotę, łamią cacko i rzucają go obojętnie w błoto, inni nareszcie npor-

czywie majstruja cale życie, nadajac cacku coraz inne figury, i niewiedza sami co z niego zrobic.

PIATA KONSULTACYA.

PERSPEKTYWA NA PRZYSZŁOŚĆ.

Das Weib ist meist nur selig oder verdammt.

JEAN PAUL.

Je retombais de ces vains rêves, dans le désespoir de posséder jamais ce que j'avais rêvé.

CAMOËNS-CANÇAO X.

— Młodość, piękność i nadzieja miłości, bystro płatają od ciebie — mówił mi nieodstępny mój towarzysz; zamknij serce, nikt jnż do niego niepostuka!

— Co? zawołałam w rozpacz — zamknąć serce! dziś kiedy wiek i egoizm, jeszcze go nieskureczyły! przytłumić święty płomień w łonie i ziebnać resztę dni w pustyni świata! zejść z kolei przez naturę na-

kreślonej dla naszej płci i zostać samotna w pośrodku żon i matek; — nie ma! adetto! nigdy. Lata mogą oszpecić powierzchowność, lecz najlepsze cześć mojej istoty, — serce i umysł, zostaną mi na zawsze.

— Głośny puff! rzekł z zimną ironiją szatanek; nic więcej jak teorja! Niebode ci opisywał losu starych lub szpetnych panien, ale opowiem ci historyczną *antitezę* z której możesz sobie wydystylować dosyć prawdy dla swego własnego użytku.

* * *

«Był kiedyś człowiek z sercem pełnym szlachetnych uczuć, z duszą wielką i umysłem niepospolicie oświeconym; posiadał wszystkie *moralne* przymioty jakich tylko może żądać filozof od człowieka, społeczność od obywatela, i kobieta od kochanka, ale nieborak spadł w młodości ze wschodów i wyrosły mu dwa garby, jeden z tyłu a drugi z przodu. Ta nieforemność powierzchowności miała największy wpływ na całe jego życie. W szkołach urągali się żaki nad jego ułomnością, w towarzystwie był przedmiotem suchej litości, równającej się wzgardzie, na ulicach pokazywano na niego palcem, w służbie naczelnicy robili z jego garbów naj-

dziwaczniejsze wnioski, i odmawiali mu nagrody za-
służonej zdolnościami i pracą. Wszyscy nazywali
go skąpym, lichwiarzem, złośliwym, dla tego że
jakieś płaskie przysłowie, przypisuje ulomnym lu-
dziom te wady. Całe życie jego było nieprzerwa-
nym wątkiem upokorzeń, zgryzot i cierpień. Ko-
biety unikały go jak trędowatego; jeśli której po-
wiedział grzeczność, jeśli tylko nsiadł przy niej,
plonęła ze wstydu; odpowiadała lakonicznie, gnie-
wnie, i oziębłością dawała mu poznać, że jego at-
tencje mogą ją wystawić na śmiech towarzystwa!
Nieszczęśliwy w rozpaczę udał się do starej pan-
ny, jeszcze więcej garbatej jak on, lecz i ta od-
prawiała z przykąsem. Przeżył cały wiek swój sa-
motnie, a niecierpliwi na spadek krewni, mówili
otwarcie że taki biedny kaleka, powinien prosić Bo-
ga żeby go prędzej wziął ze świata.»

O wierz mi, powierzchowność, ten stempel zbyt
często fałszywej monety, daje jej jednak zwyczaj-
nie wartość w towarzystwie, osobliwie zaś kobie-
cie. Stary, nieblyszczący stempel przemienia monetę
w antyk, ludzie zapominają jaką dawniej miała ce-
nę, niedowiadują się wiele warta, i kiedy ją zoba-
czą, powiadają obojętnie, że ta moneta niema już
kursu.

—Niewierzę, zawolałam — twoja historia o gar-

batym jest paszkwil ua towarzystwo. Z reszta jeśli z wiekiem będę przymuszona wyrzec się miłości, to przy tém wychowaniu które mi dano, przy zdolnościach jakie odebrałam od natury, zostanie mi jeszcze literatura i sława ;niebieskie siostrzyce! które płomieniem zapału ogrzeją mi osierociałe lono !....

- Literatura i sława! — z przyciskiem podchwycił szatanek — Literatura i sława nieukolysały zbolełego serca Tassa, ani Bajrona, pierwszych pisarzy swojego wieku, a ty nędzne niemowlę pełznac po tej drodze, spodziewasz się dogonić marę, za która oni upędzali się na próżno! tylko na szczycie Parnassu widać róże i laury, a boki świętej góry okryły ciernie, przez które przedzierając się, nakouiec stracisz ostatnie siły, i zraniona, — samotna padniesz w rozpacz na zimną skalę. Nie dla naszej plci ten zawód, chociaż tyle niewiast dziś go wybiera, i miał słusność ten, kto powiedział: «że najpiękniejsze dzieło kobiety jest syu wykarminiony jej piersia na usługi kraju.» W naszym czasie pisma kobiet sprawują na publiczność wrażenie tegoż samego rodzaju, jak sztuki kuglarzy; z początku wszyscy im się dziwią i klaszczą w dłonie, potem szukają w nich podstępu i szarlataństwa. Pierwsze twoje piśmko pochwała może więcej jak

tego będzie warte, następie zaś, choćby były więcej wypracowane, oburza tylko wszystkich przeciw zuchwalej białogłowy, która się puściła na autorstwo. Jedni krzykna że to kompilacja i kradzież że charaktery przesadzone, myśli słabe, styl niepoprawny, — słowem że to kobieca gadanina; drudzy więcej sprawiedliwi dla dzieła jak dla autorki, powiedza że w piśmie zawiele filozofij i zdrowych myśli na słaba kobieca głowę, i zadecydna że go napisał pod twoim imieniem mąż, brat, kuzyn, przyjaciel, albo w ogólności jakiś pseudonim z broda. Wszakże nawet nie wielka filozofkę, pania Deshoulières, posadzano kiedyś we Francji, że ukradła swoje *baranki* (*) u Pana Coutel, płaskiego rymokleta, którego imię z tego tylko powodu doszło do nas. Znajda się

(*) Jedna z najlepszych sielanek Pani Deshoulières, pod tytułem: «*les moutons*.» — W *Biographie universelle* w artykule «Deshoulières» Villenave mówi: «Il est peut de femmes qui aient échappé au soupçon d'avoir eù peu de part aux onvrages qui portent leur nom!» — Niezważając na to kobiety pisza — o zaślepienie! Sic vos non nobis....! szkoda że więcej nie pamiętam tej łaciny, ale znajdziecie resztę Wirgiliusza.

wreszcie i tacy, co spotkawszy w twoich pismach opisy wad i zdrożności ludzkich, wyrzekną niezna-
jąc cię wcale, że masz charakter złośliwy, satyry-
czny i pełen żółci. Mężczyzna może wydawać nie-
tylko satyry jak Krasicki, ale nawet epigrammy
z podpisem do kogo się stosują, i nikt go niepo-
tępi. Mężczyźni zawalają sięgarnie fraszkami i nikt
na to niezwraca uwagi; kobieta wyjęta z tej tole-
rancji — każde pismo przez nią wydane, staje się
powodem wniosków o jej sercu i umyśle.»

Lubię bywać w Bielanach i przesiaduję tam
niekiedy większą część dnia. Patrząc na Wisłę,
chodząc po lesie, zbieram dzikie kwiatki i słucham
szumu drzew który z dziecięcych lat miał dla mnie
zawsze niepojęty wdzięk. Serce moje bije swobo-
dnie, uklada się do harmonicznej nóty z głosem
natury, i wtedy — chciałabym na zawsze zostać
w tym stanie cichego, samotnego szczęścia!

A kiedy mnie Warszawa zbyt mocno znudzi,
albo oburzy, albo napelni boleścią, wyjeżdżam czę-
sto za rogatki do *miasta umarłych*: błądząc po Po-
wazkach, i dość mi że wieczór pogodny, oświeco-
ny sięgającym, że wietrzyk szeleści w topolach nad



Modląc się w powrót: koch.

rgrobami ; sece moje uspakaja się powoli — smętne , słodkie dumy o lepszym życiu rozwijają się w mej duszy jak nocne kwiatki na cmentarzu , lzy mimowolnie sączą mi się z oczu , klękam na pierwszej lepszej kobiecej mogile i modłę się za duszę nieznaną — modłę się , bo ślad kobiety na ziemi zacierają się prędzej jak droga łódki na wodzie , bo oprócz mnie może nikt już po niej niemówi paciorka !



WIDZENIE.

Kiedy słońce zapadnie za lasy, za góry,
A doliny i wzgórki srebrzy jasna rosa,
Wtenczas cichej modlitwy słyhać głos ponury,
I na wzgórkę pod jodłą klęczy złotowłosa.

I na piersiach z pokora ma ręce złożone,
I na twarzy jaśnieje niewinność wesola,
I niebieskie jej oczy ku niebu wzniesione,
I zdaje się że widzi pociechy anioła,

Jak w tęczowych promieniach, zlatuje w cień jodły,
Z skrzydeł jego wytryska ogień błyskawicy,
Zatrzymał się w powietrzu i słucha jej modły,
I długo pływał w górze nad głową dziewicy.

Powróciła do domu: — dusza jej zajęta,
I myśl ściga anioła w niebieskiem sklepieniu,
Sen skleił jej powieki, i weśnie pamięta,
Tam na wzgórkę pod jodłą cudowne widzenie.

Zawsze rajska pogoda na uśpionej twarzy,
 Zawsze uśmiech niewinny na jej ustach świeci,
 Cień chmurki prędko mija, i słodko znów marzy,
 Zda się dusza z aniołem w kraj wesela leci.

Szczyście znika jak lutni dźwięk w głuchej północy.
 Oto słońce na wzgórkach blask ciska do koła
 I już smutna dziewica otwiera swe oczy,
 Żegua czułem westchnieniem w powietrzu anioła.

Prędko ziemskiej goryczy wietrzyk ia owisnął,
 Już blask dzienny ja smuci, lza tleje w jej oku,
 I znikł świeży rumieniec co w licu jej płonął,
 I więcej niewidziała anioła w obloku.

Raz w północy gdy cała uśpiona natura,
 Tęskny księżyc bladawo przyświecał w cień jodły,
 Tam klęczała na wzgórku dziewica ponura,
 Sznmiac wichher jesienny unosił jej modły.

IZABELLA SWIATKOWSKA.

1842 r. 26 stycz.
 Petersburg.

RUINY.

*Poświęcam dla współ-obywateli Połoczanów. w do-
wód niewygasłej wdzięczności.*

«Stań się!» — w tém świata osnowa

Poczęła się w łonie słowa.

«Ożyj świecie!» — techną, i w mgnieniu

Ożył na słońca promieniu.

Dziwny skutek — lecz jeszcze dziwniejsza przyczyna,
Pasma! — któż ciebie pojać z śmiertelników może?
Słowo: «stań się» i jedno technienie napomina
Jakos ty niedościgły wiekuisty Boże!

«Ludy! — przemówił Bóg z nieba:

Dałem ziemie — ta karmić będzie was, mych dzieci;

**Dałem czas, który dobro i zło razem zgrzeba,
Dałem słońce, które świeci.**

**Geniuszu! — tyś promień słońcu odszezepiony,
Znijdź na dół — i mrok rozjaśń pomiędzy narody,
Wznoś kunsztu i nauki, wznoś ludy i trony;
Wywracaj jednych z posad — drugim buduj grody.**

**Lecz zglebiać moją istotność nie daję ci prawa,
Kto jestem — i co jestem — nikt wiedzieć nie może,
W granicach arki ziemskiej niech grzmi ludów
sława,
Mnie nie sięgna — bo w bramie mej pieczęć położę.**

**Bóg kazał — geniusz spełnia jego Boska wolę:
Świat widzi cud przemysłów — skreśla ludów czyny —
Ludów wojny pożogi — szczęście i niedolę —
Odwieczne fundamenta — społeczne ruiny.**

I.

**Gdy świat z natchnienia Twórcy wziął swój kształt
w początku
Wziął życie — a łaskawe nań opatrzone oczy
Wszystko w nim do pięknego przywiodły porz adku
Powietrze, ziemię, wodę, słońca blask uroczy.**

Tak przemówił do niego z górnego syonu:
 — Oddałem ci dziedzictwo z jego powabami;
 Rządźże niem—ale dobrze otocz się królami,
 Lecz ich trony mojego niedosięgną tronu.

Dalem również i prawo—pod tarczą którego
 Jeśli drogą sumienia będziesz chodził—świecie;
 Nie wąp w pięknej przyszłości zbawienia twojego,
 Przyjme cię na swe łono jako swoje dziecko.

A jeśli w sercach ludu ojcowska przestroga,
 Tak przyśnie, jak w opace żyźna kropla rosy,
 Pomnij—że jedno technienie przedwiecznego Boga
 Podkopie fundamenta—z nimi runa losy.*

Widać—że lud nie wnikał w te słowa z pochopem,
 Widać—że wsteczne były Boskim prawom czyny;
 Albowiem karzac jego przedwiecznym potopem.
 Zmieszał cały porządek zamienił—w ruiny!

II.

Tam kędy Bóg swą dłonią błogosławił ludy,
 Sypał z nieba na ziemię potęgi oświaty,
 Kędy tworzył liczniejsze jak gdzie indziej cudy,
 Kędy kraje w nadziei przyrodziewał szaty.

Tam przeszłość uleciała jak dym — jak marzenie
 Potęgę jej pożarły grobowe otchłanie,
 Rozjemcza paszcza czasu to wydarła technienie,
 Co już nie śni — po którym już i łza niekanie.

Z podań tylko wiadomo, że ze stropu chwały
 Spadły gwiazdy cnych losów w ocean ragnby,
 Zastonił dawna świetność tych ark tuman grnby;
 Mała liczba ułomków mgła Tybru kryształ.

W nich — jako we zwierciadle odstrzela się szczątek,
 Od świetnej niegdyś Rzymu dawnego posady;
 Którego o jak mało dziś mamy pamiętek.
 Historję całą w więgach, w obaliskach — ślady.

Grecijo! — i ty, z którą Rzym poszedł w zapasy,
 Cóż zagrzebla w twym łonie mężów swoich czyny,
 Zgasło dawno twe życie, znikły twoje czasy,
 Potomnym zostawiłaś w puściznie — ruiny!

III.

Kędy warowny łańcuch opasywał grody,
 Gdzie los wieńczył rycerza i kochanka skromie,
 Gdzie tchnął w sercach narodu ogień bratniej zgody,
 Gdzie pito nektar szczęścia na rodzinnym łonie.

Tam — otwarł straszna paszcze kaganiec natury,
 Na cichy ład piekielna żółć złości wykrztusił:
 Wstrzasł światem — wydał z głębi wulkaniczne góry
 Podgarnawszy pod siebie część ziemi zadusił.

Niema śladu gdzie zamki, piękne grody były
 W jednym mgnieniu tak wiele przemian, tyle cudów;
 Tam tylko na mogiłach — wznoszą się mogiły,
 W uich znajdują numizma i skelety ludów.

Pompejo Herkulanum! — świetne niegdyś miasta,
 Ubiegła wasza sława, ubiegły nadzieje,
 Uleciały igrzyska — biesiady turnieje,
 A dziś może te łoża dziki chwast zarasta.

Ówdzie dzieła rąk ludzkich przez bellony dary
 Nikły jak myśl przelotnie, — jak piekło straszliwie
 Gdy z łona swego siała zniszczenia, pożary,
 Gdy odwieczne świątynie karała złośliwie.

Ach! kto wnikał wte zgliszcza, gdzie jaśniały grody
 Dawnych ludów — z posępnym musiał być obliczem;
 Zapewnie w nich przeczytał — że światów narody
 Są niczem więcej, jak — niczem!

O czasie! w sobieś wszystkie zawarł dzieje
 Historję przeszłych wieków i synów ich czyny,
 Jakże czoło twe dzikie, bo się jeszcze śmieje,
 Widzając skutki dzieł swoich—okropne ruiny!

IV.

Tam kiedy król na tronie jaśniejąc w purpurze
 Roskazywał milionom—ów lud jego słucha
 Szczęśliwy gdy król szczęśliw, smuci się, gdy w chmu-
 rze,
 Zapiał wojnę—wnet w synach żądza wojny bucha.

Dał hasło—już szykują do boju rycerzy.
 Dał hasło—już się teatr rozpoczyna wojny.
 Jednego wroga złamał—a z drugim się mierzy;
 Niechybną śmiercią grozi rycerz w męstwo zbrojny.

Krew ostatnia wytoczył z żył nieprzyjaciela,
 Zwyciężył—niesie sztandar—a z nim razem sławę;
 Składa u nog królewskich swe trofea krwawe,
 Król za pierś nadstawiona wawrzyny rozdziela.

Król szczęśliwie panował—naród kochał króla,
 Z przymierzeńcem żył w zgodzie, wroga rąbał
 w ćwierci.

Zgaśł wreszcie — lecz nie zmieczya — ni go tknęła
kula

Porwał go pod swe czarne skrzydło anioł śmierci.

Stawia kolos! — a kunsztmistrz swe endowne dłoto,

Użył na wypisanie dwóch wierszy w prostocie:

«Ten pomnik w sercach ludu przez wdzięczność
wykuto

Potęźnemu monarsze — ojcowi i cuocic.»

O czasie! jak urągasz razem i pamięci!

Zmiotasz wszystko jak pyłek — nie czyniac różnicy;

Ledwie człowiek podróży swej kartę roskręci,

Dmuchniesz w niego — on znika, nie tknawszy gra-
nicy.

Tak i teraz — król dawno w cieśni grobu leży,

I kolos się rosproszył już w ułomków krocie,

I tylko nie zatartych słów się kilka jeży:

«Potęźnemu monarsze — ojcowi i cuocie.»

A kędy był krwią butnych mężów plac oblany;

Kędy toast po wojnie przelatał godowy;

Tam dzisiaj tylko stercza milczące kurhany:

Z nich się trupie niekiedy wytaczają głowy.

Obrazie! ty posepne nastreczasz widoki,
 Zagrzebasz w sobie mężów życie—sławę—czyny,
 Na twem polu grzmiał tryumf miecza pod obłoki,
 A dzis?—dzis same tylko widzimy ruiny.

V.

Kedy pycha jaśniała okolona gmaehem,
 Poteżna—sama siebie zgoła nie rozumie:
 Zda się wyższa od ludzi—dla ludzi postrachem,
 Dzieli czas z szczęśliwymi, z nieszczęsnym nie umie.

Skinęła—jej hołdują jak dla muslemina,
 Brzmi akord—huczą kotły—tysiąc życzeń leci,
 Nie jeden jak płaz jaki przed nią kark ugina,
 Gdy tym czasem tchną w nędzy złego losu dzieci.

Ona w tłumie biesiadnie hołdem zmordowana,
 Pijaną głowę tni do miękkiego łona,
 Jednak spać tak nie może w puchach i pijana,
 Jak w cierniach z czystym sercem niedola stroskana.

Sumienie! tyś prawdziwy talizman świętości,
 Nazwę ciebie czemś wyższem — nazwę raczej bóstwem,

**Tyś ubogie w poziomie—lecz świetne w przyszłości,
Tu rządzisz liczbą małą, cboć chcesz rządzić muó-
stwem.**

**Gardź pycha jak i dotąd—ta niesłucha ciebie,
Niechaj nektar żądź swoich aż do dna wypije.
Kilka kropel zostało—dopila— nie żyje—
Bańka skarbów wielkości, razem się z nią grzebie.**

**A gdzie się zamek wznosił—ta nikczemna bryła.
Gdzie dziedzica pochlebców wieńczyły wawrzyny;
Dziś gruzy, i zapadła tkwiac tylko mogiła!
Dowodza że czas wszystko przekształca w ruiny.**

VI.

**Czasie! jeszcze raz do cie obracam me pienia;
Skrzydło twoje tak chyże—a zab twój tak srogi!
Unosisz z sobą kształty—zasiewasz zniszczenia,
Kłóćisz szczęście i pokoj pomiędzy drużyuy,
Koronowane głowy podścielasz pod nogi,
Zamieniasz wszystko wuicość—sen—pył, dziką lawę.
Uragasz się narodom, zalewasz ich sławę
Zostawujac czezość tylko, pleśń—mech i ruiny.**

WINCENTY GOZDAWA REUTT.

SONET.

Przerdzawiałe me serce nieszczęścia nawiałem!
 Czoło moje piętnują najsroźsze cierpienia,
 Ach! nieszczęsna jest gwiazda mego przeznaczenia,
 Nawet promienia szczęścia jeszcze niewidziałem!

Od kolebki aż dotąd lzy goryczy pijac,
 Nie znana mi spokojność ni uśmiech radości,
 Nie znana mi wesolość ozdoba młodości,
 Nie znana mi jest miłość, ja żyję uie żyjac.

Mówiono mi że i ja w przód szczęśliwy byłem,
 Miałem braci i siostry, znajomych i krewnych,
 Spokojnie pod rodziną żyłem strzecha, dziecie.

Braci, krewnych, znajomych razem utracilem,
 A siostry i rodzice w smutku i łzach rzewnych,
 Przedwcześnie zakończyli w rozpaczcy swe życie.

BRONISŁAW OLSZEWSKI.

DO

STANISŁAWA JURJEWICZA.

Pamiętasz dom na górze—przed jego oknami,
W krąg stoja stare drzewa i szumia z wiatrami,
A pod góra—z Nieszczodry jeziora, szeregi
Fal spienionych, piaszczyste podmywaja brzegi.
Po jeziorze daleko my niegdyś pływali;
Dzień pociemniał, łódź nasza wśród szumiacej fali
Jak delfin śmiałą pierśią przerynała wody;
Wspominaliśmy marzac dawno przeszle wieki:
Jak Kolumb walczac z burza, Oceau daleki
Zwiedzil, i świata nowe objawil narody.

Pamiętasz — w dni pogodne — jak pięknym widokiem
Zachwycal nas Nieszczordy kryształ przezroczyty,
Jak cudnie sie malował tam przed naszym okiem,
Každy obraz—jak utwor wielkiego artysty;
Wstrzymuja rozlew wody, jak fortecy mury
Wysokie brzegi, piasek złoty sypiac z góry.

I jaskółki tam jakby ciesząc się swoboda,
Latają w różne strony nad spokojną woda.

Gdzie brzeg — jakby kobiercem — barwą traw po-
kryty,

I po lustrze jeziora dzienny promień lata,
Tam stróże granic ziemi—ogromne granity
Stoją—drzemiac nad woda od stworzenia świata.
Tu w górze ptak na żaglach skrzydeł cicho płynął,
Wstrzymał polot, w głąb spojrział, z pedem na dol
leci,

Perłami prysnął wody, i w głębi zaginał,
Wzlatuje—pod nim zdobycz srebrna łuska świeci.
Cudny widok wieczorem, kiedy na zachodzie
Słońce blaskiem rubinu zapala obłoki,
I jakby w lustrze widać błękit nieba w wodzie
I gęste krzaki wierzby i drzewa wysokie.

Pamiętasz—tam z jeziora wylew bystrej rzeki,
Która jakby posłaniec. biegąc w kraj daleki,
Raz błysnie srebrna woda, raz się zaćmi w trzcinię,
I jakby w cieniach nocy, w ciemnym borze ginie.
Ten bór, o ile razy—pod gęstym drzew cieniem
Zwiedzaliśmy zajęci rozmowa, marzeniem,
Tam dzień zawsze posepny, głuchy i ponury;
Tylko krzykiem pustyni mieszkanię skrzydlaty,

Lub z wiatrem, szumiąc sosna, milczenia narnszy,
 Lecz tam odkrył Bóg xięgę tajemnic natury,
 I ten dziki las więcej przemawia de duszy,
 Niż złotem ozdobione bogaczów komnaty,
 Tam, jak gdyby w świątyni człek skryty od świata,
 Zdumiewa się i myślą w kraj przeszłości lata.

Pamiętasz w tém ustroniu i my niegdyś xięga
 Lub rozmową przyjemną dzień cały zajęci,
 Omeżach, którzy niegdyś nauka, potęgą,
 Albo sławiac się cnota, zostali wpamięci, —
 Oni jakby olbrzymi przeszli życia droga,
 A ich przeszłość daleka świeci gwiazdy blaskiem.
 I ich śladów na ziemi niepamięci piaskiem,
 Groźne burze wieków zasypać nie mogą.

Pamiętasz Stanisławie—owe dni wiosenne,
 Dni szczęśliwej młodości, kiedy wszystkie dzienne
 Przechadzki niegdyś nasze, zabawy, marzenia,
 I wesołe rozmowy, podobne do brzmienia
 Były tej arfy, która do wesela wzywa,
 Gdy po jej stronach reka uderza szczęśliwa.

J. BARSZCZEWSKI.

1841. 23 czerwca.

Petersburg.

WIECZOR LETNI.

Gdy na zachodniem niebie słońce dogorywa,
A w zamian jego, wieżyc blad srebrny wschodzi,
Twarz moja się wyjaśnia, w mej się duszy rodzi
Uzucie niepojęte, roskosz osobliwa.

* * *

Zda mi się że ostatni pożegnalny promień,
Do duszy mej się wkradnie swoją złotą strzałą,
Przeniknie ją, i wzbudzi marzeń w niej nie mało,
Przyjemnych, smutnych, dawnych mej młodości
wspomnień.

* * *

O choćbym przez dzień cały był troskami dę-
czon,
W tej chwili o nic więcej w świecie już nie stoję,
Gdy serce me obsiada różnych wspomnień roje,
I o dzieciństwa latach razem mi zabręcza.

* * *

Nikt nie jest w stanie pojąć marzeń tych rosko-
sze,
W okolo wsze przedmioty pomalenku rzedną,
I nikną; widzę wtedy przeszłość tylko jedna,
Z pod nóg mych ziemia niknie, wprzeszłość ją prze-
noszę.

* * *

Znów widzę dóm rodzinny, ogrdek i kwiaty
Stoletnie dwa topole, które czas oszczędził,
Olszynę gdzie wieczorów tyle słodko spędził,
Słuchając jak brzmiał mile słowik wieszcz skrzy-
dlaty.

* * *

Zda mi się że dziś siedzę pod olch gestym cie-
niem,
Jak miły mi śpiew ptaków, drzew lubieżny szelest,

Przebudzam się! — o nieba, i to niczem nie jest
Jak tylko snem zwodniczym, krótkim zachwyce-
niem.

* * *

Napowrót pośród ludzi tłumu widzę siebie—
Lecz słońce już zagasło ziemię zmrok osłonił,
A miesiąc tylko w złotą tarczę się wyłonił,
I otoczony gwiazdy tkwi na czystym niebie.

J. CIERPINSKI.

26 czerwca 1841 roku.



DWIE BRZOZY.

BALLADA.

z podań gminnych (*).

Jasia kochanka—młoda Maryla,
Dla niej w Połocku wstazki kupuje
Ta wstazka złotem skrzydła motyla.
Ta barwa róży oko czaruje.

Kupił chusteczkę,—brzezi chusteczki,
Krasna girlandę maków ubrane,

(*) W Połockim powiecie, jest jezioro *Szewino*, przy którym na wzgórzu stoja dwie brzozy, które lud nazywa *dziewiczje bierozy*, na których w święto *Kupały* dziewczęta okolicznie wieszają wianki z kwiatków *Iwan da Marja*.

W środku jażminy, jakby gwiazdeczki,
Na tle błękitu porozrzucane.

Jak jej te stroje będą do twarzy,
Jej się wdzięcznością oczy rozśmiejają!
Gdy o kockance tak mile marzy,
I gdy się bawi słodka nadzieją,

Gołąb pod niebios leci sklepieniem,
I leci prosto, i co raz bliżej,
Jakby pośpieszyć chce z oznajmieniem,
I co raz niżej, i co raz niżej.

Przed samym gankiem na ziemię spada,
Szyja szmaragdu błyska promieniem
Grucha żałośnie i opowiada,
Ze łzy Maryła leje strumieniem.

Jej zła macocha nie lubiąc enoty,
Sierotę w dzikie bory posłała,
By tam umarła z głodu tęsknoty,
I bor czarami w krag opasała.

Nocne powietrze wilgocia tchnące,
I rosa zimna deszczem przenika,

Strasza ja wilków oczy iskrzace,
I straszą smutne krzyki puszczyka.

Patrzy na niebo, na las ponury;
Prosi o litość, łzami się zlewa,
Niebo niesłucha skryte za chmury,
I zwiatrem szumia nieczule drzewa.

Słucha Jaś, żalność serce przenika,
Martwi go lubej ciężka niedola,
Śpieszy do drogi, siadł na konika
Pędzi przez góry, lasy i pola.

Niedba, że wśród dnia niebo pałace,
On pędzi prędko nie tracąc chwili
Gdy nazachodzie już nisko słońce,
Pyta macochę gdzie jest Maryla.

Macocha na to złośliwie rzekła:
«Ona wzgardziła moja opieka,
Ona odemnie w lasy uciekła,
Niewiem gdzie teraz błądzi daleko.»

Jaś słysząc słowa te pełne zdrady,
Na pomstę wzywał piorun z obłoku,

Szedł szukać lubej, jak chusta błady,
Z duszą zmartwioną, ze łzami w oku.

On idzie tam gdzie bor drzemie dziki,
Jakby piekielnej brama głębini,
Gdzie tylko słyhać straszne sów krzyki,
Tam się ukrywa w ciemnej pustyni.

Błąka się w nocy Maryli szuka,
Wola—o sosny głos się uderza,
I tylko spłoszy z gałęzi kruka,
Lub do ucieczki obudzi zwierza.

Jaś wola—zięyc odkrył w północy
Pół twarzy, spojrzal, znów się zawinał
Płaszczem obłoku, nie dał pomocy,
I z chmura dalej a dalej plynął

Wszystko się przed nim w ciemnościach grzebie,
Kto mu pomoże, kto się uzali?
Jak lampa błysła gwiazdka na niebie,
I zgasła prędko pośród chmur fali.

Lecz oto zorza—znikają cienie—
Może mu jasne promienie rauka,

Ukażą owe miłe schronienie,
Gdzie się ukrywa droga kochanka.

Wyszedł na wzgórek—w pole kwitnace
Nigdzie a nigdzie mieszkańca,
Tylko samotna brzoza na łące,
Jakby nad grobem płacze wygnańca.

W kolo się kłoni jakby od żalu,
Pod łzami rosy gałązka cięka,
Jej biała kora, jakby z perkalu,
Stan jej obwila biała sukienka.

Jakby nad szyją i nad ramieniem,
Jedwabnych liści gaza się snuje,
I z pola wietrzyk lecac z westchnieniem,
Brzegi zielonej gazy całuje.

I z pod tych liści pokryte cieniem,
Błękitne oko pełne nroku,
Zda się go wita czułem wejrzeniem,
I zda się srebrzy łezka na oku.

I tak był brzozy widok uroczy,
Że coś go wabi, coś go tak nęci,

Patrzac nasycić nie mógł swych oczu,
Posłał tam wszystkie duszy swej chęci.

Kukawka w borze tę piosnkę kuka:
«Jasiu ten widok ciebie nie myli,
Tu ona, której serce twe szuka,
W tej brzozie żyje dusza Maryli.»

Ona cię prosi z uczuciem szczerem,
Odpocząć przy niej, skryć się w jej cieniu,
Ona ci cichym listków swych szmerem,
Opowie o swem żalu, cierpieniu.»

Pojał Jaś wszystko, jakby opoka
Stoi przy lubej; twarz jego blada
Jak umarłego, i tylko z oka,
Zda się ostatnia kropla lzy spada.

A już i dzień się zbliża do końca,
A on jak posąg tkwi marmurowy—
I na zachodzie zagasło słońce,
Tylko tli w chmurkach blask rubinowy.

Noc ciemna, burza niebo zagraża,
Grzmi, błyskawicy chmura wścież rzuca,

Lecz Jasia pożar chmur nieprzeraza,
I grzmot z letargu go nicocuca.

Las szumi, wichry wyją z pod chmury,
Świat się w ciemnościach cały zanurza,
Lecą pociski piorunów z góry,
Cała noc szumi okropna burza.

Ranek pogodny, już weszło słońce,
Chmur szczatki gina wiatrem pędzone,
Pasterz dwie brzozy widzi na łące,
I gałęziami obie złączone.

Równa ubrane barwy ozdoba,
Obie zielony otoczył wianek,
I liście szmerem gadały z sobą,
Jakby kochanka, jakby kochanek.

Gdy się cud rozniosł ten między ludem,
Na tę się łąkę zewszad schodzili,
I rozmawiali zdiwieni cudem,
O przywiązaniu Jasia, Maryli.

Rozmaitością dziwny ubiorów,
Tam przyrosł kwiatek niewielki,



Dwie brzozy.

<http://rcin.org.pl>



<http://rcin.org.pl>

Tecza nań z nieba siedmiu kolorów,
Dla ozdób zlała jasne kropelki.

Każdy tam kolor pięknie się pali,
Lnbia go panny wplatać do wianków,
Jaś i Maryla—ludzie nazwali
Kwiat, imionami wiernych kochanków.

Stoja te brzozy, kwitną te kwiaty,
Posród zielonej łąki kobierca,
I będą one przez długie lata,
Zawsze wspomnieniem miłym dla serca.

Tam gdzie macoszy stał dom wysoki,
Woda jeziora wszystko powlekła,
I z mętnej wody, czarne obłoki
Tumanów, wstają jak gdyby z piekła.

J. BARSZCZEWSKI.

13 lipca 1841 r.

SONETY.

1.

Ledwie słońce na wschodzie odsłoni swe lice,
Ledwie spojrzy po cichej, głębokiej dolinie,
Mgła się mieni w łzy rosy i na kwiaty plynie,
Chyli się pod perlami róża krasnolica.

Zaledwie w serce moje spójrzała dziewica,
Ledwie zaczął żyć dla niej, i dla niej jedynie;
Szczęście się w łzy zmieniło, mgła omamień ginie,
Blyszczy gorzkimi łzami zalana źrzenica.

Luba ! szczęścia nieznajdzie kto w twém sercu skona.

I moich cierpień watek nigdy się nieskończy,
Nawet gdy lotnem skrzydłem czas przeminie rączy,

Choć nasze dusze przejdą do wieczności łona.
Gdy twoja tak spokojna, moja tak zwichr/ona,
W niebie się nawet dusza z dusza niepolaczy.

2.

Czyliż kto duszy mojej wrócić szczęście zdola,
Czyliż kiedy z łez gorzkich oschnie maźrzenica,
Ta którą tak kochałem, anielska dziewica:
Litością już nie spędzi smutku z mego czoła,

Może kiedyś na łonie innego anioła
Czoło moje rozjaśni szczęścia błyskawica,
Lecz to szczęście nie potrwa, i ściemnieją lica
A serce chwil przeszłości z rozpaczą zawoła.

Choć róża raz na wiosnę kwitnie i opada,
Zdarza się iż w jesieni znowu kwiat rozwija;
Lecz wtenczas taka watła, wysilona, blada!

Tak choć szczęście nie wraca gdy już czleka mija,
Czasem przed skonem nśmiech na licach usiada,
Ale i w tém uśmiechu już się śmierć przebija.

Zwarzyła jesień kwiaty nad brzegiem strumyka,
 Wiatr zeschłych liści tumanami miota,
 Błyszczy dąb koralowy, błyszczy brzoza złota,
 I jaskółkę wewnętrzną niepokoj przenika.

Już czas lecieć — gdzie? w sercu znajdziesz prze-
 wodnika,
 Już czas lecieć — wewnętrzną uczy cię tęsknota.
 Siedzi biedna na drzewie skrzydełkiem trzepota,
 Zcrwała się — wzleciała, mignęła i znika.

Jaskółka miała wrócić nim zefir zawionie,
 Pod strzechę której nieraz doznała opieki.
 Lecz ja morskie w przelocie pochłonęły tonie.

Lanro! i ja nieszczęsny idąc w kraj daleki,
 Myślę iż wrócę kiedyś spocząć na twym łonie,
 Próżne marzenia! żegnam, żegnam cie nawieki!

Już północ — cień ponury niebiosu okrywa,
 A jeszcze serce zmysłom spoczynku niedaje;

Zewsząd mię czarnych myśli otaczają zgraje,
Westchnienie po westchnieniu z piersi się wyrwa.

A choć umysł znurzony na chwilę spoczywa,
To serce ulatując w wyobraźni kraje,
Goni za marą której szczęścia niedostaje,
A dusza nawet przez sen, drugiej duszy wzywa.

Jest kwiat co się otwiera pośród nocy cienia
I spogląda na księżyc i lube tchie wonie,
Aż póki nieobaczy jutrzhenki promienia,

Jest serce co się kryje w zakrwawionym łonie,
W nocy tylko oddycha, w nocy we łzach tonie,
A w dzień pilnie ukrywa wewnętrzne cierpienia.

5.

Duszo! śpij duszo moja coś cierpiała tyle,
Anioł ciebie opuścił, i szczęście się zmienia,
Spij, ach śpij duszo moja, dopóki z uspienia.
Nieśmiertelny głos Boga nie wyrwie cię mile.

Spij serce, już dla ciebie znikły szczęścia chwile,
Bo na coś masz się budzić na same cierpienia,
Spij lutni moja, próżne twe płaczliwe brzmienia,
Ja sam zasnę niedługo w głębokiej mogile.

Tak wędrowiec grożącej śmierci niedaleki,
 Choć już do dna wychylił trucizny napoje,
 Jednak długo się męczy nim zawrze powieki.

I ja piłem też lube, słodkie szczęścia zdroje.
 Piłem śmierć z roskosz czary—i usnę na wieki;
 Lecz nim usnę—o biedne, biedne serce moje!

6.

Dziękuję! —i cóż więcej wyrzec się ośmielę,
 W tem jednym słowie zamknę wszystkie czucie moje,
 A jeśli równym ogniem płonie serce twoje,
 Poznasz że jedno słowo zamyka już wiele.

Lecz niestety! zmartwienia dano nam w udziale,
 Mimowolnie przyszłości okropniej się boję,
 Twoim tylko widokiem moje bole koję,
 Jedna z toba rozmowa sprawia mi wesele.

Dziękuję! — ty znasz lepiej ile serce czuje,
 Dziękuję za zbyt drogie twoich rączek dzieło,
 Serce co we łzach srogiej boleści tonęło;

Tys go anielską dobrocią wsparła,
 Gdybyś mi nawet życie wydarła,
 I wówczas rzekłbym —dziękuję!

7.

Badź zdrowa! już się kacza błogich zabaw chwile,
 Ach niechaj to ostatnie czułych dłoń spojenie,
 Wzbudzi o mnie pamiatkę—a słodkie westchnienie,
 Niech dusze twa orzeźwi, co ma cierpieć tyle!

Badź zdrowa! niech raz jeszcze serce me zasile
 Nektarem ust anielskich, niech twych łez strumie-
 nie

Upadna na pierś moja, niech cięża sumienie,
 Aż nim czare ostatnia trucizny wychyle.

Badź zdrowa! niech pogodne dni płyną dla ciebie,
 Dla mnie zaś niech zgrzyzota droge ściele głogiem,
 Bo znam wielkość przeklestwa mojego na niebie,

A które w głębi serca nawieki pogrzebię,
 I w ów czas gdy już stanę za wieczności progiem,
 Chyba tylko w dzień sadu odkryję przed Bogiem.

8.

O! gdybym choć raz w życiu mógł zapomnieć ciebie,
 I usunąć z przed oczu twoją lubą postać,
 12

I samotny na ziemi sam z sobą pozostać
I znowu cię powitać strzod aniołów w niebie.

Luba! innego szczęścia nie żądam dla siebie,
Bo gdy tu nam nawieki kazano się rozstać,
A żywym niepodobno do nieba się dostać,
Cóż począć ulegnijmy tej smutnej potrzebie.

Lecz niestety—ty płaczesz luby mój aniele,
Ach! poprzestań zaklinam, bo twych łez strumie-
nie,

Których tyle wylałeś i ronisz tak wiele,

Tłocza bardziej pierś moja niżeli kamienie,—
Nie płacz—ja z toba wszelkie uczucie podzielię,
I dla ciebie ostatnie poświęcę westchnienie.

Do A. K. B.

Siedemkroć ziemię obiegło słońce,
Młodzian przetęsknił siedem wieczności,
W smutnej z rodzinnym niebem rozłace,
Ach! bolał, dumal, nieznał miłości.

Gdy dwie nadobne Edenu córny
Zwiedzily północ — o! ich przybycie,
Raj z niej zrobiło, rozwiało chmury,
Duszy i sercu wskrzesily życie.

Jedna z nich wzięła imię Antosi—
Ta mnza polska, olimpu dziecie,
W czarownych oczach pociski nosi,
Piękna jak gdyby róża w rozkwicie.

I druga śliczna, śliczna Kamilka!
Nieziemska postać, rusalka Wisły.
Lilja od róży rańsza słońce kilka,
Kwiat niewinności mamiący zmysły.

O jak szczęśliwy, trzykroć szczęśliwy!
Kogo swém okiem spotka niebianka,
Czyj kwiat piastuje los mu życzliwy,
I z temi kwiaty splecie do wianka.

Lecz krótka była radość młodziana,
Dziewice znikły jak szczęścia mara,
Znów północ czarna szata odziana. —
Serce zaległe tęsknota stara.

Gdyby mu ptaki dały swych skrzydeł,
Orłaby lotem stronę ich zwiedził,
Pieściłby, nowych szukał mamideł,
Chwytał spojrzenia użucia śledził.

Lecz gdyby można posyłać słońce,
Każdego rana jego promienie,
Niosłyby do nich modły gorące,
Od nich — przynajmniej mile wspomnienie.

JÓZEF ROKICKI.

BOGUMIŁA JÓZEFOWICZ.

Bogumiła Józefowicz! imię dziewicy, co mo-
ca podwójnego uroku — wdzięku i talentu, czaruje
nas tak silnie, i mimowolne wyrywa uniesie-
nia i oklaski. Dziwny fenomen w muzykalnym
świecie! Artystka, dziewczyna, rzuca kolej zwycza-
jnych kobiet - artystek, a nawet artystów, z pogar-
da odpycha niewdzięczny fortepjan i chwyta się ca-
łą duszą najwznioślejszego instrumentu co od du-
szy do duszy przemawia.

Sadzimy że poświęcając tu słów kilka młodej
artystce, i zaznajamiając z jej rysami, zrobimy przy-
jemność czytelnikom, — w przekonaniu, że kiedy
tak nie wiele jeszcze z pośród nas zyskało sławę
muzycznego artysty, każde podobne zjawienie się,
obchodzić nas niepomalu powinno.

Urodziła się Bogumiła Józefowicz w Grodnie r. 1828. Wrodzony talent do muzyki, a szczególnie skrzypcowej, co się od lat dzieciennych wykazywał, bystro się począł rozwijać pod przewodnictwem P. Zwirowicza, na pensji PP. Barankiewiczów w Grodnie. Głośny podówczas na Litwie skrzypak P. Reutt, nderzony zdolnościami i postępem młodej artystkiji chcąc je zachęta publiczna rozwinać, wezwał siedmioletnie dziecię do uczestnictwa w jego koncercie.

Pamiętny to dzień dla młodej artystki.

25 marca 1835 roku, co go w Wilnie Pierwszy to raz siedmioletnie dziecię - dziewczica, ujrzała tyle na siebie zwróconych oczu, pierwszy raz zabrzmiały w jej uszach oklaski tłumu, co ją więcej strachem, niż radością przejęły. I gdzież to gra jej zyskała te oklaski, — tuż obok już wstawionego Reutta, po dźwiękach koncertu Maurera, jednem rondo z opery «Gazza-ladra»! I niedaremne były te oklaski i nieplonne nadzieje.

Minęły dwa lata, a dziecię olbrzymim krokiem szło dalej. Dnia 26 stycznia 1837 roku w Grodnie, dziewięcioletnia artystka, grała już koncert i warjacje Rode'go! Sluchacze spostrzegli już i wtenczas w grze jej «pewność i czucie» — * i możnaż

* Kurjer Litewski 1837 N. 14.

było więcej wymagać od dziewięcioletniej dziewczyny!

Ale dla talentu artystki trzeba było sankcji znawców, trzeba było żeby zajaśniał on na obszerniejszej widowni, pośród artystów Europejskiej sławy, a nawet wszedł z nimi w współzawodnictwo—Panna Józefowicz przeniosła się wkrótce do Petersburga. Tu, w tajemnicy muzyki skrzypcowej, poświęcali ją, uwięzieni laurami olbrzymi tejże muzyki: Vieux-Temps, de-Bull i Prume. Łatwo się przyjmowała naukę i sami nauczyciele dziwili się postępom i talentowi młodej uczennicy, co tak świetnie zajaśniały w obu koncertach, 23 lutego i 13 kwietnia 1841 r. danych w tutejszej stolicy wśród tłumu zdziwionych melomanów i artystów.

Panna Józefowicz wybrała dla swego koncertu sztuki muzyki czystej, lekkiej, naiwnej, muzyki francuzkiej: «koncert Berioł'a», jego «12ste warjacje» i «fantazja Hauman'a». Pewność i lekkość jej smyczka, łatwość z jaką pokonywała wszystkie trudności nowej szkoły, jej śmiałe tremolo à la Ghys, zdziwiły melomenów i znawców.

W drugim koncercie główną sztuką był trzeci koncert Kalliwoody. Publiczność stołeczna, znużona dziwaczucami wybrykami i farsami dzisiejszej skrzypcowej muzyki, z rozkosza słuchała uczo-

na, wzniosła muzykę 3go koncertu Kalliwody, tej anacreontycznej, jak ktoś go nazwał, poemy, pełnej miękkiej rozkoszy i gracji, motywów i modulacji tak czarujących i śmiałych, — a w której tak świetnie dała uczuć, główną swą rolę Panna Józefowicz. Tu dopiero zajaśniały śpiewność i czucie jej smyczka. Toż i w «Malancolie» Prumc'a i w warjaciach Hauman'a — w exekucji których przewyższyła nawet samego ich autóra.

Do tej pory, Panna Józefowicz, nie jeszcze nie-utworzyła własnego, ale przed nią obszerne jeszcze pole i świetna przyszłość — i o jakże chcielibyśmy żeby nadzieje nasze nie były płonne i żebyśmy kiedyś jej imię obok imienia Lipińskiego zapisać mogli.

St. Petersburg.

1841 r.

STAN. LACH.

SMUTEK.

W długich nocach posepny grudzień cicho mija,
Mroz okna porysował ręką lodowatą,
Po północy już ósma godzina wybija,
Przy ogniu siedzę w myślach, jak więzień za kratą.

Od dawna już tęsknica w pamięci mej tkwiąca
Życia straszna zegluga malując w idei,
W oblakanie samotne myśli moje wtraca,
I snują się w wspomnieniu smutnych dni koleje.

Lecz oto ranna zorza za krasnym obłokiem,
Mroz się więcej usiła po północnej burze,
Wojsko dymów nad miastem, niezliczone okiem,
Jak Tytany do nieba prac się gina w górze.

Tu dzień gościem, wizyta krótka błyska oku,
 Rzadko kiedy na mlecznej drodze gwiazdy świecą.
 Niebo kryje się w chmurach, ziemia w nocnym
 mroku

I z północy śnieg pędząc silne wiatry leca.

Lubię kiedy widoki skryją nocne cienie,
 I gdy się skupia wichry gwiżdżąc z krajów świata,
 Wzmaga się w mej pamięci posępne wspomnienie,
 I myśl moja daleko z północy ulata.

Julijo! będąc w domu przy zmroku wieczora,
 Gdy za oknem wiatr smutnie wyjąc śniegi wzruszy,
 Wspomni o mnie, i powiedź: —ta burzliwa pora,
 Jest podobna do jego niespokojnej duszy.

J. BARSZCZEWSKI.

r.1839

Petersburg.

Sierota.

Gdzie idzie ta dziewczica w myśli zatopiona,
Dla czego łzy na oku co ją martwi tyle?
Każdy wieczor tam bywa w smutku pogrążona,
I jak kamień grobowy stoi na mogile.

I przed kim ta dziewczica na swój los narzeka —
Na grobach tylko jodły cień ściela szeroko —
Umilka — na swe skargi odpowiedzi czeka,
I podnosi do nieba swe błagalne oko.

Lecz nieszezesnej sierocie nikt nieodpowiada,
Wietrzyk tylko zakłucił spokojność grobowa,
Ukleka przy mogile, ręce swoje składa—
A żal w piersiach przytłumił jej modlitwy słowo.

«Drogi cieniu mej matki, ja zaklinam ciebie,
Ty na moja niedolę z nieba patrzysz skrycie,

O! weź mię nieszczęśliwą sierotę do siebie,
O! chciałabym, chciałabym skrócić smutno życie.

Jam przy tobie niedoli żadnej niedoznała,
I w pokoju me życie pędziłam szczęśliwie,
Dziś tylko dobroć twoja w pamięci została,
Rozdzieliła nas z toba śmierć nielitościwa.

O! matko czyż ja wzywam ciebie nadaramnie,
Tyś mnie osypywała tkliwemi pieśczętami,
Wszak dusza twoja czuwa nademną tajemnie,
Ach! matko nieodrzucaj łzy biednej sieroty.

Wszak tyś mię na tej zemi jedną zostawiła,
Pośród burzy gwałtownej nieszczęsnego losu,
O! bodajbym co prędzej z toba się złączyła,
O! matko chciej wysłuchać córki twojej głosu.

Żegnaj cię droga matko, już północ nas dzieli,
Usypiaj tu w pokoju ja opuszczam ciebie,
O! kiedyż serce moje radość rozweseli —
O! kiedyż ty zawołasz sierotę do siebie!

IZABELLA SWIATKOWSKA.

PASTWA WYOBRAŹNI,

(z *Matyldy Rokeby*.)

Żadnej zbrodni zdradzieckiej szalona ohyda,
Nie zapłaciła serca młodego Wilfryda:
Serce jego zbyt pełne miękich uczuć głosu,
By się puszczać w koleje zawodnego losu,
I dopóki się Oswald czuł w gronie rodziny,
I przechwalał się wielą dzielniejszymi syny,
Póty szczydził z Wilfryda słabej duszy, ręki;
Czulość mu matki, wzgardy uśmierzała męki,
I wiek ognia, nie ujrzał w nim poruszeń męstwa,
Czuł bogactwo Szekspira, lecz obraz zwycięstwa,
Lub rycerskiej biesiady i walki Porcego
I wesołość Falstaffa, były nie dla niego.

On polubił Hamleta, zgłębił um Jakóba,
 I lzy mu słodkie brała Dezdemona luba.
 Żadna z młodzieńczych uciech nie miała dlań
 wdzięku;

Od wrzasku sfor, sokołów i oręża szczęku,
 Uciekał nad brzeg jezior samotny i cichy,
 Do dzikiego Depdallu, kędy róż kielichy
 Zwisaly po nad debry i sypkie wiszary;
 Ileż razy on biegał za Kallestu jary,
 Ileż na Pendragonu wdrapywał się blanki,
 Tuląc pieczotny obraz nie ziemskiej kochanki:

* * *

On kochał — liczne o tém zaświadcza ballady,
 Które i dziś Stenmoru śpiewają gromady,
 Bo nie obca mu była Minstrclowa sztuka,
 Której się nie nabywa, ni daje nanka,
 Do miłości przyrody był on utworzony,
 I wyobraznia tliła ten płomień wrodzony,
 Kochał bez wzajemności — kto kochał — tak tkli-
 wie,
 Rzadko kochanek w jednym spotka się ogniwie;
 Więc on kochał w milczeniu: z oczu żądze biły,
 A usta o przyjaźni do ludzi mówiły.

Tak upływało jego dumające życie;
 Nie raz promień rozumu zawalczywszy skrycie
 Z namietnością w sercu, wskazał mu zdaleka,
 Że tkną go cięższe bole, niż te co dziś pieką;
 Lecz, nie długo mógł słuchać głosu surowości:
 Obojętny na wszystko prócz swojej miłości;
 A gdy go zmiana losu bynajmniej nie drażni,
 Stawał się coraz bardziej pastwą wyobraźni.

Ta dziwaczna bogini w swym jasnym rydwanie,

Toczy go, a z nim razem i jego kochanie;
 To rospryśnięte serce w ciszy gajów koi,
 To zdradnemi obrazy przyszłość jego stroi;
 To zwiędło jego czoło swą rosa łagodzi,
 Magiczna kryje szatą, co mary nawodzi;
 To w utsal jemu leje napoj zachwycenia,
 Którego się smak z duszy, niczém nie wyplenia;
 To marzać w marnej mamideł przestrzeni,
 Co raz z nim odlatuje z rzeczywistej ziemi—,
 Aż dopóki uwiedzion złocistemi ékami,
 Nie nazwie marzeń prawda, rzeczywistość snami.

* * *

Biada chłopcowi, który, odpycha zbląkanym
Rady ojca i matki — i cały oddany
Widziadłu wyobraźni, — tkliwej wart litości,
Bo dobre jego serce pełne szlachetności.
Biada tym co się jego opiekują losem,
Ze doń nie mówili twardym prawdy głosem,
By mu umocnić duszę póki pora była!
O wy! dla których dola jego jeszcze miła,
Prawdziwi przyjaciele! uczcie tej mądrości,
By sadził terazniejszość wedle swej przyszłości.
Ileż razy żądź jego zwiódło osiągnięcie!
Powiedźcie mu, że wyobraźni puste uniesienie
Za widziadły blahemi, wskażcie co go czeka
U celu, ku któremu silnie się zacieka;
Znajdzie tam omamienie i daremną żalność!
Pierwsze z tych w dusze tłoczy bezład i niestałość,
I długiej jego pracy nagrodę wydziera,
I temu, co zwodziło, wdzięk wszelki odbiera;
Drugie zaś jeszcze dając mu blask wymysłony,
Mnoży boleść, gdy ujrzy cel żądzy miniony.
W oczach pogromiciela korona złocista,
Staje się marnym kruszczem i nagroda szklista,
A ten co po niej płacze z rąk swych utraciwszy
Jeszcze ją ma za wieniec w życiu najszcześniejszy.

* * *

Niestety! spójrż na wieże gdzie Wilfryd w tesknicy
 Nie słucha do spokoju zowiącej zrzenicy.
 Spójrż na lampę co miga z wieżycy promieniem;
 Ta biała postać jego wyda ci się cieniem;
 Szkarłat goraczki wzlata na lice uwiedle,
 Głowa smutnie schylona i włosy rozprzęgłe,
 A wszystkie rysy jednej boleści obrazem.
 Lecz on oczy wzniosł w niebo — uśmiech jednym
 razem

Melancholijnym nowszym twarz pokrył wyrazem:
 Podobno Indyi krzewin nocnemu ptakowi,
 Pieści swemi skrzydłami ranę człowiekowi,
 Którą sama zadała — i gdy ból osładza,
 Powolnemi kroplami krew zeń wyprowadza.

LUDWIK DAWYD PODBERESKI.

1839 r.
 w Moskwie.

KWIAT MŁODOŚCI.

Powiedzcie, pytam was młodzi,
Czemże jest wówczas kobieta,
Kiedy zaledwie roskwita,
I z dziecinnych lat wychodzi,
Gdy ma zaledwie piętnastą wiosnę,
I pierś się u niej wzdymać zaczyna?
Ach bracia moi—to bóstwo miłośne,
Nimfa ulotna, nie ziemską dziewczyną,
Jakaś huryska proroka,
Jakaś rusalka, niebianka,
Utworzona z mgły obloka.
Z przezroczystych łez poranka;
Co ją kwiaty wypieścili,
Co ją rosy wykarmili;

**Cała wietrzna i skrzydlata
Nie naszego jakby świata;
Jest to gwiazda promienista,
Jest to perła jasna, czysta,
Siedmiobarwna teczka śliczna,
Cała wabna i błyszcząca,
Jest to iskra elektryczna,
Milym drzeniem przejmująca:
Jest to słowem jakaś siła,
Co porywa i przyciąga,
Duszę naszą z niebem sprzęga,
By roskosze rajskie piła.**

Wł. TYSZKIEWICZ.

*Moskwa.
1841 r.*



TRZY WRÓŻKI.

Jakież to trzy młode wróżki?

Piękna kibić, złoty włos,
Jasne oczki, drobne nóżki
I anielski słodki głos.

Z główek wiszą kwiatów grona,
Szaty czarne, gdyby noc;
Na nich, jako z nocy łona,
Gwiazdek złotych świeci moc.

Są to siostry trzy rodzone,
Sławne wróżki naszych stron,
Pomiędzy wróżki wsławione,
Słusznie im należy tron.

Każda z nich z dziwnym urokiem,
Przed którym się trudno skryć;
A kogo szcarują okiem,
Temu ciężko bez nich żyć.

Starsza wróżka, skromna, cicha,
Lecz się na baczności miej,
Bo nie jeden dla niej wzdycha,
I kajdany dzwiga jej.

Średnia wesoła i żywa,
I od tej zdaleka stój,
Serce wzrokiem swym przeszywa,
I uśmiechu jej się bój.

Młodsza z nich i najpiękniejsza,
Jeśli mówić prawdę mam,
Jeszcze jest niebezpieczniejsza —
Doświadczyłem tego sam,

Wszystkie w czarach swych celuje,
W niej uroków cały rój,
A gdy kogo oczaruje,
Ten już będzie sam nie swój.

Niechaj oczkiem jasnym rzuci,
Wnet pustynię zmieni w raj,
Niech na chwilkę się odwróci,
Stepem będzie piękny kraj.

Uśmiechnie się komu powie,
Czarodziejskich kilka słów,
Wnet zakreśli mu się w głowie,
Już po wszystkim — bywaj zdrów.

Piękna wróżka marzy wszędzie.
Świat bez wróżki mu nie świat,
A tej biedy nie pozbędzie
I przez długi przeciąg lat.

Kto szczerzy ją wzajemnie,
Jak szczęśliwy będzie ten,
Wiek mu płynie z nią przyjemnie.
Niby krótki słodki sen.

GAUDENTY SZEPIELEWICZ.

1838 r.

Do L.

**Z rozpaczą w sercu i ze łzą w oku,
Tęskniąc za światy innemi,
Biegłem bez celu, życzeń, uroku—
Niewierząc w szczęście na ziemi.**

**Niechiałem ludzi—w zdaniu zepsutém
Wiem co miłością zwali u siebie—
I szedłem zdala, z sercem zakutém,
Marząc o grobie i niebie.**

**Tys mi zabłysła gwiazda zbawienia
Na drodze życia samotnej,
Tys zwiastowała dzień odrodzenia
Wieścią jaskółki przelotnej.**

Zbolale serce, głowę strudzona, —
Przytulki cierpień i piekła,
Co świat cierniową zranił koroną
W szatyś weselne oblekła.

Dzięki ci, dzięki, gwiazdo zbawienia!
Za miłość, szczęścia tak wiele,
Za balsam słów twych, lzy i westchnienia —
Dzięki ci, dzięki aniele!

Serce do serca, i dłoń do dłoni
Świat razem przejdźmy, o droga!
A gdy nas wieczność ciemna osłoni
Razem tak staniam przed tronem BOGA.

STAN. LACH.

St. Petersburg
1841 r.

Do Z. W.

**Widziałem obraz pedzla Rafaela,
W nim się dziwiłem piękności anioła,
Promieniom które jasno oko strzela,
Powabom lica i świetnego czoła.**

**Że wyobraźni jest tworem mniemałem,
Dziełem dowcipu i mistrzowskiej ręki,
Lecz że ten obraz nie jest ideałem,
O tém mię Zosi przekonały wdzięki.**

**Zapewnie mistrz ten widział Zosię weśnie
Choć jeszcze przy nim niebyła na świecie,
I jej wdziękami zachwycony wcześniej,
Wydał ją wiernie w prorockim portrecie.**

A że mu pewnie wieszczy sen objawił,
Jakie przymioty duszy będzie miała,
Więc ja w postaci aniołka wystawił,
Kreśląc wdzięk duszy przy piękności ciała.

GAUDENTY SZEPIELEWICZ.



S O N E T.

W odęcie poziomego świata wszystko zginie,
 Jak mgła na oceanie, jak skępiec bogaty,
 Mgła się w chwili rosproszy, bogactwo w godzinie,
 Gdy się po zesłym szumne odziedzicza braty.

Błogo tym, którzy chcieli wpisać się w światynie
 Czystych prawd, wielkich dążeń, wysokiej oświaty,
 O tych pamięć w potomnych wiekach niezaginie,
 Ni zawiść ja nie zatrze istnaca przed laty.

Prawda,—dążność—nauka—jest to pietno żywe
 Prawdziwych charakterów, geniuszów ludzi,
 Ich się światłem promienia dusze światłał chciwe,

Żaden blask próżny serc ich nieprzebudzi,
 A świecać dobroczynnym tym ogniem dla ziemi,
 Żyją w niej z ludźmi, będąc od ludzi wyższemi.

WINCENTY GOZDAWA REUTT.

ROZPACZ.**BALLADA.**

Tam gdzie gęsty bor ponury,
Blask słoneczny nieprzenika —
Jodły, cieniem jakby chmury,
Kryją dom czarnoxięźnika.
Czaruoxięźnik xiege bierze
Chcąc piekielnych zwołać slug;
A w tej xiędze, na papierze
Czarnym, widać biały druk.
W samą północ on coś bada,
Chęci piekła swe powierza,
Tam ku niemu w okno wpada,
Czart w postaci nietoperza,

A niekiedy przed nim siada
Cały czarny jakby kruk,
Czarnoxieźnik z djabłem gada,
Któs za drzwiami stuk, stuk, stuk.
—Kto tam? niespokojna głowa,
Teraz i zwierz zasnął w borze,
Tylko lata nocna sowa —
Co ci trzeba o tej porze?

«Bojar jestem, mię sprowadza
Tu, zgryzota, rozpacz wściekła;
Nad piekłem twa wielka władza,
Mnie potrzebna pomoc piekła.
Grałem w karty, wiele straty,
I mam jeszcze długów wiele,
Mój majątek, me dukaty,
Podzielili przyjaciele.
I obelgi jeszcze znoszę,
Ich spojżenia żarty drwiące,
Od tych grosza niewyproszę,
Którym rzuciłem tysiące;
Szukam żony, może żona
Mnie wzbogaci, niedbam oto,
Niech straszydło będzie ona,
Aby tylko miała złoto
Gdzie się kończą góry, bory,
Żyje w zamku wojewoda

On ma złota pełne wory,
Przy nim Alda córka młoda —
Ciebie całe piekło słucha,
Co chce spełni wola twoja,
Zrob potężny władco ducha,
Niechaj Alda będzie moja,
I niech tej nocy usłysze
Wybor Aldy — i z ochotą
Przeknę niebo i zapisze
Piekłu dusze ma za złoto.»

Czarnoxięźnik w [■]średze bada,
Mruczy słowa niepojęte,
Pisze koła, coś tam gada,
Zwolywa duchy przekłete,
Rzecz: »jeśli jesteś śmiały,
Przejdzie rozpacz i zgryzota —
Tu kot siedzi czarny cały,
Zabierz z sobą tego kota,
I idź droga — blisko drogi
Jest kaplica, mogli wiele,
Do kaplicy idź bez ńrwogi,
I postukaj we drzwi śmiele,
Drzwi kaplicy ktoś odsłoni,
Dłoń pokaże — nieuciekaj,

Położ kota mu na dłoni,
A co będzie dalej—czekaj;
Śpiesz, bo gdy się kur odzywa,
Duchy tobie niepomoga»
Bojar choć go strach przesywa,
Bierze kota, idzie droga.

Gęsty rośnie las przy drodze,
Wgórze szumiac wiatry leca,
Kot na rękę patrzy srodze,
Oczy jak dwie lampy świeca,
Meteorów błyskawice
Przerywają nocne cienie —
Widzi smętarz i kaplicę,
Jak w mogile tam milczenie,
Tylko wietrzyk z okolicy
Tam zielony zwiedza smug —
Bojar przyszedł do kaplicy,
Z trwoga do drzwi stuk, stuk, stuk.
Czeka zimnym potem zlany.
A ktoś wewnątrz drzwi odmyka
I wysuwa dłoń z zaściany,
Bierze kota i wraz znika.
Siada Bojar na kamieniu —
Wkrąg mogiły krzyże wszędzie,

On sam jeden w nocnym cieniu,
Myśli, czeka co tu będzie,
Patrzy—twarz xiężyca blada,
Nad nim gwiazd rozlane morze,
On sam jeden czeka, bada —
Co za dziwy o tej porze?

Gdy samotny myśli, roi,
Co raz większy strach napada,
Zda się, że ktoś za nim stoi,—
I na ramię dłoń przykładą,
Cała krew do serca wbiega,
Ledwie czuje w sobie życie,
Spójrzął nagle, i spostrzega —
Przy nim Alda — w aksamicie,
W perłach cała, a z jej głowy,
Z pasa, którym stan jej śpięty,
Świeci promień rubinowy,
Jak skry błyszcza djamenty,
I tak rzecze do Bojara:
«Co ci trzeba, północ głucha,
Ja się błąkam jakby mara,
Mnie posyła tu moc ducha.»
—«Aldo niech cię nieobraża,
Me staranie, chęć ma płocha,

Ten się na wszystko odważa,
Kto tak szczerze jak ja kocha,
Chcę cię widzieć Aldo miła,
I być z toba choć na chwile.
Oto zielona mogiła,
Siadźmy razem na mogile.
Ta mogiła niema, głucha,
Jak i kamień ten grobowy,
Nie zrozumie niepodślucha
Mojej tu z toba rozmowy.»
«Pracz ztad, precz ztad, bo ja widzę
Krzyż drewniany tu na grobie,
O! ja krzyża nienawidzę,
Wybierz miejsce mnie i sobie,»
—Oto wzgórek blisko drzewa,
Jak kobierzee na nim ziola,
Lecz cóż Aldo ciebie gniewa?
Że twarz twoja niewesola?
«O! jak cierpi ma żrzenica,
Razi planet blask daleki,
Niech ta zginie twarz xiężyca,
Niech zgasną gwiazdy nawieki.»
—Xiężyc chmura wraz zasloni,
Znikną gwiazd tych błyskawice —
Co tak zimne twoje dłonie?
Co tak blade twoje lice?

«Noc wilgotna i wiatr wieje,
Opasaj mnie swem ramieniem,
Ciepło twoje mię ogrzeje,
Ożywisz mie twoim technieniem»
—Ach! ach! jaka straszna żmija,
Gdzie ścisłała stan twój wstęga,
Lśniącym grzbietem wkrag obwija,
Ach! ach! głowa piersi sięga.
«Ta bogata ma ozdoba,
Jest przyczyna twojej trwogi?
Gdy się tobie niepodoba,
Ja odrzucam ten pas drogi»
—Zamiast perel u twej szyje
Tłum robaków ciało toczy
I na głowie twojej żmije,
Jak ich strasznie błyszczą oczy,
Ach! zamiera krew w mem cieło.
«Strach obłąkał oczy twoje,
Coć się roi, spójrzy śmieie,
To kamienie, perły moje»
—Patrz, patrz Aldo, tam upiory,
Cały smentarz tłum pokrywa,
Zkad się schodzą te potwory,
Jaka postać ich straszliwa.
«Nie lękaj się, nie zaszkoźda,
Oni nocna podróż mieli,

I do grobów swych przychodzą
 Na wilgotnej spać pościeli;
 Wraz pod dachem obudzony
 Kur zaśpiewa, czas ucieka,
 I ja muszę iść w te strony,
 Gdzie mię ciasny dom mój czeka.»
 Gdy to rzekła—wraz potwora,
 Bojara ciśnie do łona,
 I on w objęciu upiора,
 Drętwieje cały i kona.

J. BARSZCZEWSKI.

Petersburg.
 1841 r. 14 paździer.

WYDZIAŁ

(Wydruk z archiwum Biblioteki)

W zamontowanym zjeździe mojem, zjeździe o mi-
 szach Paragwajskich i sam odbywalem w licznie
 olaszny wycieczki; zjeździe o zafonach i budna-
 rach nowej strojnej i wesołej Francji; i sam dy-
 walam w chacie Polaxka. to urodzonego litwicko-
 go wieziarska. Namianst miazstowych miazk, ca-
 wie dusze i w najciszej wprawdzie, zjeździe po-



SZEŚĆ CHAT.

(Wyjątek ze szkiców Litwy.)

W samotnem życiu mojem, czytałem o miejscach Peragwajskich i sam odbywałem w trockie olszyny wycieczki; czytałem o salonach i buduarach nowej, strojnej i wesołej Francji, i sam bywałem w chatce Poleszuka, to ubogiego litewskiego wieśniaka. Zamiast miastowych muzyk, co żywia dusze i w uniesienie wprawują, słyszałem po-

świsł wiatru w szczelinie góry, i koźli bek kulika w przestworze, a dziobatego baka w trzcinie; pło-ty i parkany były murami dla mnie, a chaty wie-śniacze pałacami, w których królowała gościnność, tylko jeden głos uczonego lub towarzyskiego czło-wieka był dla mnie rzadkim i osobliwym jak grom w zimie. A! zapomniałem — jeszcze uważnem uchem wsluchiwałem się w tarkot jeżdżącego po niebie gromu — nie mała uciecha dla serc tęsknych, i dusz lubiących pokój, marzenie, przyrodę, zresztą czezość, pustota, jednoton, tożsamość! Rwij owies garściami dla zajaca w alkierzyku, lub jarmusz dla krolika, kop ziemię motyka w około płonek ręką koehanej mamy zasadzonych, lub siecz drzewo topo-rem, — dla mojej po skończonej pracy nad Troc'e'm lub Linde'm; łów złociste pstrągi w szmarag-dowych wodach potoka, — wszystko to dobre, siel-skie, powabne dla wyobraźni gładysza stołeczne-go, — ale praca bez owocna i nudna! Tak moje czytanie, zaciekanie się uwagi, były bez widoczne-go celu bliskiego, i nieprzynosiły skorego owocu. Słowem, zostawionemu samemu sobie od lat mło-dzienczych, nie nie uczyło, nie serca na właściwe nie ciągnęło drogi, nie chwalebnych praw mi nie-pisało: wiara i czucie było śpiące, gniotem mono-tonu przydławione, popęd ku idejom nie obudzo-

ny; oddany na pastwę nicości, wznosilem się i opadałem fizycznie, jako fale morza; zimną, wiosną, jesienia i latem; a strona moralna, z czytania xiąg, kazań księdza plebana, nank czulej matki idaca, co dawniej lzy, westchnienia i szczytne myśli budziło, dopiero zwykła się z powszednim bytem, bez żadnej dążności, istotę, samo ślepe przeznaczenie bez wyraźnego celu wiodło, kędy samo chciało;— zostałem Lewijestanem tych niskich pol, wznosząc się z pośrodku bujnych jarzyn, na postrach lęklivych zajęczków, i stad bojazliwych kuropatw. Szukałem wody w skwarne dni śpićki, i stanąłem w niej jako Faraon; w końcu sądziłem że zostanę amfibija, bo nie mogąc znieść skwaru sierpniowego, radbym ciągle siedział w stawie, jak wydra w potoku. Świat przedpotopowy okamieniał cały. ja miałem zdrzewnić, zwodnić, przeobrazić się w drzewo, w wodę, jak owe mitologiczne biedaki, za karę od wymyślnych bogiń.

Słomka ciągnie co wieczora w kierunku do jakiego nawykła, podobnie i ja wykreśliłem sobie liniję prostą, którą przebywszy, mogłem się rozchodzić jak strumień na wszystkie strony. Linija ta wściłala sześć chat naszego prostego, wiejskiego ludu.

Moi panowie! pijak lubi prawie o nektarach,

co mu podniebienie Iechca, kupiec o towarach, co zysk przynosza; złodziej o wybiegach nocnych z kamraty, swarliwy i zrzęda, chwytą to, co złego w naturze ludzkiej wypatrzy — a ja literat, to wszystko do mnie nie nienależy i cóż mię to wszystko ma obchodzić, proszę was panowie? Ja poeta, siedzę sobie na kwadracie ziemi, śród przestrzeni ogromnego ziemiokręgu, mam sobie serce skłonne ku dobremu, choć już dzikie trochę, a oczy lnbiaće obrazy przyrody, i uszy rade krotochwil: wesoly. A przeto, w miejscu bahuniu, lubię ja skromne ziolko, cichej grzadki litewskiej; lubię mak polny, boże drzewko małej mojej siostrzyczki; smutne opowiadanie na długo rzewność w duszy mojej zostawia; kąpię się w wodach stawka pod młynkiem, i upajam się woniami jażminu, w wazonie pod oknem matki stojącego; nikomu nie niewydzieram i na cudze się nie zasadam, a swoje chętnie oddawam, lub zbliżnim rozdzielam. I cóż mię to ma obchodzić, proszę was panowie, abym zła stronę ludzka obierał i łajał o tém, świadome a nieciekawe rzeczy? Swiat tak się nie oczyści, jakim go widział za mlodo; w młodzieńczem sercu wszystko się widzi przez pryzme miłości i cnoty, około południa życia pryzma ciemnieje i dwu znacznie pokazuje... Ale zajdźmy do sasiedzkiej chatki.

Gaik nie wielkich olszyn , jak zielone stadko rozścielał się po kwiecistej dolinie, skropionej wodami szumnego pradnika, — ale to bywa na wszystkich krancach ziemi; przy gaiku samorodny plot, i samotna chata , wieśniacza szczęśliwa siedziba! Duch mierności i pokoju króluje w duszy władcy tego udzielnego zamka na wzgórzu. Echo tylko wtóruje głos jego, gwarzy mu ptasząt świcgotanie, szumi potok po kamykach, a lasek tajemniczo szeleści listkami osiny. Władzcy domku się cieszą w cichości ze swego szczęścia. Sam gospodarz ma laskawego konika ; mały ten rumaczek kusy podkasał; co dnia regularnie wchodzi do sieni, i pokazuje przez drzwi swoją główkę wesoła, jak z końskiej mównicy Goliwera. Gospodyni ma swoją krówkę laskawa ; ta jej wieczorem wracając z pastwiska zachodzi drogę i lekkim porykiem prosi, aby wzięła mleko od niej, a wesołe cielatko becząc podskakuje za nią. Latem, wiosną, w ukojonej, czystej wiejskiej ustroni, wszystko jest naiwne, harmonijne, głos wszelki jest to dźwiękiem życia i kochania.

Zwróciłem ku chatce, lecz nie zaszedłem do niej. Dość obrazu widać było zewnątrz, skrzyknęły drzwi u chaty: «kto żyje!» zawołał głos silny, donosny, i z ciemnej izby wysuwa się w odstaw-

nym wyszarzanym mundurze, pan bakałarz wioski, utrzymywany przez lepszego z mienia kmiotka, z pozowaniem głowę skłaniając. Na robocie, mówi, wszyscy, ja zostałem sam jeden, i oto przeczyczałem mój stary pistolet, którego niezamienię na wszystkie elementarze na świecie.

Tym czasem dziecko siedząc w koszulce przed progiem domu, postrzegłszy zbrojnego gościa, przełknięte woła w języku litewskim: *Niejera Motu-łaj!* Biedne lękało się aby gość zbrojny nie zabił matki, której pierś niedawno ssało.

Odszedłem, a widząc stado wróbli, wypijających ziarenka z pszenicznych kłosów, strzeliłem, a gdy chłopak gospodarza pobierał spadające z przepłotu szkodniki, głośno żalowałem, że nie stało naboju, aby nabić drugi raz strzelbę; słysząc to chłopak, przyniósł mi garść pakni, mówiąc: «u nas onegdaj zostato się trochę od żołnierza, to proszę pannie!» i podał mi swój proch. Przyjąłem i nauczyłem malca, co proch, a co kłaki. W ubogiej chatce podają nam miasto prochu kostrzycę, przez niewiadomość; w bogatszych salonach obdzielają nas osadem brudnych nczuć przez egoizm; i słowa ich tak nie sycą serc czuć umiejacych, jak pakula żelaznej luftki. «Guwernerze, rzekłem: byłeś wojakiem, a dzieci twoje nie wiedza co proch.»

— Jak pożyja na świecie, to sami się nauczą, odpowiedział, doświadczenie najlepszy nauczyciel, a świat i bez nas złego nauczy.

Przeszedłem kroków kilkanaście — i usłyszałem grobowe śpiewanie w sąsiednim domku, u drzwi siedzi na ławeczce młoda kobieta, z głową na ręce sklonioną, z oczami łez pełnemi i głośno wyrzeka. Drzwi do ciemnej komory otwarte, zajrzałem do niej. Na tapczanie leży ciało wieśniaka, w szara obleczone koszulę i obyczajem litewskim, przepasane skurzanym pasem ze stalową sprzączką, nad ciałem kiwa się kosooki, wychudły człowiek, w długiej wynoszonej oponczy, a obok stara modli się kobieta. Na łóżku przy ścianie siedzi dwójka małych dzieci i cicho płaczą, jak para strudzonych wrzaskiem gołębiat, co drząc cicho skrzydełkami, głuchy stęk wydają. «Umar!» w jeden głos zawołały do mnie; pojechał, łowić ryby na stawie, a wiatr wywrócił czółn jego — woda przyniosła nieżywego do brzegu, a my siostry płaczem po naszym tatuli.» . . .

Poszedłem dalej, bo dzień był pogodny, słońce wzbijało się już ku południowi, i wszystko wzywało do przechadzki. Patrząc, na dziedzińcu małego dworka stoi wozek ładowny, a koń żuje z nawieszzonego na pysku worka. To xiądz proboszcz

z parafij po kołędzie z opłatkami przyjechał. Gościnne gosposie starały się zasłużyć dobremu księdzy: ta niosła gęś szarą, owa srokatego prosiaka, tamta czarnego barana, xiadz proboszcz odwdzięcza za to w kościele, chrzci im dzieci bez платы, spowiada, uczy świętej wiary i lubi swoje parafialne owieczki. Witaj mi księżu Piotrze, i pośpieszaj do chatki na wzgórze, bo odszedł z tego padolu biedny pielgrzym, a mogiła na dwóch razem czeka, na nieboszczyka i jego płaczkę. Idź i otrzyj lzy słowy kapłańskiem: «Niech się stanie wola Boża!» — rzekł i pośpieszył ku stronie którąm mu skinieniem wskazał.

Poszedłem dalej. Starzec letni, rysów szlacheckich siedział na progu chaty i plotł łapcie z lipowego łyka: pochylił głowę ku robocie, bo miał wzrok osłabiony, cisza letniego wieczora panowała do kola; słońce dokonywało swego pędu po nad ziemią i nikło dla oczu człowieka. Przywitałem go imieniem Bożem; starzec podniósł w górę głowę, wspaniała patryarchalna twarz jego była jak pałac w którym okna zakryte: «Niewidzę już rzeczy, ale po głosie poznałem dziecko mojego kochanego pana, dziękuję dobry paniecu żeś mię chorego odowiedził. Oczy mię dolegają boleśnie, za długo na świat patrzyłem, dziś tego świata nie widzę, ale

opatrność dozwoliła mi myślą świat inny oglądać, w nim dusza moja dzisiaj szuka otuchy. Czuje zapach kłosów, który z powiewem wiatra dolatuje mię z pola, a ciepło słoneczne ogrzewa mię promieniami swemi. Modłę się za dom panów swoich i dobre ich dzieci... niech też kiedy panienki zabiegna do mojej chaty; uplotłem dla nich dwa koszyki z wierzbowych gałązek, nie męcz ich xiażkami, pozwól do bliźnich się zbliżyć i poznać ich, to więcej nas kochać będą i więcej zwykna się z prawda. A ciebie paniczu niech Bóg błogosławi i prowadzi po ścieszczach świata tego.»

Razniej się bieży przez pola, kiedy cię prowadzi opieka szczerego błogosławieństwa. Bliźni i mistrz, zarazem przemawiają w ubogim kmiotku, zbierają się ku jednemu celowi.

Otoż i szosta chata przedemną; cóż wam powiem panowie, przy końcu całodziennej podróży mojej? Oto, jeżeli zechcecie posłuchać smutnej powieści serca mojego, dopowiem wam innym razem, a dopiero dopełnię tylko obrazu chat sześciu, którym sobie na tytule położył.

Przy zbiegu praduika i stawka, stał domem na wzgórzu, do koła zielonym otoczony sadkiem domek jak zwykle litewskiego szlachcica, zdraniczym dachem i dziewiczym ogródkiem pod okuami;

w ogródku zieleniły się ruta i boże drzewko, tni-pany, mieta, piwonija, mak polny i stokrotki, nie odstępne towarzyszki dziewczyny litewskiej; z powiewem wieczornego wietrzyka, kwiatki tchnęły przed nocą wonią, poczuwając rosę padającą w ich łono, a jabłonki i śliwy kołysały się w sadku, wakając swe złotawe zwoje, komary w wesolem promieniu brzęczały w okolo domku. Wiele czułem, wiele marzyłem dnia owego, młode serce moje pragnęło spocząć na lubym obrazie.

Wszedłem, lecz w domku nic nie było nikogo. Gdzie? — poszli na smętarz. Zwróciłem i gdym się zbliżał ku mogiłom sąsiedniej wioski, słońce miało się ku zachodowi i zmrok tak szybko zapadający w porze letniej, prawie zalegał już na cichej przestrzeni niebios. W gęstwinie zarośli i na gałązkach po nad grobem rozlegał się wieczorny śpiew żółtej trznadli, tak charakteryzującej wieczor spokojnej wsi litewskiej, ptaszek kwilił sobie, nietroszcząc się jak kto spoczywał pod nogą jego, Ulubował o sobie zieloność i spokój tych miejsc wiecznego spoczynku, bo pod murawą, na ziemi mogił znajdował obfite plony dla żeru.

Niknący promień słońca, słabo jnż oświecał nieruchomą jakąś masę, ruszającą się pod grobowym kamieniem, na starożytnym kurhanie, zaję-

tym zagroda smietarza. Był to starzec, a w okolo niego rumienilsje obraz jakis, jakas postac ksztaltna, siedzaca sród bujnego zielska mogil. Nagle powstala, i lekka stopa unoszac sie w okolo krzyzów, lowila motyle, który zruszony mojemi krokami, nlatywał z grobowca na grobowiec, i właśnie złowionego niosła, gdym sie przyblizal do starca. Najprzód uderzył mię ten prawdziwie malowniczy i poetycki obraz: motyl, dziewica i groby, trzy ideje porzadku towarzyskiego i trzy symbole znikomosci rzeczy ludzkich! Jednakze moje filozofowanie prysło jak lod przed sloncem, skorom spojrzal na twarz dziewczęcia; — po kilku minutach rozmowy zdawalo sie ze w okolo mnie rajza kwitl... Próżno wam mówić co dalej bylo — wiecie to sami jezeliście szesnasty rok przeżyli — zwykle dzieje kazdego mlodego serca.

Dzisiaj kiedy od tej przechadzki trzy gwałtowne lata już zbiegły, kiedy los moją nawą, a namiętności rudlem, rzucony zostałem w kraj samotny, daleki, między obcych mi duszą; kiedy jak Arab pustyni, co pragnieniem palony pogląda na susz, ciskam wzrok okolo siebie znajomego oblicza szukając, kiedy wytlaly i skolatany duch mój, sklania sie i ucisza, jak bujny sokol w swaj nieczynnej starosci; — dzisiaj wolno mi i miło myślą i pamie-

cia powrócić do tych miejsc ukochanych, gdzie
 poczynając wiek burz, slyszal jeszcze rzeczy staro-
 dawne i sycil mlodziencza dusze marzeniami, nie-
 pomny na dzien obecny... Dusza! wtedy zwyciel-
 ka, a dzisiaj mistrzyni! Wtedy zdroj plynacy jak-
 by dla zgojenia ran swiata, dzis pole zeschle, na
 ktore nieraz i rosa darmo upada.

LUDWIK DAWYD PODBERESKI.

w Moskwie.



KURHANY,

BALLADA.

**Słońce pali za obłoku,
 Wstrymaj konie, tu wygodne
 Miejsce w cieniu, konie, głodne,
 Daj im spocząć, daj obroku,
 Tu i woda niedaleka
 Wraz przy karczynie plynie rzeka.**

**Jakie piękne tu widoki —
 Tam jezioro, a tam góry,
 A tam drzemie bor ponury,
 Na równinie dąb wysoki,
 Lasem zarosłe kurhany,
 Blisko kościół murowany.**

Starzec wiekiem skolatany,
Idzie z pola tu na drogę—
«Powiedź starcze, czyli mogę
Wiedzieć jakie to kurhany?
Może Krzyżaków mogiły?
Czy tu wojny kiedy były?»

—Zdawna mówia i dowodzą
Z opowiadań różnych znaków
Że mogiły to Krzyżaków,
I broń rdzawa tu znachodza.
I powiedział mi zdarzenie
Straszne na samo wspomnienie.

W dawne czasy, powiadają,
Żył tu jakiś cudzoziemiec:
Czy on Francuz, czy on Niemiec,
Już tego niepamiętają.
A mówia że i w niedziele
Nigdy niebywał w kościele.

Nie lubili go sąsiedzi,
Bo jakoby całe życie,
On miał związki z czartem skrycie,
Potem umarł bez spowiedzi,

I miał zbyt okropne lice,
Każdy odwracał żrzeniece.

Straszne zwłoki lud odziewa,
Już do trumy go włożono,
Xiadz kropi woda świecona
Requiem eternam śpiewa,
I trumna przy głosie dzwona,
Do kościoła odniesiona.

W owej porze przy kościele
Od kurhanów niedaleko,
Tam młodzieniec żył za rzeką,
Ten wszystkiemu przeczył śmieie,
Zuchwały, żywy, uparty,
I z upiorów stroił żarty.

Rzekł kolegom: «wprzód nim krzykiem.
Kur w północy z pustych gmachów,
Powypędza nocnych strachów,
Pożartuje z nieboszczykiem,
Włos wystrzygę jemu z wąsa
Niech się upior na mnie dasa.»

Gdy powiedział temi słowy,
Chociaż było niebezpiecznie,

Chciał wypełnić to koniecznie
Bo był człowiek honorowy,
I w nocy nie myśląc wiele,
Drzwi odemknął — już w kościele.

Tu napada jakaś trwoga,
Wszędzie glucho, w okno wpada
Od zieźyca światłość blada,
On sam jeden, więc do BOGA,
Krucyfix z ołtarza bierze,
Uklakł i zmówił pacierze.

Krzyżem świętym uzbrojony,
Zbliża się do nieboszczyka
I drżąc trumny wierzech odmyka —
Przed nim trup czarny, spalony,
Oczy ma wpadłe straszliwe,
I dwa stercza wasy siwe.

I ledwo się dotknął wasa,
Upior ręką za was chwyta,
Błyska okiem, zębem zgrzyta,
Wstaje i głowę potrząsa—
Ten choć w strachu w biegu skory,
Drzwi zapomniał więc na chory.

**I na wschodach tam młodzieniec
 Krzyż położył; npior bieży,
 Lecz obaczy że krzyż leży —
 Krzyża bał się potępienie,
 Wraca i pośród kościoła,
 Tak okropnym głosem wola:**

**«Wstańcie dusze potępione,
 Świat straszyle wasze życie,
 Teraz duie i nocy śpicie
 W tych kurhanach pogrzebione,
 Wstańcie krzyżackie upiory,
 Szturmem wejdzim na te chory.»**

**Zadrzały kościelne ściany,
 Bo tak siluy był głos jego
 Jakby traba dnia sadnego,
 Popekały się kurhany,
 W głubej smetarza wnętrzości,
 Stukają trumny i kości.**

**Powstają larwy, skelety,
 Z nosów i z kościstej gęby
 Sypie się piasek przez zęby;
 Trumny i rdzawe sztylety**

Niosa idac przedkim krokiem —
Xieżyć skrył się za oblokiem.

Larwy straszne na spojrzanie,
Cały kościół napelniaja,
Trumnę na trumnę wkładaja,
I po trumnach jak po ścienie,
Do młodzieńca tam na chory
Laza okropne potwory.

On anielskie pozdrowienie
Mówiac, gdy rzekł Jezus imie,
Lecą w doł koście olbrzymie,
Pada całe uzbrojenie,
Wala się trumny zloskotem,
Zagrzmiał cały kościół grzmotem.

Lazurowa idac droga
Gwiazdy skryły się za chmury,
Z chmur niekiedy xieżyć zgóry
Spojrzał na tę scenę z trwoga,
Tam się sowy stadem tłumia,
Nad smetarzem skrzydłem szumią.

Lecz już na nogach skelety,
Trumne na trumnę wkładaja,

Szturm na nowo zaczynają,
Miecze rdzawe i sztylety
Niosąc, zemstą grożą sroga —
Krzyż i modły niepomoga.

On anielskie pozdrowienie
Mówiąc, gdy rzekł Jezus imię,
Leca wdół kości olbrzymie,
Pada całe uzbrojenie,
Wala się trumny z loskotem,
Zagrzmiał cały kościół grzmotem.

Już i trzeci szturm gotowy —
Lecz półnoocy czas upływa,
Znagła kogut się odzywa,
Kości, trumny, trupie głowy,
Grzmia padając w wielkim pedzie,
I głuche milczenie wszędzie.

Błysnął rannym dzień promieniem,—
Za umarłych w świętej wierze,
Xiadz cicho mówiąc pacierze
Tam przychodzi, z podziwieniem,
Z trwogą wchodzi do kościoła,
Zimny pot wystąpił z czoła.



r. R. Lukowski

Marhany.

<http://rcin.org.pl>



<http://rcin.org.pl>

**I lud ze wsi zgromadzony,
Gdy zobaczył te skelety,
Trumny i rdzawe stylety,
Patrząc bledniał przełęczniony;
U każdego serce drżało,
Choć niewiedział co się działo.**

**Widzą młodzieńca na chorze,
Bez pamięci, nic nie gadał,
Gdy wyzdrowiał opowiadał
O tej strasznej nocnej porze,
Odwagę swoją przeklinał,
Drżąc o krzyżakach wspominał.»**

**Skończył starzec opowiadać —
Ja na kurhany spojrziałem,
Smutną przeszłość wspominałem,
Kazałem koni zakładać,
Dalej w drogę! lepiej służy,
Czas wieczorny dla podróży.**

J. BARSZCZEWSKI.

L I S T 2gi.

Do A. P.

Po wyjeździe z Zielonego byłem w Ł...ch i tam żyjący jeszcze kwaterowałem u nieboszczyka; od którego bardzo mile byłem przyjmowanym. Co za piękna okoliczność dla ballady!... Pewnie się spodziewasz dowiedzieć bardzo dziwnych rzeczy. Same słowa: *«kwaterować u nieboszczyka»*, mają w sobie coś, iż tak powiem, *balladycznego* i przypominają całe historie o widmach, duchach i upiorkach.

Jakie zabawy, jakie oczty u mieszkańców drugiego świata, nie raz już autorowi godni wiary podali do wiadomości publicznej:

Nie pyszny, nie okazały,
 Domek ciasny, domek mały,
 Ziemia i darnia pokryty,
 Naświerzchu stoi krzyż wbity;
 W domku gospodarz spokojny
 Z nikim nie prowadząc wojny,
 Jak żeglarz po długim biegu,
 Spoczywa dopadłszy brzegu.

Tak jest: spoczywa!... ale tylko we dnie, jak modna dama — w nocy zaś zupełnie co innego!

Bo o północy, aż nim kur zapieje,
 Odprawia różne harce i turnieje,
 Hasa po świecie, po domach się tłucze,
 Niczem dla niego zapory i klucze;
 Lecz w pustkach, albo gdzie zamków zwaliska,
 Szczególniej swoje wyprawia igrzyska.

Często gdy humor napadnie wesóły
 Zabrawszy w Bogu zesze przyjacioły,
 Śród smentarzowej zagrody
 Wesole sprawuje gody.

Gdy błądny promień księżycy,
 Słabem światelkiem przyświeca,

**Wiażąc się w skoczne łańcuchy
Tańcza po mogiłach duchy.**

Na tém nie koniec!

**Niech by się npiór sam cieszył i bawił
A nam żyjącym spokojność zostawił;**

**Lecz często jego nieboszczykowskiej mości przy-
pada ochota bawić nas, mieszkańców tego świa-
ta, i pospolicie dość niezgrabnie: gdyż zwyczajnie
wiecej w tém bywa strachu niż czego dobrego.**

**Często się w nocy wydarza,
Gdy jedziesz mimo smentarza
Z mogiły upiór wyskoczy,
Z ust mu płomień, skrzy się oczy;
Nastraszy ludzi i koni,
I nim wpadniesz do wsi, goni.**

**Czasem się zdobywa na lepsze i dowcipniejsze
koncepta, i w tym razie można sądzić, iż one po-
chodzą od upióra lepszego tonu:**

**Gdy podróżny w nocnym mroku
Z bitego gościńca zboczy,**

Nie wie kedy pomknąć kroku,
Dokoła się wszystko mroczy—
W tém światelko w oddaleniu
Miga przed nim w nocnym cieniu.

Więc ku niemu co najchyżej
Ochotny podróżny śpieszy;
Światło bliżej, co raz bliżej
Milym go widokiem cieszy
Wreszcie widzi dwór wspaniały,
Jasno oświecony cały.

Lokaje w barwie od złota
Otwierają mu podwoje;
W pałacu szumna ochota,
Plona od ogniów pokoje,
Gości tłum, pełno wesela,
Brzmi chor śpiewów i kapela.

Pan domu pełen ludzkości,
Sam go na salę wprowadza,
I pośród wesolych gości
U stołu przy sobie sadza.
Podają potrawy, wina,
Po uczcie bal się zaczyna.

Tchna radością wszystkie twarze,
 Goście poloneza stali;
 Nasz podróżny w pierwszej parze
 Zatacza koło po sali,
 Zarzuca wylot knntusza
 I was kręcąc żwawo rusza.

Już kilka razy do kola
 W tańcu salę okrzygli;
 Szumi gromada wesola,
 Aż w tém spojrzysz: w jednej chwili
 Mężczyzni, strojne kobiety
 Wszyscy się mienia w skelety.

Sam za rękę trzyma stracha;
 — «Wszelki duch!» strwożony krzyknie.
 W tém śmiech w sali: («cha cha, cha cha!»)
 Tłum gości i pałac niknie
 Koniec tańcom i ochocie. . . .
 A podróżny siedzi — w błocie!

To koncept, jak na nieboszczyka, jeszcze jeden z najgrzeczniejszych, i dowodzi, jak mówiłem, nieboszczyka lepszego tonu. Mógłbym przywieść wiele drugich daleko mniej grzecznych, lecz teraz nie mam czasu. Później, jeśli się podoba, a wena po-

służy, mogę opowiedzieć jeszcze kilka wydarzeń w podobnym i w różnym guście; a teraz muszę powrócić do nieboszczyka, u którego kwaterowałem i o którym, chociaż umarł w Petersburgu i w parę tygodni po swej śmierci przyjechał pocztą do Ł... nie podobnego napisać nie mogę. Nieboszczyk ten zupełnie jest różnego od opisanych rodzajów. W dzień się bawi swa robotą; w nocy zaś śpi smaczno i od czasu swej śmierci aż dotychczas nikomu jeszcze żadnego figla nie wyplatał. Nikogo nie straszy; nikt się go nie lęka; a wszyscy znajomi kochają. Słowem chcąc pisać o nim baladę trzeba wszystko od początku do końca zmyślić; czyli postąpić tak, jak postąpiono u nas w policzeniu w liczbę nieboszczyków szanownego pana S...tta u którego gościłem i któremu sam opowiadałem o tragicznej jego śmierci, gdyż wieść o niej nie była jeszcze doszła do jego uszu. To prawda że rękę złamał w ramieniu i jeszcze biedak jest cierpiącym i to zapewne podałoby powód do ułożenia nowinki o jego śmierci.

Sa niektórzy nowiniarze,
 Którym słodko, miło, błogo
 Gdy o śmierci, lub pożarze
 Opowiedzieć drugim mogą.

Nie ma nowin—trzeba tworzyć!

W wynalazki płodna głowa

Potrafi spalić, zamorzyć,

A tak nowina gotowa! . . .

GAUDENTY SZEPIELEWICZ.

PRZYSIĘGA.

BALLADA.

W górze pełny księżyc płynie,
 Gorejących gwiazd gromady —
 Żołnierz stoi na dolinie,
 Przy nim chodzi rymak gniady.

Żołnierz smutny — Nina młoda
 W jego myśli tkwi głęboko,
 I rozkoszna jej uroda,
 I głos słodki, czarne oko.

«O Nina, Nina! Jeżeli
 Ja zapomnę wdzięki twoje,

Niech niebo piornnem strzeli,
W to niestate serce moje.»

I klątwe takim wyrazem
Wymówić trwogi nieczuje,
Jeszcze na debie żelazem
Niewierne słowa rysuje.

Wtém zadziwiony postrzega,
Jakby aniołek skrzydlaty,
Z gestwiny dziecie wybiega,
Nie depczac ziola, ni kwiaty,

I żołnierza ono wita
Zimną mu rączkę podaje,
«Jaki ci smutek, zapyta,
Odpocząć w północ niedaje.

Chodź ze mna, porzuć żal srogi,
My niedaleko mieszkamy,
Chciej nasze odwiedzić progi
Chodź ze mna do mojej mamy.

Cierpienia i ciężkiej trwogi,
My teraz nigdy nie znamy,

Domek nasz ciasny, ubogi;
Chodź ze mną do mojej mamy.

Tam odpoczynek jedyny,
Smutna myśl serca nie więzi;
Wabiąc sen w głowach jedliny,
Szumią gęstemi gałęzi.

Chociaż ukryci od świata,
Już tam lat kilka mieszkamy,
Minuta leca nam lata —
Choź ze mną do mojej mamy.

Chodź zemna» — bezdrożne kraje
Xięzyc oświeca promykiem,
Żołnierz mu rękę podaje,
I idzie za przewodnikiem.

Na górze stara kaplica,
W około jodły, kamienie,
I blade gasna xiężyca
Na smntnych grobach promienie.

Tam żołnierz widzi zdziwiony,
Osobę stojącą w bieli,
Wzrok jej ku ziemi skłoniony;
I twarz poznaje Adeli.

Tnąc swe dziecko do łona
Oczy ku niebu podjęła,
Żołnierz chciał mówić — w tem ona,
Jak mara senna zniknęła.

Niema dziecięcia, dziewicy,
A tylko śmierci wspomnienie—
Czarnieją ściany kaplicy,
Krzyże, mogiły, kamienie.

Grzmot się zdaleka odzywa —
Trwoga mu serce dotknęła,
W pamięci klątwa fałszywa,
Niewierność w myśli stanęła.

Prędko tam kroki kieruje,
Gdzie koń był pośród doliny,
Gdzie nadpis niebu wskazuje,
Dąb co był świadkiem tej winy.

Już przyszła sadu godzina,
Piorun z obłoku uderza,
Drzewo na części rościna,
Zabija z koniem żołnierza.

J. BARSZCZEWSKI.

DAWNIEJ I DZIŚ.

Słyszałem nieraz od mojego dziada,
 Słyszałem nieraz od mojej babuni,
 Słyszałem od ojca—starca sasiada,
 Od wielu innych — wreszcie od ciotuni:

Że świat kiedyś był sforniejszy
 Względem cnoty, zacnych czynów,
 Mniej fałszywy — pobożniejszy,
 Pracowitszych rodził synów.

Otoż chcę napisać o tém
 Co z ust starców płynie nieraz;
 Słuchajcie! (puszczam się lotem)
 Wiersz pod nazwą: «Dawniej — teraz.»

Tylkoż — gniewać się nie wolno,
 O! w gniewie bądźcie ostrożni!
 Wielmożni! Jaśnie wielmożni!
 Oceńcie pracę mozolną!
 Wszak to o tych tylko mowa,
 Co zwierciadł prawdy nielubia,
 Co się w złych nałogach gnia,
 A o dobrych? ani słowa.

*

Dawniej — xieża wierni, stali
 Bogu, powołaniu, cnocie,
 Śluby swe dochowywali
 W niepokalanej prostocie,
 Wiare w Chrystusowych dziełek
 Podniecali naukami,
 A i własną naostatek
 Wytrwałością, przykładami.

Teraz? — czas, co przyszłość stracił,
 Co chce wszystko świata brać,
 Widocznie przadek zmacił —
 Każe habit maską zwać.

Dawniej — żołnierz nie był głuchy
 Na głos wojny tworzył cuda;

Nie tracił nigdy otuchy,
 Czy się uda — czy nieuda;
 Miecz jego jak mógł tak raził,
 A wyższy nad śmierć i blizny,
 W obliczu własnej ojczyzny,
 Niczem się nigdy nie skaził.

Teraz? — żołnierz nie tak śmiały:
 Gdy wypadnie w pochod iść,
 Blednieje — ze strachu drży cały
 Jak gałaska, lub liść.

Dawniej—byli marynarze
 Śmieli do nie uwierzenia,
 Choć się Eol i poswarzy
 Wiedli z nim walkę bez drżenia;
 Bój owszem zapal w nich rodził,
 Ów — wzniecał się bez ustanku,
 Wreszcie wróg z placu uchodził
 Zostawijac ich bez szwanku.

Dziś? — majtek na oceanie
 Mniej przytomny w czasie burz;
 Szczęśliw gdy u portu stanie
 Jednem słowem, i on tchórz.

Dawniej — urzędnik nie marzył
 Jak skorzystać z obcej biedy,
 Sprawiedliwość zawsze ważył,
 Na szale świętej Temidy;
 Znał się na tak zacnych godłach,
 Bronił prawość, dobre mienie,
 I powtarzał w swoich modłach,
 — «Nie wódź nas na pokuszenie.»

Dziś? — urzędnik plaga sroga,
 Zgoła nie zna biednych spraw;
 I dla tego prosi BOGA:
 — «Daj możniejsze, od tych zbaw.»

Dawniej — patron jak mógł trzymał
 Stronę swego mecenasa,
 Ze złości dręczył się, zzywał
 Gdy bywało wróg go hasa;
 Nikogo nigdy nie zdradzał,
 Zaufanie umiał cenić,
 Snadniej ku dobru przesadzał,
 By się potem nie rumienić.

Dziś? — dwuliczne adwokaty
 Niedziedziczą nczuć tych,

•Precz sumnienie—hej dukaty!•
Ot — systemat nowy ich.

Dawniej — zgubnych gier nieznali,
Stosa ani faraona,
Gdzie snadnie fortuna kona,
A zgrany — wleń sobie pali.
Gra była, ale nie nasza,
Nikt się nie bał przeciwnika,
Et — cieli sobie w marjasza
Kwindecza, kiksa i ćwika.

Dziś? — umieją podła zmowa,
Podła sztuka wszystko brać;
I dla tego grę kartowa
Teraz kunsztem każą zwać.

Dawniej — przykładni mężowie
Powołaniu swemu stali,
Tak uczynkiem — jak i w mowie
Nigdy żonek nie zdradzali—
Miłość, szczerłość, czyste tchnienie
Obludy żadnej nie znało,
A następnie — to nasienie
I w synach się wyradzało.

Teraz — inny czas i moda
Nie te serce, nie ten ślub :
Padła trupem święta zgoda,
Maż przy żonie zimny ślup.

Dawniej żona była rzadna,
Nie płocha — lecz owszem wierna,
Z mężem swoim zawsze zgodna,
W cznociach tkliwa, w strojach mierna,
Dobra pani, dobra matka,
Bogobojna, skromna, cicha,
Zacna, uczciwa sasiadka,
Słowem bez żadnego licha.

Dziś — o strojach, balach marzy,
Co krok spazmy, mdłość co krok,
I chce dowieść, że do twarzy,
Biednemu mężowi rog.

Dawniej — niewinności święta!
Nic droższego od cię zgoła:
Tyś podobna do anioła,
Ach! jak zacna twa ponęta!
Tyś dzierżala w twojej wierze
Królów, xiążąt, szlacht i gminy,

**A tobie dawniejsze syny,
Skladali serce w ofierze.**

**Teraz — niewinność też nami
Rzadzi, jak się godzi jej,
Ale mówiac między nami;
Mniej ołtarzów — ofiar mniej.**

**Dawniej — kochanek zbyt szczery,
Pałał miłością prawdziwą,
Bo miał duszę czystą, tkliwą,
Bo nieznał dziwactw Wenery.
A i kochanka wzajemnie,
(Gdy już czas dzieciństwo złamał,
Uśmiechała się przyjemnie,
A uśmiech — sercu nie kłamał.**

**Teraz — miłość swawolnica,
Moc jej skradł przeszłości loch,
Wionie gdyby błyskawica,
Pryska jak leszczyński proch.**

**Dawniej — świat bez żadnych granic,
Wylewał się dla przyjaźni,
Los swój własny liczył za nic.
Gdy los stał druhowi kaźni,**

Przyjacielska ściągał rękę
 Chcąc powściągnąć nieszczęść hole:
 Równy z druhim dzielił mękę,
 Równy z druhim dobra dołę.

Dziś — nie tak przyjaciel dyszy,
 Choć ma wiecznie kochać nas
 Póki szczęście towarzyszy,
 A w nieszczęściu — zmyka wraz.

Dawniej — jak w panach tak w gminie,
 Tkwił zawsze pokój domowy;
 Ojciec — syna widział w synie,
 Syn — cenił ojca czynem, słowy.
 Żadnej piekielnej zgrzyoty
 Nie było w kole rodziny,
 Dzielił raz kłopoty,
 Dzielił szczęścia godziny.

Teraz — szyk przyjęli nowy,
 Jak panowie tak i gmin —
 Toczą często bój domowy,
 Ojciec z synem — z ojcem syn.

Dawniej — młodzi wychowanie
 Było dzielne, nie szalone,

(Jak mi mówi moje zdanie:)

Mniej języczne, mniej skażone,

Jeden język — lecz krajowy,

Jednych nczné, duszy jednej.

Mieli także rozum zdrowy,

Który nieznał myśli błędnej

Dziś — wychowanie takowe

Zgąsto w skutek marnych głów—

Cmia języki narodowe,

Cudzoziemskich nczą słów.

Dawniej—nauczyciel wierny

Zawsze powołaniu swemu,

Był przy młodzi jak oddzwierny,

Sposobiąc ja ku dobremu,

Gromił każdy krok mniej prosty,

Karcił każde uchybienia

Wstecz Boga, cnoty, sumienia,

Starząc w potrzebie i chłosty,

Teraz — i ów z cnoty szydzi,

Nauczyciel z uczniem brat,

Pierwszy błądzi, drugi widzi,

Drugi potem idzie wślad.

Dawniej — sługa nie kradł wcale,
Bywał karny i cnotliwy,
Nie ospały nie leniwy,
Służył panu wiernie, stale.
I pan wzajemnie bywało,
Jemu oczu nie wypieka,
Nagradza dłonią wspaniała,
Bo w człowieku widział człeka.

Teraz — inna rzeczy postać,
Z tyłu naprzód poszedł stan,
Pan zmuszony sługa zostać,
Z sługi nowy świeci pan.

Dawniej — rolnik wielce cenił
Plon, trudami przysporzony;
I dla tego się nie lenił
Wyrabiać wdzięczne zagony.
Dobroczyzną bowiem ziemię
O ile mógł pielegował,
Pracę nie liczył za brzemię,
Za wszystko Bogu dziękował.

Dziś — rolnik na rozum bierze,
Sieje często w deszcz i chłód,

Co wprzód ważył, teraz mierzy;
W końcu cierpi pustki głód.

Dawniej — Bacha tak nieznali —
Chyba kto dzień jaki święci,
Lecz i wówczas niestradali
Ni rozumu, ni pamięci.
Hoźość, czerstwość, męstwo, zdrowie,
W duszy — w sercu ognia siły;
Przyzwoitość w czynach, mowie,
Naszych przodków godłem były.

Teraz — Bachus zabrał górę,
Wygrał moralność ów gość,
Wcielił się w ludzką naturę —
Skąd w głowie i sercu czezość,

Dawniej — nie tak była czynna
Dusza nikczemnych lichwiarzy,
Nie tak krętna, nie tak zwinna,
Bo wierzyli że Bóg karzy.
Choć i w ów czas byli tacy,
Co gwałcili święte zdania,
Przecież mniej się nieboracy,
Zuali w sztuce maskowania.

Teraz — lichwiarz się krzyżuje,
Łzy mu wznieca każda msza,
Jednak nieodpokutnje,
Biorąc — czterdzieście od sta.

Dawniej — babuń obraz miły,
Dbał o życie wiekuiste,
Za każdego się modliły,
Nabożeństwo było czyste,
Światowej burzy nie znały,
Cel był święty — święte tchnienie,
Tam ich myśli ulatały
Gdzie Twórca i gdzie zbawienie.

Teraz — języczne dewotki,
Po rozańcu wraz za broń,
Rozsiewają wszędzie plotki,
A jakie — o Boże broń!

Dawniej — oszust więcej broił,
Bo nie równie miał mniej braci,
Czasem zyszcze, czasem traci,
Ze źródeł które uroił.
Świat się na nim znał nie wiele,
Świat był szczery, szczerłość sławił,

**Więc i jego przemysł śmieie
Zdradne sidła gdzie mógł stawił.**

**Dziś — i oszust ginać mnsi,
Bo się ich namnożył rój,
Cóż za djabeł jego kusi —
Gdzie nie pomknie wszędzie swój.**

**Dawniej — próżne fanfarony,
Rzako się dawali widzieć,
A jak jest to cech szalony,
Każdy umiał nim się brzydzić.
Bo jakież piętno mu sprzyja?
Wzgardy — me pióro odpowie,
Wiatrem tchnie — wiatrem się zwija,
Przez szkło patrzy i pstro w głowie.**

**Dziś — w każdym stanie i losie,
Jest takich paniczów dosć;
Którzy ze szłami na nosie
Chodza jak połknawszy kość.**

**Dawniej — kupiec honorowie,
Jak mógł swoje godło święcić,**

Rzetelny w rzeczy i słowie,
Nikommu nigdy nie skrecił,
Nie wyteżał się nad skałę,
Bo szanował dobre hasło,
Które dla niego nie gasło,
Wierzyli mu wszyscy wcale.

Teraz — kupiec traci wiarę,
Chce mieć chyży w handlach lot,
Najczęściej przebierze miarę,
A dla kredytorów — grot.

Dawniej i możni i wnądzy,
Lekarzom równo ufali.
Tam — do zdrowia za pieniądze,
Tu — za wdzięczność powracali,
Ludzkość dla nich była droga,
A ludzkość? — tłumi cierpienie.
Wierzyli w człeka, i BOGA,
Wierzyli w serce — sumienie.

Dziś — doktorów liczne rotę,
Wcale inny wzięty tor.
Gdzie się zjawia, tam suchoty
Cierpi człowiek, cierpi wor.

Dawniej — nie tak holdowali
 Modzie i cudzoziemszczyźnie,
 Z jakim więc sercem słuchali,
 Gdy krajowiec we flet gwiznie,
 Bodźców dużo — huk pieniędzy,
 Lud był lepszy, lepsze czasy;
 Więc ni flety, ni kontr-basy
 Nie znały tonów zlej nędzy.

Teraz — krajowy artysta,
 Nie wzrośnie na jeden cal;
 Niechaj blahy symfonista,
 Byle Włoch, Giermanczyk, Gall.

Dawniej — trudów nie szcędzili,
 Owcześni znani pisarze;
 Bo pracę godnie cenili,
 Bo świat im wznosił ołtarze.
 Wszelkie zaroby — pieniądze,
 Tak nierozsiewał świat marnie,
 Kształciły się ludzkie żądze,
 Wzbogacały się xięgarnie.

Teraz — xięgarz bankrtnje,
 Zobojetniał całkiem lud,

Klasycznych dzieł niekupuje,
Szyller jemu — ósmy cud.

Już kończę — lećcie w świat — w drogie
Dziatki moje, krotofile,
Zegnam was — macie przestroge,
Która — proszę przyjmcie mile:
Nie lećcie w oczy nikomu
Tam gdzie w sercu Boga maja,
Gdzie siedzą spokojnie w domu,
Gdzie chytrych sideł nieznają,
Gdzie świat widza prawdy okiem,
Gdzie mądrość i ludzkość cenia;
Gdzie cnotę pięknym urokiem
Dla siebie zawsze być mienia.

Zwiedzajcie te progi raczej,
Gdzie nieznają tych prawideł,
Gdzie pod stępem tych mamideł
Trwonią napróżno czas — zdrowie,
Gdzie zdrada i bezrząd w głowie,
Gdzie chciwość powiek nie mruży.
Tam — jak można goście dłużej,
Źle was przyjmą — nic nieznaczy.

**Wreszcie świecie obosiecznie
Za swawolę mię nie karz,
Wszak poeta zmyślał wiecznie,
A dziś — i dziejopis łgarz.**

WINCENTY GOZDAWA REUTT.



MOJE ZIOŁKO POCIECHY.

(w *Albomie Konstancji Odyniec.*)

W Indyjskiej krainie, pod szatą błękitną,
 Na rzecznych spadach srebro się kamienie dro-
 gie;

W czystej nieba jasności tam rośliny kwitną;
 I po lasach wieczystych lecą ptaki mnogie.
Motyle w różnobarwnych snują się kolorach,
Wszystko żywe i piękne w wszelkich czasu po-
 rach.

Bóg ubrał ziemię dla powabu ludzi,
 I oczy się bawia, i kwiaty techną wonie—
Lecz cóż szczytniejsze w nas myśli obudzi,
Gdy myśli rade, w czém dusza utonie?

I w samych ludziach on Przedwieczny wmieścił
Dar, co drugich zachwycił, i bolił i pieścił.

Jest tam ziele Nepentes, i tak utworzone
Iż wiecznie trzyma w swych kielichach wodę,
I całym swoim liściem ku niebu sklonione,
Tęsknemu pielgrzymowi podaje ochłodę.
Mówią, że smutki, troski łagodzi i bole,
Dobra, ciesząca i w pustynnem kole.

A w ludziach w świecie, tu pomiędzy nami,
Czyż wszystko ciernie, czy same zgryzoty?
O nie! — jest kwiat czarowny pomiędzy kwiatami,
I między nami złemi, są lepsze istoty,
Co cieszą młode życie, wyobraźnię stroją.
A raniac nasze dusze, szczęściem razy goją.

Nie byłem w kraju Indji, nie piłem tej rosy,
Lecz w tobie; duszy mojej myśl trawiona bołem,
Brała pokój i świeżość, niosąc się w niebiosy,
I świat się widział znowu Elizejskim polem.
Ach była to chwila szczęśliwa i miła,
Tyś mi Nepentes, tyś mi ja zdradziła.

W samotnym piasku błogo rośnie ziele,
I twoje życie równie cicho płynie;

Niech ze myśl ci umiła biedni przyjaciele,
Co twojego sztambucha zapełnia pustynie.
Moczę pióro w łzie wdzięcznej — przyjm to dobro-
tliwa,
Wszystko co myśli, czuje — dusza ci życzliwa.

LUDWIK DAWYD PODBERESKI.

Wilno 1839.



NEPENTHES.

FANTAZJA.

Rodzonemu bratu memu Ludwikowi poświęcam.

Młoda Indyjanka cała okroplona świętą i czystą wodą Gangesu, odśpiewawszy pieśń chwały Maniton, narzuca lekkie jedwabne tkaniny, opasuje lotne jak u sarny nogi korą błogosławionego drzewa, i motylim polotem, przesuwa się po kwiecistej dolinie, to płacząc się w gęsta i wysoka trawę, to wrywając się jak wesola, skoczna gazelka.

Dokąd śpieszy biedne dziecko skwarne klimatu, zapomniawszy wewnętrznej tęsknoty, śród

uśmiechu ożywionego swawolą lijan, które drobnymi rostkami łowiły jej piękne nożki? kwiaty chciały ją spętać, dziewczę poczuło opór, bronilo się jak kochankowi, czując w głębi serca swego miłość i rodzaj niewinnej radości z pełni życia pochodzącej.

Gdy dziecko igra w promieniu wschodzącego słońca, często za nim tymczasem wre gdzieś daleka burza; wnet podnoszą się tumany, słychać szum warkliwy uragana, straszliwa pomroka otacza nieboskłon, grzmi grom nad głową spokojnego dziecka. Strwożone uciecze pod strzechę, na łono matki, utulić się przed gromem i zmówić pacierze.

Dla młodej Indyjanki jest świat, a niema matki; jest cierpień do woli, a niema żywej pociechy. Jakiś biały tknął dziewczęcego jej serca, zostawił w niem niezgladzony swój obraz, a sam—odpłynął do białych. Nie masz, ktoby przemówił do serca Indyjanki, samotna rozmawia z kwiatami, resztę myśli oddaje Bogu — oto już wbiegła na piasek pustyni, i czegoś szuka nie pewna.

W godzinę, u otworu rokitowej chatki po nad brzegiem uroczystej rzeki, widać było ładne popiersie Indyjanki: głowa ku piersi skłoniona, oczy pełne łez i smutku, tuż obok deska z sandału i na niej jakaś blado-zielona z niebieskimi kielichy ro-

ślina. Ma ona tę własność, że ów co spojrzy na nią, poczuje w sobie uroczną zmianę, jakby ujrzał otwarte niebo, i niegając wewnętrznemu pociągowi musi się zbliżyć i dotknąć samotnego ziała.

Dziewica poduosi krzak, nachyla jeden z jego kielichów — i obfitość kropel zlewa się na jej piers pełną, ręce i kolana. Uśmiechnęła się, zadrżała i jednotonnym, cichym głosem zanótowała te słowa piosnki swojego serca: «Wielki duchu! ja ukochałem cudzego młodzieńca; porwał on moje szczęście, a zostawił boleść. Tyś dało ziele, o bóstwo! co goi rany i słodycza poi serce zakrwawione przez człowieka, czuje twoją moc o królu kwiatów i nieba — bądź pochwalon Maniton!»

Przyłożyła roślinę do serca, ścisnęła z oczami ku niebu wzniesionemi, i wybiegła nad brzeg rzeki, gdzie jej małeńcy bracia barwne muszle zbierali, i bawili się ciskając je do wody; a stary ociec siedząc na kłodzie z wędą zarzuconą w dal kryształową, i zwracając zmarszczone czoło ku odpływającej w oddaleniu fregacie angielskiej, mówił: «Synowie przemysłnego kraju! wieziecie z sobą dostatki, zamieszania i więzy. Już więcej nie ujrza was oczy moje! zabraliście mnie skarb drogi, pokój dziecięcia mego; odtąd nie dla was gościnność proga mego. Uplotę wigwam z ziała Ne-

pentos, aby już nigdy troska doń nie zajrzała. O wielki Mauniton, bądź zawsze nad nami!»

Dzieci, starzec i dziewczica wrócili do wigwamu, i otoczyli do koła posępną i miłą roślinę, oglądając na nią w radośnem milczeniu, z okiem pełnem wzruszenia. Rzekłbyś, że to liście i łodyga osamotnionego dziecka pustyni, było dla nich jakby opiekuńczym bóstwem z jakiej Pagody Indostanu. Wszystko się około niej ułagadza, pijąc rosę z jej kielichów; rosę tę dało niebo na ochłodę i ożywienie duszy schnącej od cierpień i żądź śpićki.

Bóg, ubierając stworzoną ziemię w powaby i ozdoby, rzucił tę ubogą roślinę sierotę w samotniach pustyni, aby rozlewała do koła dobroczynne swe wpływy, jako dzieło jego niebieskiej dobroci. Indyjski pielgrzym, dążąc do świętych wód Gangesa, ażeby obmył się z grzechów, usiada przy niej i koi wewnętrzne żale i trudy mozolnej podróży. Gdy rozpacz zapuści swój rdzeń robaczkliwy w ciało ludzkie, ta jedna tylko religijna otucha zdoła zniszczyć rost jej kolczastych gałęzi — i zbawi serce słabo bijące.

U nas nie ma *Nepenthes* — i któż nam bole nasze ukoi? — Stworzyciel pamiętał o całej ziemi, rozdzielił zło i dobro po równie.

Kiedy dusza zniechęcona zbytami ciała, osła-

bla, strawiona ogniem namiętności, szeptała wewnątrz ciebie, o bracie mój miły! że świat jest złem, a życie nnda — myśliłeś wtedy: nie masz już dla mnie Nepenthes na ziemi! Patrzałeś na malowaną roślinę w potęgę jej nie wierząc. Bez pociechy, rozrywki, z boleścią w duszy, puściłeś się w dalszą drogę — spotkałeś swoją Nepenthes.

Świat przybrał ci się w obrazy, bo uleciała zeń ciemność, w jaką cię pograżyło ostateczne zniechęcenie do niego; zacząłeś jak nowo narodzony istnieć w Bogu, a Bóg istniał w tobie. W szczytnym duchu chrystyanizmu, który dusza poetyczna i wzniosła, umie wypatrzeć w przyrodzie, jak go wypatrzył Szatobrian, znalazłeś piękność i stałeś na wysokości, z jakiej cię strąciły zmysły i mała wola. Otoż znalazłeś Nepenthes tu pomiędzy nami!

A czy to dusza indyjskiej dziewicy, przez kwiat zielny, w kielichach którego obmywa się ze zgrzyzot i smutków — czy dusza ucywilizowanego człowieka przez kwiat miłości, zawsze przechodzi do wiecznego pierwiastku swego — do BOGA! z tamtąd pociech początek, tam znajduje i koniec radości ziemskich. I to Nepenthes jest dla cię nauką wiary: wierz w BOGA, miłuj go, widź ga zawsze i wszędzie przed sobą, czuj się jego stworzeniem,

a zniesiesz burzliwe zapędy namietności, skierujesz ku zacnemu celowi. Gorycz nie zaleje twego jestestwa, bo jasność co je rozświetla, odeprze ją daleko promieniami swemi.

Szukajcie zawsze o ludzie! ziela *Nepenthes*, gdy w smutku jesteście, bo nim się rozraduje duch wasz tęskny: czucie i wiara jest główne *Nepenthes*: ale do nich bardzo często wam tak daleko, jak do Indji. Jeśli pogodzenie was z losem, umiarkowanie chęci, jest w jego władzy— przez to właśnie stanie się ono dla was tarcza od nieszczęścia, zbawi was od tego stanu odrętwienia moralnego, który jest skutkiem rozigranych a nie ukojonych żądź i namietności. Szczęśliwy kto ma w sobie *Nepenthes*! żyjąc nie narzeka na życie, i nie cierpi wiecznej gorączki nienasyconej ambicji i niedających się dościsnąć celów. My ludzie śmiertelni korzmy się przed wielkością BOGA i uznawajmy wpływu Jego niegraniczonej Opatrzności wokoło siebie.

RÓŻA PODBERESKA.

z *Wilkomierzu*.

1841 r.

FANTAZJA.

(Z czasów pierwszego najścia Tatarów.)

Znikł blask tatarskich mieczów w nocnym cieniu,
 Ścichła na polu strasznej wojny wrzawa.
 Tylko po krasnym niebieskim sklepieniu
 Gdzie widać pożar, płynie chmura krwawa,
 Tylko czarnieją ruiny zdaleka
 Bogatych wiosek, i zamków zniszczenia,
 Tam głucho wszędzie, pies wierny nieszczeka,
 Straż nieprzerywa nocnego milczenia.
 Czasem przelata powietrza westchnienie
 Niwy, gdzie wiejskie wydeptane plony;
 Mścisław samotny jak nocne z jawienie
 Błąkał się w smutnych myślach pogrążony,

On już wycierpiał tatarska niewolę,
I widział jeńców tam okropne klęski,
Teraz ojczyzny okropna niedolę
Widzi, gdzie przeszedł ich oręż zwycięzki.
Zamiera serce od ciężkiej żalości,
Gdy o kochance wspomni, gdzie się skrywa
Ludmiła, niema żadnej wiadomości,
Może w niewoli, może już nieżywa —
I w takim zmartwień zostając natłoku,
Rzuca od zbójców wzięta ilość złota,
Dar Batu Chana wiszący u boku
Pnginał lamie i na ziemię miota,
Przekłęty dar ten, dany w złym zamiarze,
Trucizna duszy jego jest w tym darze.
Jedną piosenkę w dzikim wychowaniu
Pochlebców dzwonił głos mu niewolniczy
Uczac, jak szukać chluby w krwi rozlaniu,
Sławy w najazdach, w rozboju, wzdobyczy,
A z tad, gdzie tylko stąpi jego noga,
Gdzie chęć doleci i gdzie dójrza oczy,
Tam cały naród wyniszcza śmierć sroga,
Ogień wsi pali, a krew ziemię broczy.
«Gwiazdo północna, niech twoja zrenica
Wniknie w me serce i dojrzy myśl skryta,
Nie płami duszy chytra tajemnica
Ze jestem żmija, żmija jadowita,»

Tak rzeł, od żalu łza mu z oka płynie,
 Ale pamiątka do serca się wpija,
 I ta jak pajak w ponurej ruinie,
 Czeka i sieci zdradliwe rozwija.

Szlachetna czulość i odwaga męska
 Szlachetne, stałe do celu dążenia
 Ale czas zmienny, pomyślność i kleska,
 Są tajemnicy dla nas przeznaczenia.
 Lecz tam przed tronem którego się lęka
 Ziemia gdy strzały leca błyskawicy,
 Przed tronem Pana tam Ludmiła kłęka
 I łza z anielskiej jej pada zrzenicy;
 Ona śmiertelném niedojrzana okiem,
 Gdy rubinowym wschód pała obłokiem,
 Z blaskiem jutrzeńki na tę ziemię złata,
 Tu żyła, młode tu skończyła lata;
 Niekiedy podczas głuchego milczenia,
 Kiedy świat cały w nocnych cieniach tonie,
 Ona upada z pod niebios sklepienia
 Lecąca gwiazda ku swej lubej stronie,
 I kryjącym się w górach w lesnym cieniu
 Smutnym mieszkańcom pomaga w niedoli,
 Nieszczęsnych sierot w okrutnej niewoli
 Cieszy, nadzieję pokazując w Bogu.

Mścislaw się błaka noc go ciemna kryje
 Grobową cichość budzi głos puszczyka,

Zdaleka widzi jakiś blask płomyka,
 To lampa w oknie, jeszcze ktoś tam żyje,
 I słyszy jakaś głosów oddalona
 Tam harmonija, wzbudza się i kona.
 Zbliża się, widzi wśród smutnej pustyni,
 Wśród ruin ściany nietknięte świątyni,
 Pała się świece na oltarzu Pana,
 Smutny organów głos i śpiew kapłana;
 Ten głos organów żalobny i tkliwy,
 Ten śpiew kapłana drżący i płacziwy,
 I jedna panna łzy lejąc strumieniem
 Kłęczy i modły swoje łączy z pieniem:

•Już zwyciestwem wróg się chwali,
 Lud zabiera, domy pali,
 Błuzni święte prawa Pana,
 Już w kościołach krew rozlana—
 Wybaw więźniów, skróć te mordy,
 Odwróć te pogańskie hordy,
 Lud cie wierny błaga łzami,
 Boże zmiłuj się nad nami.»

Pieśń się kończyła — z nakłonioném czołem
 Kapłan odchodzi, i dziewica wstaje,
 Mścisław zdumiony Ludmiłę poznaje,
 Lecz już nie ziemską, już była aniołem.
 Znów wszędzie cicho, same gasną świece;
 Jakby marzenie w cieniu nocy zniika

Ółtarz i kapłan i postać dziewicy,
A wzrok ruiny kościoła spotyka.
Znów stoi w polu samotny, ponury,
Przed nim czarnicje las, a nad ním chmury,
Gdy tym zjawieniem myśl zajęta cała,
Ranna jutrzienka na wschodzie jaśniała:
Świt pola, drzewa, szczyty gór odkrywa,
Gdziś tam daleko traba się odzywa,
To hasło bitwy, sadu, i wyroku —
Ten dźwięk w nim wszystkie uczucia przebiega
Śpieszac w te strony dodał wiecej kroku,
Chorągwie ziomków i wojsko postrzega,
Wrzało tam serce śmiałe wojownika,
Idac za dzielnym przykładem Henryka.
Zbiegły się szyki w jedne miejsce razem,
Henryk i Mścisław napredzie z żelazem,
Depca niewiernych, gdzie ich oręż błyska,
Gina poganie czarna krew z ran pryska.
Długo się biją, słabieją, napada
Więszy Tatarów tłum, Henryk upada
Przebito w piersi, i w tak zacnym czynie
Mścisław chwalebnie w polu sławy ginie.

J. BARSZCZEWSKI.



MOGIŁA PASTERKI.

Na wzgóreczku przy wioseczce,
 Gdzie płaczaca brzoska wzrasta,
 Tam wzniesiona pastereczce,
 Mogiła — przy niej wyrasta
 Z jednej strony bzowy krzaczek,
 Z drugiej wonne róż powiazki,
 Gdzie noci wiosny śpiewaczek,
 Usiadłszy między gałązki,
 Jęcząc strnmyk, wody leje,
 Łzami rosy się rosprasza,
 Przy mogile perły sieje
 I jedwabne trawki zrasza.
 Nad mogiła krzyżyk z drzewa,

Ten obwija biała wstęga,
Westchnieniem wietrzyk powiewa
Upał dzienny tam nie sięga.
Jeszcze w kwiecie swej młodości,
Pastereczce przedmiot miły
Zatrnty jadem miłości,
Do tejże wstąpił mogily.

WALERJAN SAMOWICZ.



Ten ówczesny świat
 Wzrostem wierzysz powiewa
 Ułój dajemy tam nie śmieć
 Jeszcze w kłócie swej młodzień
 Pastorekce wychodził mi
 Należy jednak młodzień
 Do tejże wsiąpił mi

WALERIA KALAMITA W

DO MŁODZIEŻY.

Jeszcze wam droga w tém życiu daleka,
 Wam xiega świata tajemnic odkryta,
 W niej każdy człowiek szuka i docieka,
 Ale nie każdy w niej prawdę wyczyta;
 W niej egoista inaczej rozumie,
 Duch nieżyczliwy jego myślą rządzi,
 W niej pycha prawdy wyczytać nieumie,
 Z chytrym pochlebca w labiryncie błądzi.
 Dobrze kto pojął istnej prawdy ducha,
 W uczuciach swoich wyniosł się nad światem,
 I świętej wiary tę naukę słucha,
 Gdzie każdy bliźni nazywa się bratem.
 Do kresu swego daż młodości śmieie.
 Bądź mężna gdy los nie będzie życzliwy:

Każdy na świecie mnsi cierpieć wiele,
 Bo ten świat jakby ocean burzliwy,
 Grożą pioruny, grożą czarne fale,
 A chociaż kiedy jasne niebo bywa,
 Drży promień słońca po wodnym krystale,
 A na dnie żmija zdrady odpoczywa,
 Czeką zdobyczy, snuje swoje sieci,
 Nie jeden głosem jej wdzięcznym zwiedziony.
 Niech myśli twoje, niech chęć twoja leci,
 Gdzie jazda planet, gdzie gwiazd miljony—
 Jest ten, kto rzucił te iskry na niebie,
 Ich byt, i ruch ich utrzymuje cudem.
 Tam szukaj Boga, poznaj sama siebie,
 I tajemnice objawiaj przed ludem.

J. BARSZCZEWSKI.



DO NIEWDZIECZNEJ.

Byłaś móm życiem — tyś była aniołem,
 Niewinność w tobie malowała dziecka,
 Lecz dziś — szyderstwo jest twoim żywiołem,
 Jakżeś niewierna! — jakżeś zdradziecka!

Czemuż to pierwiej niezdolałem w tobie
 Odkryć zdradliwie zarzuconych sidel,
 Niechbym podówczas postanowił sobie,
 Unikać twoich zwodniczych mamidel.

Teraz już późno — lecz stój niewdzięcznico!
 Duma to wszystko pokonam bezpiecznie.
 Niechęę twych pieszczot sroga okrutnico,
 Żadam byś o mnie zapomniała wiecznie.

Ja zaś nie mogąc znieść rozpaczny fale,
 Na ten świat wielki drogę utoruję,
 Będę opiewał me troski i zale;
 Może się znajdzie co się ulituje

Nad mým cierpieniem, nad mojemi laty.
 Poda mi balsam z opiekuńczej ręki,
 Zagoi w sercu bolejące straty,
 Oddali moje ugryzliwe męki.

Lecz nie — napróżno — ten zarod śmiertelny,
 Nic już z mojego serca nie wynęci,
 A gdy cię wieniec uwicńczy weselny,
 Na mej mogile wzniosła krzyż pamięci.

WALERJAN SAMOWICZ.



DO PRZYJACIELA.

Druhu! twej bratuiej pieśni radośne odgłosy
 Zadają sercu memu jeszcze większe ciosy,
 Porzuć wesole myśli, podziel smutek zemna,
 Ja ci kiedy odwdzięczę posługą wzajemną,
 Nie życzę ci zmartwienia — lecz w życiu człowieka
 Od radości do smutku przestrzeń niedaleka:
 I jam miał kiedyś szczęśne i wesole chwile,
 A oto płaczę teraz na matki mogile!
 Gdy serce czuje boleść, rozum jej niewstrzyma.
 Czyliż serce i czucie swej potęgi niema,
 Zamień wesole tony na żałośne pienia,
 Głosie wspólnie będziemy bolesne wspomnienia
 Nad mojej matki grobem żalością przejęci,
 Podamy zgon jej wczesny do późnej pamięci;
 Gdy się wesela inni my lzy różny sami,
 Może się kto uzali i zapłacze z nami.

FRANCISZEK JABLONOWSKI.

MOJE MARZENIA.

**Kiedy raz pierwszy wieszczym zdjęty dnchem,
 Rozwinać chciałem myśli moich skrzydła,
 I bujać chyżo wyobraźni ruchem,
 Kojąc nieznaną mej duszy mamidła,
 I lecieć górną daleko — daleko —
 Jak myśli moje ulecieć żądały;
 I marzyć cudnie, płynąć szczęście rzeką
 Po drodze życia, która mi usłały —
Wtenczas ja, wtenczas, o! byłem szczęśliwy
Jak dusza moja, jak me wyobrażenie.
Jak życie moje, jak moje marzenia!
Wtenczas mniemałem — nie będę ja tkliwy;
Będę znać tylko czuć jedne przyjaźnie,
I w nich ja doznam szczęścia i zbawienia!**

I wówczas rymy młodej wyobraźni,
Głosiły szczęście kwitnącej przyjaźni;
I w kole drnhów pieśń moja śpiewana,
W szatę weselna była przyodziana.
Dziś zabłąkany w życia oceanie,
Powrócić łodzi do brzegu niezdolałam;
I choć ratunku i pomocy wołam,
Nikt mnie niewesprze w biednym moim stanie,
A tylko śmiechem, lub płonna litością,
Chca mnie na drogę niby naprowadzić;
Lecz ja poznaje że ludzką miłością,
Niechęcią ratować, lecz żądają zabić.
Każa mi śpiewać czucia mojej duszy,
Kiedy ja duszę, już moją straciłem;
Kiedy me myśli wśród serca katuszy,
W odmiecie wiru na wieki zgubiłem.
O! śpiewać będę, choć wszyscy się śmieją,
I tonać będę niezważając na nic,
I roić będę, i żegnać z nadzieją,
Póki do życia niedopłynę granic.
A w ówczas jeszcze labędzia piersiami
Ostatni odgłos rostoczę po ziemi,
Pożegniam świat ten smutnemi myślami,
I sam zaginę z czuciami mojemu.
Bo sam na ziemi jako wiatr stepowy,
Płynę po morzu bez łodzi i wiosła,

A niemasz ręki coby mnie wyniosła
Z wiru zaguby cieszacemi słowy.
Niechaj kto okiem, niech słówkiem pociechy
Duszę ma wyrwie z przepaścistej toni,
Niech zgładzi ciężkie cierpien moich grzechy,
I mgłą nadziei duszę mą osłoni ;
Lecz nie! — już czucia umarły na ziemi
Niemasz pociechy, niemasz zbawczej ręki,
Muszę się zostać z myślami mojemu
W pośród nadziei, w pośród serca męki;
I tak przepędzać wszystkie moje lata,
Słodząc cierpienia, przykuty do świata!
Bo ja wśród cierni słodczyce poznałem,
Co mnie tak wiąza do świata i ludzi:
Serce skrwawione w nadzieję ubrałem,
Która mnie jakąś pomyślnością ludzi,
I każe kochać świat ten z tym zapalem,
Jak by tę miłość w dzieciństwie wyssałem.
Nieraz spojrzawszy na świata obszary,
Zadrzę na tyle cierpien i goryczy,
I serce niechce przypuścić tej wiary,
Że świat ten jeszcze roskosze dziedzidzy!
Lecz ja znam roskosz, choć roskosz zwodnicza —
Roskosz mej myśli i roskosz mej duszy,
Roskosz co serce napawa goryczą,
Wolnie je niszczać, powoluie je suszy,

I tak je pali ogniem cierpieniem,
Że zda się buchnie wulkanu płomieniem!
Wulkan choć zgaśnie i śnieg go okryje
Całunem zimy, on się jednak pali,
I lawa ognia poty ziemię ryje,
Aż całun zimy z grzbietu swego zwali.
I wewnętrznym ogniem nową ścieląc drogę,
Z cudnym widokiem rozniesie pożogę!
Lecz wulkan ognia, co w sercu się pali,
Albo je zwolna na popioł przetrawi,
Albo je w kamień lawiczny skryształy,
Zimnym i głuchym na wszystko postawi;
A obojętność, w którą je okryje
Będaż-li zdolne zwalić ręce czyje?
O! takim ogniem jeśli serce płonie,
Jeśli się oko i dusza zapali,
Świat wówczas cały w namiętym łonie
Olbrzymią siłą w dno serca się zwali,
I tak olbrzymim ciężarem go zgniecicie,
Że wszystko zbrzydzi, na tym nędznym świecie!
O! znam ten ogień, znam wybuch wulkanu
Który w me serce topi krwawe szpony,
A jako silny wichur huraganu
Wszystko co spotka w swoje niesie strony,
Tak serce moje tym ogniem spalone,
Wraz z duszą, w lubą ulatuje stronę,

**A jeśli lećac wzniesie się ku niebu,
 I czastkę jedną zachwyci promienia;
 Znowu upada na błonie zniszczenia,
 I wraca znowu do swego pogrzebu;
 A tam wśród cieni, gdy choć jedna chwilę,
 Na pogrzebowej wstrzyma się mogile,
 I tęschny wzrok swój rzuci w koło siebie,
 Nic nieznajduje jak smutek, i — ciebie!**

E. KAROL SIEDROTSKI.



L I S T

Do A. P.

Wymawiasz mi żem ci niepowinszował przeszłego nowego roku i prosisz abym był grzeczniejszym na terazniejsze wielkonocne święta i przysłał powinszowanie koniecznie wierszem: na to z góry odpowiadam: niemam czego ci winszować— «Jak to? zapytasz — alboż nie jestem godnym kandydatem do marszałkowskiej laski? alboż nie nazywają mię jaśnie wielmożnym? alboż nie kupilem sobie pięknego koczka w Wilnie? alboż nie jestem panem na Zielonem i Ułkowie? alboż...» . . . stój, tśój, kochany Alexandrze. Wiem dobrze o tém wszystkim, zginam kolano przed twoją kandyda-

cka godnością; mrużę oczy — bo mam słabe — przed twoją jasnością; dziwię się twemu wileńskiemu koczowi i chwale w nim gustowną robotę; wieszają państwa i dobrego gospodarstwa na Zielonem i Ulkowie; wiem nadto, że masz śliczną, ładną i dobrą jak anioł żonę, i znią dość liczne potomstwo, ale co do nowego roku i wielkanocy, powtarzam com powiedział: niemam czego ci wieszować. Bo jakież proszę znaleźć do tego powód? Pospolicie wieszujemy komu, gdy się w czem dobrze popisie, gdy co świetnego zrobi, gdy co znakomitego wynajdzie; święta zaś nowego roku i wielkiejnocy — chociaż są dobre, zwłaszcza ostatnie, nie są ani dziełem, ani wynalazkiem twoim, czegoż więc ci wieszować? czy żeś ich doczekał? ale to byłoby zabawnie wieszować ci żeś przed nowym rokiem lub wielkonocą w łeb sobie niezapałił. — **Wszak** wiem zreszty, że masz rozsądek zdrowy i od samobójstwa dalekim jesteś — a że dożyłeś do tego czasu, darem to jest nieba, nie twoim konceptem, i my dziękujemy za to **Bogu** nie tobie. «**Więc** cóż? powiesz, darnoż sposobilem się na święta? **Darmo** moja Ksawunia napiekła babek, mazurków, kołaczów, z migdałami, z rozynkami, z koptami, i t. d., i t. d.? **Darmoż** karmiła kapłanów, iudyków, kaczek, gęsi i t. d. i t. d.» **A!** to co

innego! Przeciwno temu ani słowa, i choć nie je-
stem poeta, biore się wraz do wierszów dla po-
winszowania:

Jeśli masz stoły suto zastawione,
Jeżeli na nich wspaniale świecone;
Winszuję tobie, i winszuję szczerze,
Lecz i tu więcej twej zonie Ksawerze.

Gdyż mówiąc prawdę, na Zielonym Panie!
Jej to troskliwość i cznie staranie,
Jej to bezsenne poranki sprawiły,
Że dziś twe stoły dają widok miły.

Widziałem nieraz, jaka nkasana,
Posłankę Feba uprzedzając zrana,
—Choć z łaski twojej nie lekko się miała,—
Wszystkie zakatki folwarku zwiadała.

Na nia wyglądał kwoczek wódz ezubaty,
Na nia czekały indyjskie magnaty,
Na nia chromiących kaczek liczne stada,
Na nia i gesi krzykliwych gromada.

Z jej hojnej ręki miało pożywienie,
Wszystkie w oborze i w kojcach stworzenie,

I przetoż póki świeconego stanie,
Dla niej najpierwsze jest powinszowanie.

«A mnież co? — zapytasz — alboż to u mnie na stole kapłnny tylko i indyki? alboż między świeconem niema zwierzyny? alboż niesiedziałem rankami w budzie i niebilem cietrzewi? alboż po dzieściu ciężkich pudlach, nie wracałem wreszcie do domu niosac w tryumfie albo zbitego bałwana, albo zabitego cietrzewia? — Prawda, prawda, Kochany Alexandrze! Ja też nie wylaczam ciebie od powinszowania za świecone; a nawet powinszowanie myśliwskiej biegłości i doskonałego strzelectwa tobie wylacznie służy; lecz to powiadam, że twoja Xawera na wieksze powinszowanie i na żywszą wdzięczność zasługuje u pożywających twoje świecone; gdyż jej staraniem najwięcej twój stół ozdobiony. Wreszcie już i tego winszować ci należy, żeś umiał wybrać żonę dobra gospodynię. Otoż więc z powinszowania kwita; teraz wypadłoby z powodu świat przesłać ci życzenia; lecz ja nawet we dni powszednie z tak dobrem dla was jestem życzeniem, że w święte z lepszym być nie potrafie. By jednak niechybić przyjętemu zwyczajowi — masz następujace:

Życzę miernego majątku —
Zła jest mienia chęć gorąca,
A szczęście gości w zakątku,
Dość więc będzie chat tysiąca.

Życzę, byś przy milej żonie
Przeżył jak najdłuższe lata;
Był wesół w przyjaciół gronie,
I drwił z uczniów Hippokrata.

Życzę tobie na ostatek,
Przy zbiegu zdarzeń szczęśliwych,
Tak ładnych jak matka dziecię,
I tak jak ojciec pocziwych.

A teraz do zobaczenia się przy babkach i mazurkach święconych, nie przepominając o zwierzy-
nie.

GAUDENTY SZEPIELEWICZ.

11 kwietnia 1835 r.

REZYGNACJA.

Ciebie zapomnieć pragnąłem na wieki,
I ciebie kochać nie chciałem już wcale,
Lecz twe wspomnienie jako nurty rzeki
W mej myśli ciągle toczyły swe fale.
Nieraz mówiłem — zapomnieć ja trzeba;
Nie tylko miłość, lecz pamięć zataje.
Lecz pamięć twoja, jako pamięć nieba
Ciągle w mej myśli przytomna zostaje:
Piękne dni wiosny — ciebie mi przywodzą,
A upał letni — ma miłość maluje,
I dnie jesieni — smutek w sercu rodzą,
A chłodna zima — ma przyszłość wskazuje.
Mamże zapomnieć — ach rozkaz nieznosny,
Boś ty tak miła — jako wiosny dzionek,
I tak przyjemna, jako kwiatek wiosny,
I tak wesola, jak wesół skowronek;

Nieraz gdy myślę w jakim bądź sposobie,
I nia niestety mą przyszłość maluje,
Wtenczas gdy myślą zasięgnę o tobie,
Wszystko zapomnę co czułem i czuję —
Znowu gdy myślę o przyszłości toni
By cie w mém sercu wygładzić niestety!
Ale twój obraz, tak ciągle mnie goni,
Jako zbrodniarza sumienia sztylety.
Tak więc — gdzie jestem, co myślę, co czuję,
Wszedy cię widzę na okolo siebie,
Wszystko mi ciebie w mém sercu maluje,
Nigdy jak widzę niezapomnę ciebie.

E. KAROL SIEDROTSKI.



PRENUMERATOROWIE.



Abramowicz Antoni.
Abramowicz Anna.
Abramowicz Johanna.
Apanesewicz *Ksiadz.*

Bielicki Jan.
Bujnicka Ansterberta.
Bienkiewicz Aloizy,
Hrabia Branicki Władysław.
Balewicz Julija.
Bielikowicz Ignacy.
Bielikowicz Antoni.
Bielikowicz Ludwik.
Bielikowicz Teressa.
Bielikowicz Franciszka.
Bielikowicz Tekla.

Bessarabska Adella.
Bohdanowski Jan, *Guber. Sekr.*
Bohomolcowa Lewkadija.
Borowska Julja.
Borowski Stanislaw, *Kand. Filoz.*
Brzozowska Julja.
Bnszyński Ignacy, *Radzca Hon.*
Bentkowski Karol.

Chiżewski Ignacy.
Czyżewski Józef.
Czerniecki Cyprijan, *Radzca Honor.*
Książę Czetwertyński August.
Chodakowski Teodor.
Cwietkiewicz Symforyan Filibert.
Chlebowski Michał.
Czarnecka Idalija.
Czarnecka Helena.
Czarnecka Michalina.
Czarnecki Karol.
Charytonów Alexandra.

Dittmar Klaryssa, *Pułkownikowa.*
Dabrowa Antoni.
Dabrowina Józefa.
Domaracki Aleksander.

Darowska Petronela.

Dmóchowski Adolf.

Dmitriew Ludwika.

Dawid Wincenty.

Durasewicz Przemysław.

Eysymontt z Jozefowiczów Weronika.

Glindicz Jan, *Radz. Honor.*

Grabowiecki Józef.

Grzybowski Erazm.

Gogolewski Leopold.

Hercyk Mikołaj.

Hołziński Floryan, *pres. b. S. G. G. P.*

Hlaskówna Tekla.

Hlasko Józef.

Hrebnicka Józefina.

Hrebnicki Stanisław.

Hołowicki Wincenty.

Hornowska Lncylla, *Tyt. Sowiet.*

Hryniewski Kajetan.

Hlasko Antoni *Podporucz.*

Janczewski Jan, *urzę. I D. M. S. D.*

Jozefowicz z Kondratów Róża.

Jndin Nadzieja, *Spraw. Płtu Grodzieńskiego.*

Ihnatowicz Zofija.

Jasiewicz Teofil.

J. J. Jeleń...skie *O. G. Z. P. U.*

Jurjewicz Karolina.

Jurjewicz Stanisław.

Kiadz, Karpowicz Konstanty,

Koc Józef, Daniel, *Doktor.*

Karczewski Józef.

Kajnowicka Henryeta.

Kamiński Jan.

Kolesiński Bojomir.

Kowalewski Floryan, *Kolleg. Reg.*

Kowalewski Juljan,

Krassowski Baltazar.

Krupowicz Leon, *Izby Skarbowej Grodzień.*

Krzyżanowski Michał.

Krzyżanowski Józef.

Kulwicz Jan, *Kolles. Sekr.*

Krupowicz Wiktor.

Kotowicz Edward.

Kulakowski Mikołaj *Porucz.*

Korsak Walenty.

Korsakowa Julija.

Kuczyński Dominik.

Kublicki Ignacy.

Kosowowa Joanna.

Kosarzecki Onufry.
Klewszczyńska Julja.
Kodlubaj Alexander, *Porucz.*
Koplewski Andrzej, *Choraży.*

Lnlewicz Antoni.
Lubowicki Leonard.
Lubiński Aleksander.
Lachowicz Izabella.
Lachowicz Emilja.
Lewicki Stanisław, *Choraży.*

Łabuński Józef.
Łabuńska Modesta.
Łęska Julija.
Łapicki Gasper.
Ławrynowicz Justyn.
Łaziński Adam.
Moszyńska Anna.
Maleszewski Andrzej *Kolles. Reg.*
Makarewicz Jan, *Kontrol. S. Izby Grodzien.*
Mickiewicz Rymwid Franciszek, *Kontr. Gub. Grodz.*
Mironowicz Jan, *Ass. Izby Skar. Grodz.*
M. J.
Małaszewicz Adam.
Malczewski Jan, *Guber Sekr.*

Michniewicz Klemens, *Guber. Sekr.*
Makowiecki Stanisław, *Marszałek.*
Malewski Franciszek.
Małachowicz Jan.
Mogilnicki Piotr.
Majewski Alfons, *Chorąży.*

Nędzki Henryk, *Lekarz.*
Notbek Idalija.
Niepokojczycki Józef, *Guber. Sekr.*
Narkiewicz Józefa,

Ksiądz Osmołowski.
Osipowicz Jan, *Koll. Ass.*
Odlenicki Poczobut Józef.
Obrąpalski Piotr.
Obuchowicz Antoni.
Ordyłowska Justyna.
Orzechowski Franciszek.

Hrabini Potocka Alexandrina.
Hrabia Plater Ziberg.
Podwiński Józef.
Podbereski Piotr.
Podbereska Józefa.
Perott Faustyn, *Porucz. Inżyn. Wod. Kom. i Dróg.*
Perott Hilary, *Porucz. Inżyn. Wod. Kom. i Dróg.*

Perott Wiktorya.
Piruski Stanislaw, *Sekr. R. P. G.*
Pietraszewska Marija.
Piotrowski Piotr.
Piasecki Wincenty.
Przeciecki Antoni.
Pieslak Jan.

***Irabia* Rzewuski Adam.**
Rypińska Małgorzata.
Rodziewicz Jan, *Porucz.*
Rauba Klemens.
Radomski Floreuty, *Architektor.*
Reutt Karol.
Reuttowa Karolina.
Reutt Antoni.
Reuttowa Tereasa.
Reutt Edward.
Reuttowa Franciszka.
Reuttowa Barbara.
Reutt Jan.
Reutt Napoleon.
Reutt Tomasz.
Reutt Stanislaw,
Reuttowa Tekla.
Roselli Karol.

Rewiński Adam.
Rejten Dominik.

Siesicki Leonard.
Szalewicz Rudolf, *Porucz.*

Serwiroh Wincentyna.

Szysko Henryk.

Sipajlo Stanisław.

Świątkowski Jan.

Salcewicz Antonina.

Sakowicz Józef.

Stepauów Wincenty, *Konst Iz. Swar. Grodz.*

Styczyński Benedykt, *Buchhalter.*

Stefanowski Jan.

Stefanowska Teressa.

Sobolewska Aleksandra.

Smolak Dominik.

Saken Mikołaj, *Baron.*

Snarski Wilhelm,

Sobolewski Tomasz.

Szyniawski Ignacy.

Santyr Stanisław.

Sakowicz Cyprijan.

Szaumanowa Katerzyna.

Szaumau Józef.

Samiszczowa Franciszka.

Swirszczewski Antoni.
Sawicki Onufry, *Koll. Ass. i Kawaler*
Sieniawko Felix, *Kol. Reg.*

Trabcza Amelija.
Turcewicz Bonawentura.
Tryntroch Piotr.
Tomaszewicz Ignacy, *Guber. Sekr.*
Wasilewski Antoni, *Choraży.*
Witerski Józef.
Wambutt Hieronim, *Gub. Sekr.*
Weryho Anna.
Ksiadz, Wojuicz Tadeusz.
Wojciechowski Stanisław, *Radzca Honorowy.*
Wojciechowska Zofija.
Wołowicz Walerijau.
Weydlich Modest, *b. U. M. F.*
Weydlich Tytus, *Choraży pułku huz. X. W.*
Wyszkowski Stanisław, *Koll. Registrator.*
Wojniłowicz Izabella.
W. A.

Zbrożek Franciszka.
Zwierzchanowski Joachim, *Doktor.*
Zaharański Karp, *Kontr. Sk. Iz. Grodz.*
Zarzecki Franciszek, *Skarb. Ptlu Grodz.*

Zubrowska z Jozefowiczów **Emilija.**

Złotkowski **Antoni.**

Ziembowicz **Ignacy.**

Zbikowski **Leopold.**

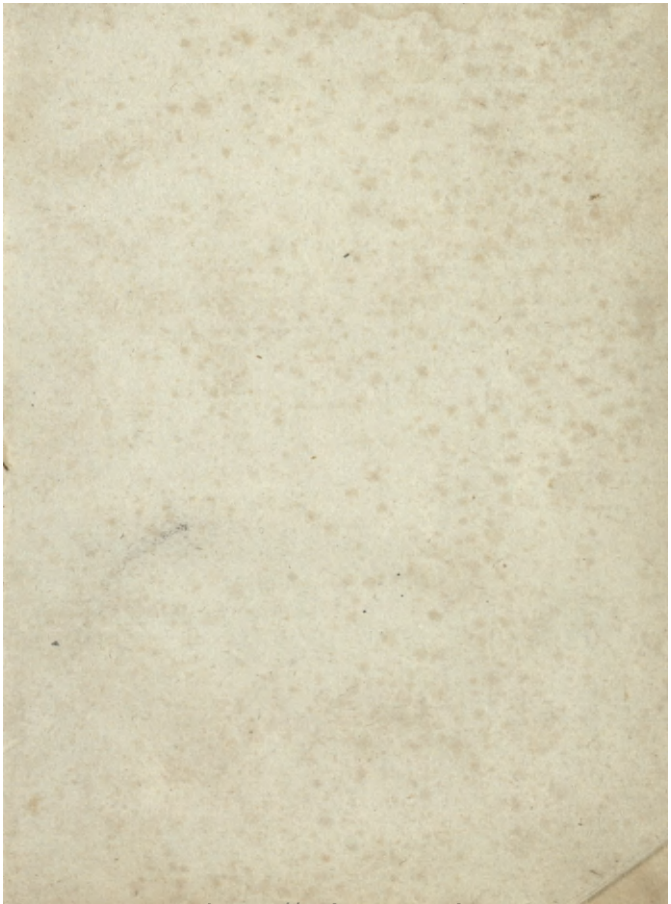
Żukowski **Edward, Podpor.**

Żolkowski **Ludwik.**

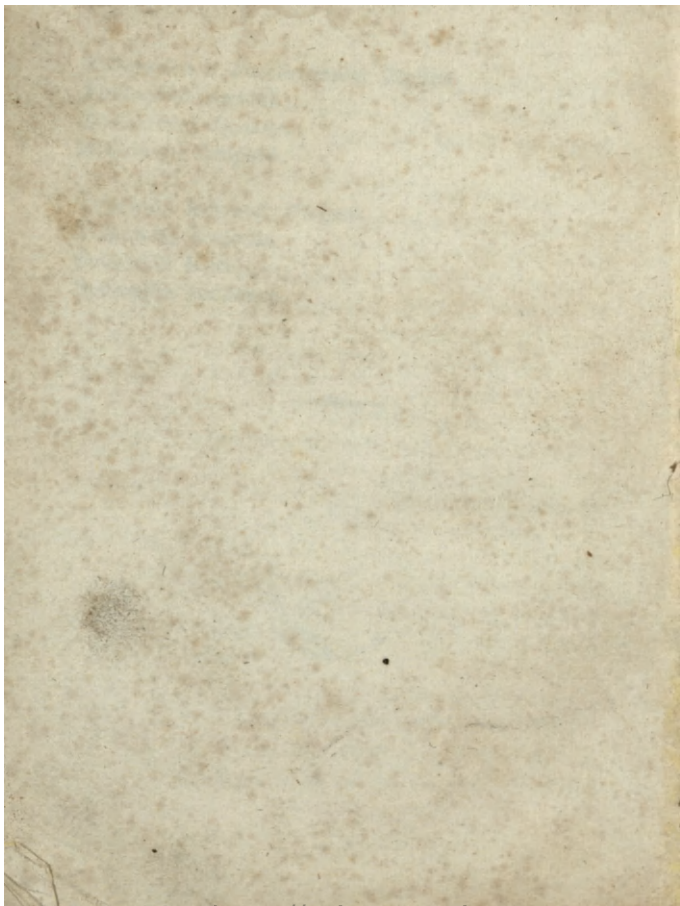
Żukowski **Karol.**

Żukowska **Eleonora.**





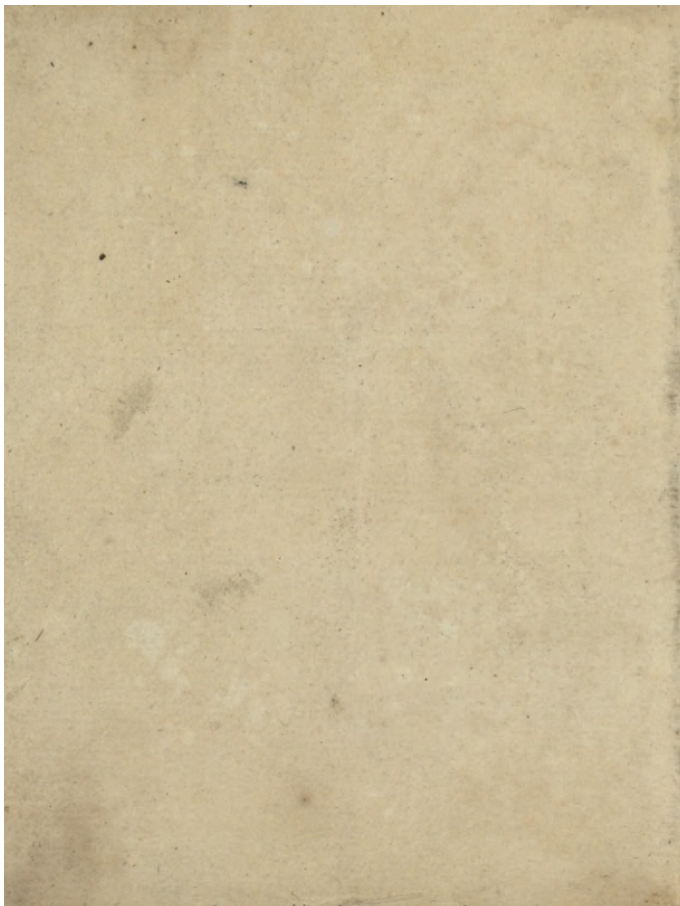
<http://rcin.org.pl>



<http://rcin.org.pl>



<http://rcin.org.pl>



<http://rcin.org.pl>



<http://rcin.org.pl>

N.P.T.645

1842